www.tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 51 (1041)
16-22.12.2019
Cena 6,80 zł
(w tym 8% VAT)

20 LAT RAZEM

Ewa Modzelewska-Kossowska
Mój ojciec Karol

Dziewczyna i PRZEGLĄD

Kto krył Banasia

Kłopoty Ubera na Wyspach Brytyjskich

Polscy biskupi na wojnie z Franciszkiem

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
51 >
9 771509 311904

Czytajcie książki ISKIER

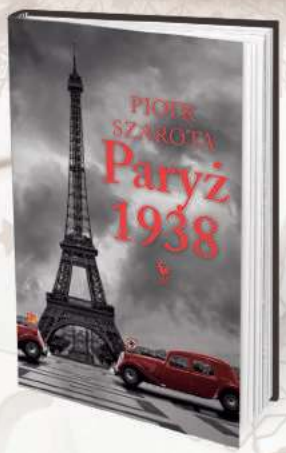

PARYŻ 1938
Piotr Szarota

WOJNA WEDŁUG KARSKIEGO
Tomasz Łubieński

POLSKA LUDOWA. POSTSCRIPTUM
Andrzej Werblan

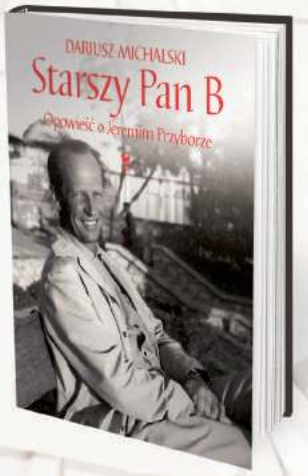

STARSZY PAN B. OPOWIEŚĆ O JEREMIM PRZYBORZE
Dariusz Michalski

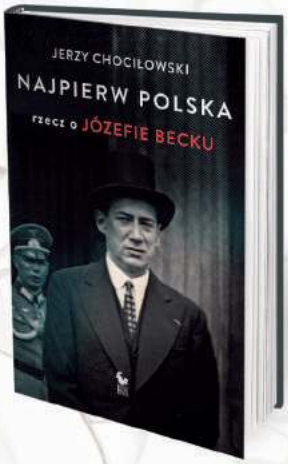

NAJPIERW POLSKA. RZECZ O JÓZEFIE BECKU
Jerzy Chociłowski

WITTGENSTEIN: WIADOMO, ŻE...
Ladislav Čumba

Książki dostępne w dobrych księgarniach
i na **www.iskry.com.pl**

eprasa.pl 3df9b58589

CYTATY

MACIEJ KONIECZNY,
poseł Razem
Bogaci żyją w Polsce od kilku do kilkunastu lat dłużej od biednych.
„Rzeczpospolita"

DR HAB. MARCIN PIĄTKOWSKI,
ekonomista
Wydajność polskiego pracownika jest cały czas prawie o połowę niższa niż niemieckiego.
„Polska The Times"

ROBERT WIĘCKIEWICZ,
aktor
Ciągle szukamy w życiu sensów, co bywa i trochę śmieszne, i trochę żałosne. Skoro wybieramy życie, to trzeba jakoś żyć.
„Zwierciadło"

JAN KOMASA, reżyser
Miałem zostać pianistą, ale podczas występów przed publicznością zżerała mnie trema.
„Pani"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

20 lat razem

To wydanie ma dla naszego zespołu szczególne znaczenie. Mija 20 lat od ukazania się pierwszego numeru „Przeglądu". Szczególnym zbiegiem okoliczności w tym samym dniu nasza redakcyjna koleżanka ze Śląska, Beata Soczawa, urodziła córkę Anię. Dziś studentkę z Krakowa. Spotkaliśmy się w redakcji. Miła, inteligentna dziewczyna. Wypisz wymaluj jak nasi Czytelnicy.

Założenie „Przeglądu" to była wspólna decyzja grupy ludzi redagujących „Przegląd Tygodniowy". Gdy w grudniu 1999 r., zmęczeni konfliktami z właścicielem, typowym reprezentantem rodzącego się kapitalizmu, postanowiliśmy pójść na swoje, nie wróżono nam powodzenia. Zostawiliśmy tytuł z tradycjami i kompletnie wyposażoną redakcję, by zacząć od zera. Naszym jedynym kapitałem były wówczas własne umiejętności i poparcie dla naszej decyzji ze strony wybitnych autorów, którzy pisali do „Przeglądu Tygodniowego". Aleksander Małachowski, Krzysztof Teodor Toeplitz, Bronisław Łagowski i Tadeusz Zieliński wsiedli z nami do łodzi z napisem „Przegląd". I ta łódź płynie już 20 lat. Niestety, bez wielu współzałożycieli, po których zostały wspaniałe, mądre teksty i nasza wdzięczna pamięć.

Naszemu tygodnikowi nie brakuje odwagi w podejmowaniu trudnych tematów. Choć bardziej cenimy rozum, rozsądek i fakty. Szczególnie gdy mowa o historii. Przeszłość jest teraz najbardziej załganym obszarem polityki. Na masową skalę fałszowana jest historia. Celują w tym środowiska związane z PiS, ale też inni politycy żyjący z Solidarności jako mitu założycielskiego, do którego się podłączyli.

Mamy prezydenta, który mówiąc o historii, zawsze kłamie. Potrafi powiedzieć, że w każdym polskim lesie byli po wojnie „prawdziwi patrioci". Duda udaje, że nie wie, że ofiarami tych „patriotów" byli wiejscy nauczyciele, geodeci dzielący ziemię między bezrolnych chłopów, sołtysi, kobiety i dzieci. Duda wychwala „wyklętych", a w pogardzie ma miliony Polaków, którzy odbudowali kraj z ruin.

Nie przyglądamy się biernie tym kłamstwom. Reagujemy. Wydajemy kolejne książki z cyklu „Historia bez IPN". Piszemy o prawdziwej historii Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Zachęcam do kupowania tych wydawnictw. Są znakomitym prezentem dla naszych dzieci i wnuków. Prawda wyzwoli ich z oków bełkotu i kłamstw PiS i PO.

Serdecznie dziękuję za te wspólnie przeżyte 20 lat. A zwłaszcza za wspólnotę myśli i poglądów. Za wspieranie naszych pomysłów. Kłaniam się Państwu nisko.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 3df9b58589

W NUMERZE

KRAJ

8 **Służby wiedziały wszystko**
Kto krył Mariana Banasia?

22 **Kierowca zaczarowanej ciężarówki**
– rozmowa z Ewą Modzelewską-Kossowską

38 **Bliżej świata 4.0**
Stulecie AGH

KOŚCIÓŁ

12 **Antyklerykał Franciszek**
Wojna polskich biskupów z papieżem

20 LAT Z PRZEGLĄDEM

16 **Dziewczyna i tygodnik**
Ania urodziła się wraz z pierwszym numerem PRZEGLĄDU

19 **Pisali w PRZEGLĄDZIE**

ZAGRANICA

26 **Niebezpieczne nietaksówki**
Początek końca Ubera?

28 **Czy Kanadzie grozi populizm**
Korespondencja z Toronto

30 **Reforma dzwonkowa**
Korespondencja z USA

34 **Lit – skarb, który dzieli Portugalczyków**
Złoża w rezerwacie z listy UNESCO

OPINIE

36 **Witold Modzelewski**
Niegroźni podjudzacze

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY

42 **Jak zatrzymać starszego pracownika**

KULTURA

44 **Przede wszystkim praca w zespole**
– rozmowa z Anną Cieślak

48 **Qulturalia**

66 **Agata Kus. Horror Picture Show**

EKOLOGIA

50 **Rebelia w obronie przyrody**
Obywatelskie ruchy oddolne

OBSERWACJE

54 **Szlakiem wieloryba**
Chilijskie eldorado płetwali

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
20 lat razem

11 **Bronisław Łagowski**
Nasz człowiek w wielkiej polityce

33 **Jan Widacki**
Wielki świat i ciemnogród

41 **Roman Kurkiewicz**
Czego się czepiam Szymona Hołowni

43 **Tomasz Jastrun**
Nie tylko moja czułość

53 **Wojciech Kuczok**
Czuły zazdrośnik

57 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Telefony, telefony!

59 **Edward Mikołajczyk**
Rok Wielkiej Szopy

30
ZAGRANICA

REFORMA DZWONKOWA
Korespondencja z USA

38
KRAJ

BLIŻEJ ŚWIATA 4.0
100 lat AGH

44
KULTURA

PRZEDE WSZYSTKIM PRACA W ZESPOLE
– rozmowa z Anną Cieślak

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. PAP/GRZEGORZ MOMOT

eprasa.pl 3df9b58589

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

Maciej Stuhr
Nigdy nie wiecie, co, jak i do czego wam się przyda

Prof. Krzysztof Belczyński
O co spierają się astronomowie

Prof. Henryk Skarżyński
Lekarz z duszą marzyciela

Rodzinnie z noblistką

Olga Tokarczuk. Młoda, piękna, odważna i światła, a co najważniejsze – wolna i nieskażona ciemnotą narodową. Dziękuję, że istniejesz, dziewczyno, i dajesz nadzieję jeszcze wolnym ludziom w tym ciemnym kraju.

Adam Wołowicz

Wojna o pasy, wojna o życie

Problem można rozwiązać łatwo i tanio, malując wydłużenie zebry na chodniku – dwa-trzy białe pasy. Wówczas pieszy, będąc jeszcze na chodniku, znajdzie się już na przejściu dla pieszych. Jednocześnie trzeba wprowadzić przepis o zakazie plotkowania na takim przedłużonym przejściu.

Marek Głowinkowski

•

Prawa fizyki są nieubłagane – pieszy o masie 80 kg może się zatrzymać w ciągu mniej więcej ćwierć sekundy, natomiast pojazd o masie 1800 kg – nie. A co dopiero tir o masie 25 ton? Drogi bite są dla samochodów, reszta, czyli 99% powierzchni kraju – dla pieszych. Zasada rozdziału ruchu pieszego od kołowego jest znana na całym świecie. Przejścia dla pieszych z sygnalizacją świetlną obowiązkowo powinny się znaleźć na drogach wielojezdniowych, w miastach – kładki i przejścia podziemne. W pozostałych miejscach – lepsze oznakowanie i ograniczone zaufanie obu stron. Ludzie popełniają błędy. Tych, którzy ze złością odburkną, że to dyskryminacja pieszych, zapytam, czy ktoś się dziwi, że normą jest niechodzenie po torach tramwajowych i kolejowych?

Ryszard Kloc

Okrągły Stół a globalne ocieplenie

10 marca 1989 r., obrady Okrągłego Stołu, stolik ekologiczny: „Podstawowym warunkiem niedopuszczenia w przyszłości do klęski ekologicznej jest natychmiastowe ograniczenie spalania węgla, zarówno jako źródła energii pierwotnej, jak i końcowej. (...) Proponowane warianty rozwoju energetyki powinny uwzględniać nie tylko doraźne ograniczenie emisji w gazach odlotowych SO_2, NOX i pyłów, ale również ograniczenie emisji CO_2, który niesie zagrożenie biosfery w skali globalnej. Należy przewidywać podpisanie w sprawach NOX i CO_2 międzynarodowych konwencji, do których Polska powinna przystąpić. Program budowy elektrowni i ciepłowni jądrowych, w tym dalsze losy budowy elektrowni Żarnowiec, oraz niepodejmowanie budowy elektrowni Warta, wymaga na tym tle wnikliwej analizy”. To głos strony rządowej.

Strona solidarnościowa jest przeciw: domaga się odłożenia dekarbonizacji „na 10-20 lat”, a fundusze proponuje przekierować na modernizację infrastruktury węglowej. Strona rządowa walczy do końca, w końcu domaga się zapisania protokołu rozbieżności. Polska rezygnuje z ambicji dekarbonizacji energetyki i obiera trwały kurs na węgiel. Minęło 30 lat i licznik bije dalej.

Nie wszystko jest takie, jak się wydaje. Czasami dobrzy okazują się złymi, a źli – dobrymi. Pytacie, od kiedy wiemy o globalnym ociepleniu? Od dawna. Ale nigdy nie lubiliśmy o tym słuchać.

Jarosław Lipszyc

ZDJĘCIE TYGODNIA

Król Szwecji i nowa królowa literatury. Karol XVI Gustaw i Olga Tokarczuk podczas bankietu po ceremonii wręczenia Nagrody Nobla.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 3df9b58589

GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA

Ponad milion imigrantów pracuje oficjalnie w polskiej gospodarce.

Tomasz Sekielski, współautor filmu „Tylko nie mów nikomu", **został Dziennikarzem Roku w konkursie Grand Press 2019. Magdalena Gałczyńska,** autorka cyklu materiałów „Farma trolli w Ministerstwie Sprawiedliwości", **otrzymała Grand Press w kategorii News, a Rafał Woś w kategorii publicystyka.**

Prof. Jacek Majchrowski, prezydent Krakowa, i **Mykoła Kniażycki,** ukraiński dziennikarz i parlamentarzysta, **otrzymali Nagrodę im. Giedroycia, przyznawaną przez redakcję „Rzeczpospolitej".**

Prof. Longin Pastusiak, wybitny uczony, amerykanista, politolog i lewicowy polityk, opublikował setną książkę. Nosi ona tytuł **„Świat i Polska".** To wyjątkowe osiągnięcie w skali światowej. Gratulujemy.

Olga Linkiewicz, autorka książki „Lokalność i nacjonalizm. Społeczności wiejskie w Galicji Wschodniej w dwudziestoleciu międzywojennym", **została laureatką Nagrody Historycznej m.st. Warszawy im. Kazimierza Moczarskiego.**

Polska jest drugim w świecie, po Chinach, a przed Niemcami, eksporterem mebli. 28 tys. firm zatrudnia 165 tys. pracowników i eksportuje za 10,9 mld euro.

W Polsce, według Naczelnej Rady Lekarskiej, brakuje 68 tys. lekarzy. W Europie średnia na 1 tys. mieszkańców to 3,6 lekarza, a w Polsce 2,4.

Stanisław Michalkiewicz, ultraprawicowy skandalista, **musiał zapłacić 150 tys. zł odszkodowania dla Katarzyny, którą wielokrotnie zgwałcił ksiądz z Towarzystwa Chrystusowego, a Michalkiewicz nazwał prostytutką i ujawnił jej dane personalne.**

Krzysztof Kaliszewski, prezes warszawskiej Skry i trener Anity Włodarczyk, **mimo wyroku Sądu Najwyższego z 2015 r. od kilkunastu lat nie oddał miastu kluczy od kompletnie zdewastowanych obiektów,** na które wprowadził m.in. komis samochodowy, pub, wulkanizację i parkingi.

Gmina Sarnaki na Mazowszu zasłynęła z fresku w nowo budowanym kościele. Został na nim uwieczniony **radny PiS Mariusz Dudziuk,** miejscowy grabarz i kościelny. Miejscowym kompletnie się nie spodobało.

Narcyz Sadłoń, radny z Kościeliska, zgłosił projekt budowy wielkiego pomnika Jana Pawła II na Butorowym Wierchu. Pomnik miałby być największy na świecie i mieć wieżę widokową. Z tą wieżą to Sadłoń przesadził. Ładnie tak deptać po świętym?

282 firmy zbankrutowały w Polsce w pierwszym półroczu 2019 r.

PRZEBŁYSKI

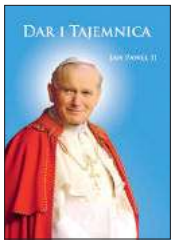

Jana Pawła II wyzwolili

Prawica jęczy, że w 1945 r. Polska nie została wyzwolona, tylko zniewolona przez wojska polskie i radzieckie. No cóż, maszerując pod chorągwiami kościelnymi i z Janem Pawłem II na ustach, prawicowcy są leniwi umysłowo. Nawet nie chciało się tym troglodytom przeczytać, jak tamte czasy widział papież. A widział ten historyczny moment tak, jak napisał w książce „Dar i tajemnica", wydanej w 1996 r. Czyli wtedy, gdy nie było już cenzury. Papież Jan Paweł II wspomina: „Przebywałem w seminarium, począwszy od września 1944 r., i tam doczekałem wraz z kolegami 18 stycznia 1945 r., dnia, a raczej nocy – **wyzwolenia**. W nocy bowiem Armia Czerwona dotarła w okolice Krakowa". Zwykłego człowieka czytanie nie boli. Może więc doczekamy, że w przerwie między jazgotaniem prawica zacznie czytać. Na początek papieża.

Banaś na cokole Szeremietiewa

Nagonka, oszczerstwa, fałszywe zarzuty dotykają Mariana Banasia, który „jest państwowcem o wielkich zasługach, a za to, co zrobił, powinien odbierać najwyższe odznaczenia". Tak aferę bonzy PiS widzi Romuald Szeremietiew („Sieci", nr 47). Nie on jeden. Podobnie myślą sprawujący władzę, bo władza po prostu im się należy. Bo kiedyś walczyli. Nie mają kwalifikacji, a nawet charakteru, by… nie skubać cudzego. Do czego się wzięli, to spieprzyli. Szeremietiew może się nadymać. Ale tak jak nigdy nie nadawał się na ministra czegokolwiek, tak teraz o Banasiu po prostu bredzi. A państwo traktuje jako łup. Dla swoich. Ich dzieci. I pewno także wnuków.

Patryk Jaki i odlot (więzienny)

Numer „na więźnia" w wydaniu Patryka Jakiego jest numerem na doktorat. Z więziennictwa. To nie żart. Jaki jest już doktorem. Głupota dekady wyglądała w skrócie tak. Pogonili Jakiego na Uniwersytecie Opolskim. Z pomysłu na jego doktorat zaśmiewali się na Uniwersytecie Warszawskim, więc Jaki poszedł do Akademii Sztuki Wojennej, o której powadze świadczy to, że powołał ją Macierewicz. Promotorem pracy doktorskiej „Służba więzienna w systemie bezpieczeństwa RP" był lotnik, a recenzentami dwaj wojskowi również z tej branży. Więzienia znają z filmów. I z pracy Jakiego. Warto zapamiętać ich nazwiska – dr hab. Bogdan Grenda z ASW, dr hab. Jacek Nowak z Dęblina i prof. Marian Kopczewski z Wrocławia.

Jankowski 3600

Zaczął od wygonienia zespołu dziennikarskiego. Bo byli od niego mądrzejsi. A później przystąpił do katowania telewidzów. W rekordowym tempie uciekli z Superstacji. Grzegorz Jankowski sprowadził ją do kategorii telewizji osiedlowych. I to mniejszych. Bo za rządów Jankowskiego Superstację ogląda 3,6 tys. widzów. Jeszcze!
Musiało tak się stać. Bo maluśki jest potencjał Jankowskiego. Grabarza Superstacji można na okrągło oglądać w Polsat News. Bezsenność gwarantowana.
I pomyśleć, że w czasach przed Jankowskim programy Polsatu chwalono za obiektywizm.

FOT. YOUTUBE (2), ARCHIWUM

eprasa.pl 3df9b58589

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Co wyróżnia PRZEGLĄD wśród tygodników opinii?

PROF. JERZY BRALCZYK,
językoznawca, UW

Wspaniała felietonistyka, bardzo dobre wywiady, także to, co jest mi bliskie, czyli stosunek do historii, oraz dużo zdrowego rozsądku. PRZEGLĄD to moje pismo numer jeden, które niestety coraz trudniej mi kupić. Mam jednak nadzieję, że będzie lepiej.

DR WIESŁAW KOT,
publicysta kulturalny, wykładowca akademicki

Teksty publikowane w PRZEGLĄDZIE cenię za to, że mają wstęp, rozwinięcie i zakończenie. Szkolna i przebrzmiała formułka? Otóż nie! Tutejsi autorzy – odwrotnie niż publicyści mnóstwa innych pism – rozumieją doskonale, że nawet najbardziej doraźny incydent ma swoje podglebie i historię (wstęp), ma przebieg i strukturę, która nie jest tak prosta, jak mogłoby się wydawać (rozwinięcie), a także niesie ze sobą trudne do ogarnięcia następstwa (zakończenie). A powinnością publicysty nie jest ćwierkanie na długość dwóch zdań, z których jedno jest głupie, a drugie obraźliwe. Jego powinnością jest wyjaśniać i przekonywać. Pod taką formułą podpisaliby się pewnie i Prus, i Żeromski, i Słonimski…

PROF. STANISŁAW OBIREK,
antropolog kultury, teolog, były jezuita

Większość tygodników opinii wdała się w konkurowanie z internetem, rezygnując z niezbędnego pogłębionego namysłu nad tematami publikacji. PRZEGLĄD, którego każdy numer dokładnie czytam, nie dołączył do tego zabójczego dla myślenia wyścigu. Podejmuje tematy, które są ważne społecznie, a co więcej – umożliwia swoim autorom swobodną i pogłębioną refleksję, bez której rozumienie potwornie skomplikowanej współczesnej rzeczywistości jest niemożliwe. Drugą wyróżniającą cechą PRZEGLĄDU jest trwanie przy wartościach lewicowych, czyli po prostu humanistycznych, bez oglądania się na wiatry historii.

DR ADAM OSTOLSKI,
socjolog, publicysta, UW

Nie jest tajemnicą, że PRZEGLĄD jest czarną owcą wśród tygodników opinii, bo sprzeciwia się patologizacji Polski Ludowej. Jednak niewiele osób zdaje sobie sprawę, ile taka postawa znaczy dla polskiej debaty publicznej, zatruwanej przez miazmaty antykomunizmu. Antykomunizm (w wydaniu konserwatystów, liberałów, a nawet części lewicy) utrwala kod pogardy w polityce, kreuje fałszywe diagnozy i zbłąkane emocje, a przede wszystkim uniemożliwia rozpoznanie, w jaki sposób polskie perypetie z demokracją są ściśle powiązane z procesami zachodzącymi w całym zachodnim świecie, robiąc z nas jakiś „szczególny przypadek". Za bycie ostoją rozumu w zalewie histerii należy się redakcji PRZEGLĄDU szacunek i wdzięczność.

RAFAŁ SKĄPSKI,
prawnik, wydawca, Polskie Towarzystwo Wydawców Książek

Czytam te tygodniki, w których odnajduję moje poglądy i moje oceny rzeczywistości. Dlatego czytam PRZEGLĄD. Inne poglądy oczywiście znam, ale nie są moją lekturą. PRZEGLĄD cechuje wyważona i niekoniunkturalna ocena teraźniejszości i przeszłości, odwaga w prostowaniu wypaczeń i przekłamań rozpowszechnianych przez tych, którzy widzą w historii tylko czarne lub białe zjawiska. PRZEGLĄD to moje pismo. Życzę mu dalszych sukcesów i kolejnych jubileuszy.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 3df9b58589

Służby wiedziały wszystko

Kto krył Mariana Banasia? Szef ABW? Mariusz Kamiński? Jarosław Kaczyński?

Robert Walenciak

30 sierpnia 2019 r. Marian Banaś został wybrany przez Sejm na prezesa Najwyższej Izby Kontroli. Była to manifestacja siły PiS. Gdy posłowie opozycji próbowali protestować, mówiąc, że są wobec niego podejrzenia, wyłączono im mikrofony.

21 września 2019 r. magazyn śledczy „Superwizjer" TVN 24 wyemitował reportaż, w którym pokazano krakowską kamienicę należącą do Mariana Banasia. Działał w niej hotel na godziny, którym zarządzali ludzie ze świata przestępczego. „Zadzwonię do Banasia", mówił dziennikarzowi mężczyzna w złotym łańcuchu, siedzący w recepcji. Tak rozpoczęła się jedna z największych afer III RP. Jak się skończy, nie wiemy.

PiS już nie klaszcze Banasiowi, nie woła, że on kryształ. PiS chce, by podał się do dymisji, żeby sprawę wreszcie zakończyć. Zażądał tego Jarosław Kaczyński podczas spotkania na Nowogrodzkiej. W rozmowie uczestniczył też Mariusz Kamiński, szef MSWiA, koordynator ds. służb specjalnych.

Banaś odmówił. Dlaczego – łatwo się domyślić. Jako prezesa NIK chroni go immunitet. Gdyby podał się do dymisji, straciłby ten parasol. A musi liczyć się z tym, że następnego dnia zostałby aresztowany. Zakładając więc, że Banaś Kaczyńskiemu już nie uwierzy, skazany jest na trwanie. Tylko ile wytrzyma?

•

Równie ciekawa musi być odpowiedź na inne pytanie – jakim cudem do tej afery doszło? Marian Banaś od 19 listopada 2015 r. pełnił funkcje rządowe, był podsekretarzem stanu w Ministerstwie Finansów i szefem Służby Celnej. Obejmując te stanowiska, musiał złożyć specjalną ankietę do ABW i zostać przez tę służbę prześwietlony. Co więc się stało? Dlaczego przez cztery lata był dla naszych służb i dla rządzącej partii „kryształowy", a dopiero po reportażu telewizyjnym przestał PiS się podobać? To jakie mamy państwo i służby?

•

Zasada jest taka, że wszyscy urzędnicy państwowi wysokiego szczebla, od wiceministrów w dół, po objęciu stanowiska powinni wypełnić ankietę bezpieczeństwa. Jest to potrzebne, jeśli chcą mieć dostęp do wiadomości z klauzulą poufne, tajne lub ściśle tajne. Ankietę składa się do ABW, w wojsku do kontrwywiadu wojskowego, w policji i straży granicznej do jednostek kontroli wewnętrznej.

Takiej ankiety nie muszą wypełniać tzw. ministrowie konstytucyjni i wymienieni w konstytucji wysocy urzędnicy – oni dopuszczenie do tajemnic państwa otrzymują z automatu. Dlatego nietrafne były wezwania, by ABW odebrała Marianowi Banasiowi dostęp do tajemnic państwowych. Dziś ABW nic Banasiowi odebrać nie może, bo jako prezes NIK ma ten dostęp zagwarantowany.

Ale jako podsekretarz stanu w Ministerstwie Finansów – tego dostępu nie miał. Żeby go otrzymać, musiał ankietę wypełnić, jeszcze w roku 2015. Ma ona 25 stron, podzielonych na siedem części. Jeżeli urzędnik ubiega się o dostęp do informacji z klauzulą poufne, wypełnia pierwsze cztery części. Jeżeli do informacji tajnych – kolejne dwie. A do ściśle tajnych – wszystkie siedem.

Ankieta jest bardzo szczegółowa, można ją zresztą znaleźć w internecie. Trzeba w niej podać m.in. dokładne dane i na swój temat, i dotyczące bliższej oraz dalszej rodziny. Miejsce zamieszkania, obecne i poprzednie, miejsce wcześniejszej pracy, czy miało się problemy z prawem, czy było się karanym. Czy osoba wypełniająca ankietę miała problemy z alkoholem, narkotykami itd. Czy zdarzyło jej się np. stracić pod wpływem alkoholu świadomość. Są też pytania o jej stan zdrowia, zwłaszcza psychicznego, i o placówki, w których była leczona.

Jeśli chodzi o rodzinę, tę najbliższą i dalszą, trzeba odpowiedzieć, gdzie bliscy mieszkają i gdzie pracują. Pytania dotyczą współmałżonka, ewentualnie partnera życiowego, rodziców, rodzeństwa i dzieci. Te kwestie są ważne dla sprawdzających, zwłaszcza jeśli ktoś z rodziny mieszka na stałe za granicą. W czasach PRL kłopotem byli bliscy mieszkający w USA, dziś kłopotem są ci, którzy mieszkają w Rosji.

W ankiecie trzeba również wymienić swoje zagraniczne podróże i osoby z zagranicy, z którymi utrzymywało się kontakty, prywatne bądź służbowe. Jest też pytanie, czy dana osoba była w przeszłości indagowana przez obce służby specjalne.

Banaś musi się liczyć z tym, że gdyby złożył rezygnację, następnego dnia zostałby aresztowany.

Szczegółowa jest także część dotycząca zarobków. Trzeba poinformować o wszystkich przychodach, posiadanych kontach, nieruchomościach i innych cennych rzeczach; wyjaśnić, jakie były źródła finansowe ich nabycia. Dotyczy to również osób, z którymi wypełniający ankietę pozostaje we wspólnym gospodarstwie domowym. Jest też pytanie o zobowiązania finansowe.

Potem ankieta jest sprawdzana. Zajmuje się tym specjalna komórka w ABW, wchodząca w skład Departamentu Ochrony Informacji Niejawnych. Jak takie sprawdzanie wygląda? Rutynowo. To, czy ktoś miał problemy z prawem, można sprawdzić w Krajowym Rejestrze Osób Skazanych i Krajowym Centrum Informacji Kryminalnej, wysyłane są też zapytania do policji, żeby miejscowa komenda sprawdziła, czy ma jakieś informacje na temat danej osoby. Podobnie sprawdza

eprasa.pl 3df9b58589

się rodzinę. Jeśli chodzi o konta w banku, przelewy, bardzo łatwo to sprawdzić za pośrednictwem baz danych policji skarbowej. Cała historia kont jest prześwietlana, porównywana z PIT-ami.

Jak mówią ludzie związani ze służbami specjalnymi, sprawdzenie takiej ankiety nie jest szczególnie trudne. ABW ma dostęp do wszystkich baz danych, także do tych najbardziej wrażliwych, więc prześwietlenie wiceministra czy urzędnika wysokiego szczebla można zrobić naprawdę szybko – i w razie niejasności poprosić o wyjaśnienia. „Może być tak, że sprawdzana osoba napisała, że ma cztery konta. A my odkrywamy, że ma kolejne – mówi człowiek ze służb. – Wtedy wzywamy ją i pytamy: mamy pana/pani oświadczenie, że ma pan/pani cztery konta. A my mamy informację o piątym. To prawda? I wtedy słuchamy odpowiedzi. Może być różna: o tak, zapomniałem wpisać, albo taka, że nic takiego nie mam. I w zależności od tej odpowiedzi, na ile jest ona zgodna z prawdą, albo zgodę na dopuszczenie się daje, albo prowadzi dalej postępowanie sprawdzające".

Nasi rozmówcy nie ukrywają, że sprawy finansowe są szczególnie dokładnie badane. Zwłaszcza to, czy kontrolowana osoba żyje na poziomie odpowiadającym jej zarobkom. Innymi słowy, czy nie wydaje więcej, niż zarabia.

•

W ten sposób sprawdzany był również Marian Banaś. I 6 kwietnia 2016 r. ABW przyznała mu certyfikat uprawniający do dostępu do informacji o statusie ściśle tajne. Taki dokument obowiązuje przez pięć lat.

•

Dla naszych rozmówców jest oczywiste, że funkcjonariusze, którzy sprawdzali jego ankietę, bardzo szybko wychwycili wszystkie nieprawidłowości: „Państwowy urzędnik, żona nauczycielka, a okazuje się, że mają kamienicę, trzy mieszkania i dwa domy. Wszystko o wartości 6-8 mln zł. To się rzuca w oczy".

Jako podsekretarz stanu w Ministerstwie Finansów w 2015 r. Banaś musiał wypełnić ankietę bezpieczeństwa.

Rzeczywiście, według ostatniego dostępnego oświadczenia majątkowego Marian Banaś ma ok. 156,5 tys. zł oszczędności. Oraz, wraz z żoną, dwa domy o powierzchni 700 m kw. (własność żony) i 50 m kw. (dom rodzinny Mariana Banasia). Poza tym trzy mieszkania o powierzchni: 71 m kw., 76 m kw. (współwłasność z żoną) i 40 m kw.

Co Mariusz Kamiński wie o Marianie Banasiu i dlaczego podległe mu służby w porę nie zadziałały?

Jeden z naszych rozmówców wskazuje jeszcze inną okoliczność: „Wiemy z mediów, że w tej kamienicy był hotel na godziny, że zarządzały nim osoby ze świata przestępczego. Co więcej, wiemy, że policja interweniowała tam 30 razy. Jest więc oczywiste, że policja doskonale znała ten hotel i wiedziała, kto jest jego właścicielem. Trudno uwierzyć, że ta wiedza nie poszła do góry. W dodatku, pisały o tym media, służby musiały znać sytuację Mariana Banasia choćby z powodu donosów, które go dotyczyły. Jeden z nich napisali pracownicy Krajowej Administracji Skarbowej z Krakowa. Ale on najpierw przeleżał się ileś miesięcy w kancelarii premiera, potem wysłano go do Ministerstwa Finansów, a tam też nie nadano mu jakiegokolwiek trybu. Dlaczego? Dlaczego w Krakowie wiedziano o Banasiu wszystko, a w Warszawie te informacje ignorowano?".

Nasi rozmówcy opisują mechanizm, jaki musiał zadziałać w służbach w przypadku Mariana Banasia. Pierwsze ogniwo to funkcjonariusz ABW, który sprawdzał obecnego szefa NIK. Są dwie możliwości – albo sprawdzał i niczego nie zauważył, albo – przeciwnie – zauważył. Pierwsza ewentualność jest mało prawdopodobna, to dowód na jego niekompetencję. Druga – otwiera pole do spekulacji. Bo powinniśmy założyć, że ten funkcjonariusz musiał spostrzec, że sporo rzeczy się nie zgadza, musiał zatem poinformować o tym przełożonego. I poszedł do naczelnika wydziału albo od razu do dyrektora departamentu. A dyrektor departamentu? On z kolei powinien się udać do swojego zwierzchnika, czyli do szefa ABW.

W tym korowodzie istotne jest, czy funkcjonariusz, który wykrył nieprawidłowości, napisał o tym notatkę. Bo w ABW powinny być ślady, że Marian Banaś był sprawdzany i że jego oświadczenie budzi wątpliwości. Jeżeli taka notatka jest, to stosunkowo łatwo ustalić, na którym szczeblu zapadła decyzja, że Banaś jest czysty i że ABW powinna mu przyznać dopuszczenie do tajemnic.

Nasi rozmówcy nie mają wątpliwości – najniższym szczeblem,

FOT. FORUM

eprasa.pl 3df9b58589

na którym taka decyzja mogła zapaść, było stanowisko szefa ABW. Ale równie dobrze decyzja dotycząca Mariana Banasia mogła zostać podjęta na szczeblu politycznym – czyli przez koordynatora ds. służb specjalnych Mariusza Kamińskiego albo szeregowego posła Jarosława Kaczyńskiego.

Kto zatem? Media już pod koniec października spekulowały, że ofiarą będzie szef ABW Piotr Pogonowski. Choćby z tego powodu, że wcześniej, jako radca prawny, był w spółce prowadzonej przez współpracowników Banasia (dziś są zatrzymani i mają zarzuty współudziału w karuzeli wyłudzającej VAT). Przypomina się też, że w NIK pracuje żona Pogonowskiego.

Tylko że Pogonowski, tak jak Banaś, nie zamierza podawać się do dymisji i zostać kozłem ofiarnym. Zważywszy, że przetrwał w ten sposób już półtora miesiąca, można uznać, że to dobra taktyka. Ale ponieważ nie chroni go przed zwolnieniem, tak jak Banasia, konstytucja, należy przypuszczać, że ma w zanadrzu jakieś argumenty, które powstrzymują premiera przed drastyczną decyzją.

No dobrze, skoro uznamy, że nie Pogonowski podjął decyzję w sprawie Banasia, to musimy spojrzeć jeszcze wyżej – w stronę Mariusza Kamińskiego i Jarosława Kaczyńskiego.

Łatwo przecież możemy sobie wyobrazić taką scenę, że obaj panowie oglądają materiały dotyczące Mariana Banasia i wydają opinię, że nie są to jakieś dyskwalifikujące sprawy. Handluje kamienicami? Z materiałów dotyczących reprywatyzacji warszawskiej wiemy, że swego czasu PiS zamierzało powołać spółkę, która zajmowałaby się „odzyskiwaniem", tak pisał w grepsie były wicedyrektor Biura Gospodarki Nieruchomościami Jakub R. Może zatem „przedsiębiorczość" Banasia ani Kaczyńskiego, ani Kamińskiego nie gorszyła? A że coś źle wpisał w oświadczeniu majątkowym? Czy to ważne, skoro jest pisowcem z krwi i kości i razem z Kaczyńskim przeszedł cały szlak bojowy?

Banaś w PRL był twardym opozycjonistą, odsiedział swoje w więzieniu. Karierę w III RP zaczynał u boku Antoniego Macierewicza. W roku 1992, gdy Macierewicz był szefem MSW, Banaś przyszedł tam razem z nim, miał osobny pokój, w którym pracował, i przygotowywany był na szefa Straży Granicznej. Nie zdążył jednak objąć tego stanowiska. A potem był już u boku Lecha Kaczyńskiego, gdy ten został szefem NIK.

Decyzję o dopuszczeniu Banasia do tajemnic państwowych mógł podjąć albo szef ABW, albo Mariusz Kamiński, albo Jarosław Kaczyński.

Innymi słowy, Jarosław Kaczyński mógł uznać, że tak zaufany współpracownik, sprawdzony przez lata, nie może być nieuczciwy. Tak mogło to wyglądać, choć wielu uważa, że bardziej prawdopodobny jest inny scenariusz – prezes PiS uznał, że sprawa hotelu i zeznań majątkowych jest wygodnym hakiem i zapalił dla awansu Banasia zielone światło.

Która z tych wersji jest bardziej prawdopodobna? A może obie naraz?

•

Wiemy już więc, jak Marian Banaś mógł przejść kontrolę ABW. A kontrola CBA, która rozpoczęła się w kwietniu tego roku i trwała do października? To na jej podstawie Biuro złożyło do prokuratury zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przez Mariana Banasia przestępstwa.

Jakiego – tego nie wiemy, bo CBA odmawia udostępnienia raportu w sprawie prezesa NIK. Opozycja go nie dostała. Widać zatem, że sprawę Banasia PiS chce rozegrać na swoich warunkach, tak aby opozycja i opinia publiczna jak najmniej wiedziały. Cóż takiego może tam być?

Dodajmy, że dochodzenie CBA w sprawie Banasia trwało zadziwiająco długo. Nasi rozmówcy twierdzą, że na taką sprawę wystarczą dwa-trzy tygodnie. Tymczasem CBA analizowało wszystko pół roku. Dlaczego?

•

Sprawa Mariana Banasia rozgrywa się więc na kilku poziomach. Mamy w niej na pewno urzędnika wysokiego szczebla, który zbuntował się i nie posłuchał Jarosława Kaczyńskiego, gdy ten wezwał go do rezygnacji. Mimo że ta rezygnacja była już wynegocjowana i dogadana. Co takiego się zdarzyło, że Banaś się wycofał? Czy ktoś zerwał jakieś ustalenia? A może Banaś się zorientował, że jak tylko poda się do dymisji, przyjdzie po niego policja i trafi do aresztu? I dlatego podjął walkę?

Na razie strzelił celnie – NIK złożyła 16 zawiadomień do prokuratury z powodu nieprawidłowości w programie Ministerstwa Sprawiedliwości „Praca dla więźniów". Państwo miało ponieść straty rzędu dziesiątków milionów złotych. Program ten nadzorował Patryk Jaki.

Czy Banaś będzie atakował dalej? Jako szef NIK może wiele. Pamiętajmy, że jako szef Krajowej Administracji Skarbowej, w skład której wchodzi też policja skarbowa, nadzorował urzędników mających wgląd w dochody i majątek wszystkich Polaków, mogących badać wszystkie przepływy finansowe. No, takiego człowieka nie można traktować na zasadzie: podaj się do dymisji i milcz.

Robert Walenciak

Książka PRZEGLĄDU!

DOKUMENTY Z OKUPOWANEGO KRAJU I EMIGRACJI OBNAŻAJĄ RZĄDY SANACYJNEJ ELITY

Wpłat 45 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. Książkę można też zamówić na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl. W cenę książki wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl 3df9b58589

Bez uprzedzeń

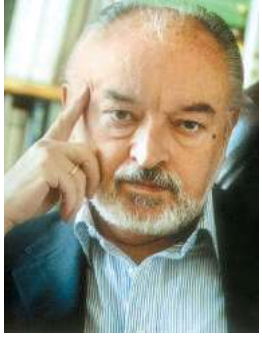

Bronisław Łagowski

Nasz człowiek w wielkiej polityce

Jak każdy z nas i ja w jakąkolwiek stronę świata wzrok skieruję, wszędzie wypatruję poloników. W latach 60. wypatrzyłem w prasie amerykańskiej doktora nauk politycznych obracającego się w kręgach rządowych i akademickich, noszącego nazwisko Zbigniew Brzeziński. Do głowy mi nie mogło przyjść, że jako członek Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego będę kiedyś uczestniczył w uroczystości przyznawania mu doktoratu honorowego naszej uczelni. Im lepiej zaznajamiałem się z publikacjami i działalnością Brzezińskiego, tym więcej miałem dla niego podziwu. Gdy Stanley Hoffmann lub inny jakiś harwardczyk złośliwie albo i niezłośliwie go krytykował, cierpiałem, jakbym ja był obiektem nagany. „Zbig idzie na wykład, będzie mówił o 365 sposobach wyzwolenia Polski" – podobno jakoś tak go komentowano na korytarzach Harwardu czy Columbii.

Była taka dekada, gdy w kręgach wysokiej polityki Ameryki i Francji pojawiła się nadreprezentacja Polaków z pochodzenia. W USA senator Muskie, „czysty" Polak, kandydował na prezydenta, we Francji ministrem był książę Poniatowski, także markiz d'Ornano, po matce Michalskiej Polak, dwóch Palewskich na wysokich stanowiskach, kresowo brzmiące nazwisko de Lipkowski nosił wiceminister spraw zagranicznych Francji, a Zablocki był przewodniczącym parlamentarnej komisji spraw zagranicznych, ale nie wiem, amerykańskiej czy francuskiej. Czy to się nie musiało skończyć polskim papieżem?

Brzezińskiemu przypisuje się wielkie zasługi w obaleniu czy rozkruszeniu Związku Radzieckiego. Jeszcze dziś w Moskwie to nazwisko wymienia się z przestrachem. Jednak nie wszystkie wielkie plany Brzezińskiego kończyły się powodzeniem. Widzimy, jak jeden z jego planów strategicznych właśnie runął. Sądził Brzeziński, że najskuteczniejszym środkiem na ograniczenie, obalenie, rozczłonkowanie Rosji będzie sojusz Stanów Zjednoczonych z Pekinem. Te środki nie muszą od razu być „bogate", zacząć można od „ubogich". Rząd Stanów Zjednoczonych według Brzezińskiego powinien jak najczęściej umawiać się z Chinami na spotkania w cztery oczy w ważnych sprawach, albo i niekoniecznie ważnych, ale tak, aby Rosjanie poczuli, że są wykluczeni, że dwaj wielcy decydują o sprawach świata, pokazując Rosji, jakie jest jej miejsce, a jest ono trzeciorzędne. Będzie to działanie na morale przeciwnika takie, jakie zawsze poprzedza użycie środków „bogatych".

Trudno mi zrozumieć, skąd Amerykanie brali pewność, że Rosja i Chiny są skazane na stosunki wrogie, i dlaczego nadal tak myślą. Może to jest myślenie zoologiczne, mające zakodowaną pewność, że organizmy wielkich rozmiarów wolą siedzieć tam, gdzie raz usiadły.

Według tego, co widać, to rządy chiński i rosyjski mają sekretne kontakty, do których nie chcą dopuszczać Amerykanów. Operowanie sekretami może niczego nie rozstrzyga, ale zasiewa wrogą nieufność.

Powiem rzecz powszechnie wiadomą: jeżeli Chiny będą się rozwijać w tempie i z takim rozmachem jak dotychczas – co nastąpić nie musi – staną się potęgą równą USA, a moralnie silniejszą.

Jedna z polskich gazet przedrukowała artykuł dwóch amerykańskich politologów z tezą, że skoro koncepcja Brzezińskiego upadła tak spektakularnie, to Stanom Zjednoczonym nie pozostaje nic innego, jak tylko zmienić politykę wobec Rosji. Wielkiej dyskusji na temat tego artykułu nie było ani w Polsce, ani w Ameryce. Ameryka jest oszołomiona wrogością wobec Rosji, a jak wróci do trzeźwości, wtedy rozważy się sprawy na nowo.

Jeżeli Chiny będą się rozwijać w tempie i z takim rozmachem jak dotychczas, staną się potęgą równą USA, a moralnie silniejszą.

Brzezińskiemu powiodło się w innej sprawie. Gdy przyszła moda na okładanie Rosji sankcjami, Wielki Zbig usilnie radził wprowadzić sankcje dotkliwe i nic niekosztujące w formie wykluczenia rosyjskich sportowców z wielkich zawodów międzynarodowych. Trochę trwało, zanim udało się decydentów sportowych jednych przekonać, drugich urobić, w końcu cel został osiągnięty.

Pod koniec życia Zbigniew Brzeziński został odznaczony jednym z najwyższych orderów niemieckich. Jacyś Rosjanie zdziwili się, że przyjął order od byłych wrogów, Brzeziński odpowiedział, że ma nadzieję, że z czasem zostanie odznaczony orderem rosyjskim.

Był orędownikiem spraw ukraińskich, ale to z jego nazwiskiem kojarzy się koncepcja „finlandyzacji" Ukrainy. Wroga armia (natowska czy ukraińska) w pobliżu Stalingradu byłaby wyzywaniem losu. Niepodległość tak, ale bez środków militarnych grożących Rosji. Podobnie myśli Henry Kissinger.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3df9b58589

Antyklerykał Franciszek

Co się stało z polskim Kościołem, że stary, pobożny i przyzwoity papież postrzegany jest jako źródło jego kryzysu?

Jarosław Makowski

Czy Franciszek, ze swoją otwartością na ateistów i homoseksualistów, miłosierdziem wobec grzeszników i zagubionych, troskliwością wobec bezdomnych i ubogich, okazałby się miłym niezapowiedzianym gościem, gdyby zapukał do drzwi jednego czy drugiego pałacu biskupiego podczas wigilijnej nocy? Czy znalazłoby się dla niego wolne miejsce przy stole?

Zacznę od uchylenia rąbka tajemnicy. Rzecz dotyczy rozmowy, jaką przeprowadziłem w listopadzie ze znajomym księdzem. Fakt, dawno się nie widzieliśmy. Kolega nie tylko lekko przytył, ale także został zacnym proboszczem. Znajomy kapłan ma doktorat z teologii. Pisał swoją rozprawę – by było ciekawiej – na temat teologii Marcina Lutra. Zdawać by się więc mogło, że ekumenista pełną gębą. Takim go zresztą zapamiętałem. Jednak po krótkiej wymianie zdań zauważyłem, że otwarta postawa, którą pamiętałem, już nie istnieje.

Rozmowa zaczęła się niewinnie. A mianowicie od stwierdzenia, że papiestwo jest w kryzysie. Wziąłem to za dobrą monetę i powiedziałem, że to prawda – ani św. Jan Paweł II, ani pancerny papież Joseph Ratzinger nie uchronili Kościoła przed największym od lat kryzysem wiarygodności, który ma źródło w ukrywaniu przez Kościół i biskupów skandali pedofilskich. Tu miła pogawędka się skończyła. Kolega powiedział, że błądzę. Że kryzys papiestwa zawdzięczamy głównie papieżowi Franciszkowi. Dlaczego? Bo Franciszek rozmywa kościelną doktrynę, brata się z ateuszami, przesadza z miłosierdziem wobec osób rozwiedzionych. Ciągle prowadzi dialog. I akceptuje homoseksualizm. Jak widać, lista grzechów, które zdaniem znajomego księdza popełnia papież, jest długa.

Ale ta rozmowa uświadomiła mi coś jeszcze. Postawa, którą polscy duchowni przyjmowali wobec obecnego biskupa Rzymu – „przeczekamy" – już nie działa. Zbyt długi ten pontyfikat. Zbyt radykalne zmiany wprowadza Franciszek. Dlatego coraz częściej pojawia się inny rodzaj postawy: ten papież jest źródłem kryzysu w Kościele, dlatego jego nauczanie trzeba ignorować. Zobaczmy zatem, jakie są główne powody niechęci polskich duchownych i religijnej prawicy do papieża z Argentyny.

Franciszek zbyt irytujący

Po pierwsze, jest obcy. Znaczy, nie jest nasz. Nie jest Janem Pawłem II. A w zasadzie jest jego przeciwieństwem. Franciszkowi znacznie bliżej do Jana XXIII, papieża, który zwołał II Sobór Watykański, niż do papieża Wojtyły, który w tej swoistej rewolucji kopernikańskiej w Kościele widział również przyczyny jego kryzysu. Chyba najlepiej dystans polskich duchownych do Franciszka pokazuje to, że jest on *de facto* nieobecny w ich oficjalnym nauczaniu. Jeśli prześledzimy wypowiedzi księży czy biskupów, zobaczmy, że – szczególnie gdy żył Jan Paweł II – nieustannie powoływali się na nauczanie polskiego papieża. Dziś, choć Franciszek prowadzi aktywny pontyfikat, w wypowiedziach naszych duchownych wciąż jak na lekarstwo cytatów czy to z oficjalnych dokumentów papieża, choćby z „zielonej encykliki" *Laudato si'*, czy to z jego licznych przemówień, wystąpień i książek. Ten brak obecności myśli Franciszka jest w wystąpieniach polskich księży widoczny i zdradza ich duży do niego dystans.

Po drugie, Franciszek zawiesza na kołku fałszywą jego zdaniem alternatywę, którą przez lata głosił Jan Paweł II, sprowadzający oś sporu do kontrastu: cywilizacja życia *versus* cywilizacja śmierci. Jak wiemy, sprawy te – od aborcji przez środki antykoncepcyjne po in vitro – były znakiem firmowym nauczania Jana Pawła II i Benedykta XVI. Są też znakiem firmowym polskich biskupów, którzy z wielkiego dorobku papieża Wojtyły nauczyli się tylko tej jednej rzeczy. Nie usłyszymy, jak nasi hierarchowie rozwijają nauczanie Jana Pawła II dotyczące dialogu międzyreligijnego czy kwestii społecznych. Jeśli polski papież pojawia się w nauczaniu polskich biskupów, to jako niestrudzony „obrońca życia nienarodzonego". Nie dziwi więc, że Franciszek irytuje

Ani św. Jan Paweł II, ani pancerny papież Joseph Ratzinger nie uchronili Kościoła przed największym od lat kryzysem wiarygodności.

eprasa.pl 3df9b58589

Podczas spotkania w trakcie Światowych Dni Młodzieży 2016 Franciszek napominał polskich biskupów: „Jeżeli przyjdą młodzi ludzie i proszą o udzielenie ślubu, a ksiądz wyciąga cennik, to jest to barbarzyństwo".

polskich biskupów, gdyż inaczej niż Jan Paweł II widzi zasadniczą oś sporu cywilizacyjnego. Już nie cywilizacja życia kontra cywilizacja śmierci. Franciszek zmienia optykę – bardziej niepokoją go nierówności społeczne, niesprawiedliwość i ubóstwo niż spory bioetyczne. Dziś konflikt, jego zdaniem, rozgrywa się między cywilizacją chciwości a cywilizacją solidarności. Albo, by użyć jeszcze jednego określenia, kulturą czułości a kulturą odrzucenia. Papież Bergoglio słusznie podkreśla, że Robotnik z Nazaretu zasadniczo mówił w przypowieściach o biedzie i wykluczeniu, a nie o seksie, antykoncepcji i masturbacji. Dobre społeczeństwo poznaje się po tym – przekonuje – jak traktuje ono najbiedniejszych, poniżonych, zepchniętych na margines. Nie wolno nam tolerować kultury zbędnego – mówi papież – nikt nie jest zbędny. Wszyscy jesteśmy braćmi.

Dlatego tak mocno poruszyły świat przywołane przez Franciszka figury: z jednej strony banku, z drugiej bezdomnego. Gdy upada jakiś bank, natychmiast pojawiają się skandalicznie wysokie sumy na jego ratowanie, ale gdy przed drzwiami szpitala umiera bezdomny, nasze serca pozostają nieporuszone. Gdybyśmy jednak słuchali tylko wypowiedzi abp. Marka Jędraszewskiego, moglibyśmy dojść do przekonania, że Biblia w całości jest poświęcona tzw. ideologii LGBT, a nie biednym czy wykluczonym, jak pokazuje to Franciszek.

Franciszek zbyt krytyczny

Po trzecie, papież Bergoglio rozumie, że aby jego rewolucja, której istotą jest Kościół ubogi i dla ubogich, mogła być wiarygodna – musi ją zacząć od siebie. I od swoich braci w kapłaństwie. Dlatego zrezygnował z mieszkania w apartamencie watykańskim, obiekcie pożądania wielu rzymskich purpuratów. Dlatego obok placu św. Piotra otworzył dzienny ośrodek i noclegownię dla bezdomnych w należącej do Watykanu czteropiętrowej kamienicy o powierzchni 2 tys. m kw. I dlatego wymaga świadectwa także od księży.

> Franciszek jest de facto nieobecny w nauczaniu polskich duchownych.

Franciszek, co nie przysparza mu fanów wśród tutejszych duchownych (niektórzy nawet modlą się o jego „dobrą śmierć"), jest jednym z największych antyklerykałów w Kościele. Bo uważa, i słusznie, że najbardziej zatwardziałą grupą stojącą na przeszkodzie odnowie w Kościele są... księża. Jak bardzo krytycznie odnosi się do duchownych, którzy kwestionują jego wizję Kościoła i roli w pluralistycznym społeczeństwie, dowodzi słynna mowa wygłoszona do kardynałów kurii rzymskiej tuż przed Bożym Narodzeniem w 2014 r., w której Franciszek wymienił 15 grzechów ludzi Kościoła. Cierpią oni na patologię władzy, dotyka ich duchowy alzheimer, sprowadzają swoją posługę do biurokracji i księgowości, nie unikają „rozwiązłego życia". Gdybyśmy nie wiedzieli, że tak gorzkie słowa pod adresem księży padają z ust papieża, pomyślelibyśmy, że są to zarzuty zatwardziałego krytyka Kościoła.

Jeśli jednak Franciszek decyduje się na tak ostrą krytykę duchowieństwa, to dlatego, że nie bierze za dobrą monetę przekonania, którym wciąż próbuje się szantażować krytycznych katolików: Kościół jest matką, a matki się nie krytykuje. Jeśli widzisz zło, także w Kościele – zdaje się sądzić Franciszek – i nie reagujesz, stajesz się współsprawcą tego zła. Dlatego jeśli kochasz Kościół, krytykujesz go. Tym samym Franciszek zachęca laikat do piętnowania ewidentnych patologii w Kościele. Zachęca na tyle skutecznie, że obudził się rodzimy laikat, w ramach którego powstał ruch świeckich Odzyskajmy nasz Kościół. Świeccy katolicy mówią wprost: mamy dość patrzenia na twarz Kościoła w Polsce, który reprezentują właściwie wyłącznie biskupi i księża. Kościół to nie tylko oni!

To w końcu praktyczna próba zerwania z przedsoborowym podziałem na Kościół nauczający i Kościół słuchający. Ten pierwszy tworzą duchowni, ten drugi – świeccy katolicy. Ciekawe, że w Krakowie do protestujących wyszedł ksiądz, który na pytanie, kto jest Kościołem, mówił: „Kościół to jest hierarchia. To są biskupi, księża i kardynałowie".

Ta sytuacja pokazuje, że idee soborowe mocniej się zakorzeniły wśród świeckich niż wśród księży, którzy boją się utraty władzy i monopolu na głoszenie Ewangelii. Dlatego, jak sądzę, będą zwalczać ruch

eprasa.pl 3df9b58589

Odzyskamy nasz Kościół. Jednak dla polskich katolików Franciszek będzie sojusznikiem.

Franciszek zbyt otwarty

Po czwarte, Franciszek ceni dialog. Nie boi się tych, którzy myślą inaczej niż on. To odróżnia go od naszych biskupów i księży – oni, jeśli się z kimś nie zgadzają, nazywają go marksistą, ekoterrorystą lub czerwoną zarazą. Franciszek chce Kościoła wychodzącego do ludzi, a nie czekającego na ludzi. Kościół nie może tylko potępiać świata, ma również – może nawet przede wszystkim – troszczyć się o niego. A to znaczy podejmować rozmowę, czasem się zgadzając, czasem polemizując.

Dla Franciszka przykładem jezuity, który nie bał się świata, nie bał się ludzi o odmiennych poglądach, był jego współbrat Piotr Faber. Pytany przez Antonia Spadara w książce „Serce wielkie i otwarte na Boga", jakie cechy charakteru fascynują go u Fabera, papież wyznaje: „Dialog ze wszystkimi ludźmi, nawet z najbardziej zagorzałymi przeciwnikami; prosta pobożność i swego rodzaju naiwność; dyspozycyjność nieznosząca zwłoki oraz fakt, że w sposób stanowczy potrafił podejmować ważne i radykalne decyzje, a jednocześnie potrafił być bardzo łagodny".

Gdybyśmy słuchali tylko abp. Jędraszewskiego, moglibyśmy dojść do przekonania, że Biblia w całości jest poświęcona ideologii LGBT.

Czy może więc dziwić, że Franciszek zaraz po zamieszkaniu w Watykanie, w Domu św. Marty, rozpoczął twórczy dialog z założycielem i byłym redaktorem naczelnym włoskiego dziennika „La Repubblica", Eugeniem Scalfarim? Papież mówi o nim, że jest osobą niewierzącą, ale zarazem ciekawą wiary. Zaczęło się niewinnie – Scalfari napisał w „La Repubblice" tekst, w którym postawił Franciszkowi trzy pytania: o grzech, o wybaczenie, o prawdę i ludzkie przeznaczenie. Zaznaczył, że nie sądzi, by papież mu odpisał. I że pyta nie tylko jako dziennikarz, ale też jako człowiek niewierzący, którego od wielu lat intryguje wiara i osoba Jezusa Chrystusa. Jakież więc musiało być zdziwienie Włocha, gdy Argentyńczyk odpowiedział na jego pytania. Mało tego, zaraz potem doszło do spotkania i rozmowy między Franciszkiem i Scalfarim. Pokazała ona, jak papież widzi rolę Kościoła w twórczej dyskusji ze współczesną, ponowoczesną kulturą, której reprezentantem jest założyciel „La Repubbliki".

To spotkanie najlepiej pokazuje, jak może/ma wyglądać Kościół wychodzący do ludzi. Kościół, który nie tyle nawraca, ile chce się spotykać. Kościół, który nie tyle poucza, ile daje świadectwo. Bo zdaniem papieża prozelityzm jest błędem. „Nawracanie to głupota. Trzeba umieć się nawzajem poznać i wysłuchać. Zdarza się, że po jednym spotkaniu mam ochotę na kolejne, bo rodzą się nowe idee i odkrywa się nowe potrzeby. To ważne: poznać się, wysłuchać, poszerzyć krąg myśli. Na świecie pełno dróg, które to zbliżają się do siebie, to się oddalają, ale ważne jest, by prowadziły ku dobru".

A więc: dialog, który papież praktykuje, dając świadectwo własnym życiem, sprowadza się do trzech kroków: poznać się, wysłuchać, poszerzyć krąg myśli. Dlatego w optyce Franciszka nie ma odwrotu od dialogu ze współczesną kulturą. Nie ma alternatywy dla ekumenizmu. I nie może być mowy o zaniechaniu dialogu między religiami. Bo celem dialogu, jak konkluduje biskup Rzymu, musi być Dobro – pisane wielką literą. Nie prawda, ale Dobro. Raz jeszcze Franciszek pokazuje, że etyka jest ważniejsza niż metafizyka, miłosierdzie jest ważniejsze niż doktryna. Retoryka czułości, która od początku pontyfikatu zdominowała papieskie nauczanie – czułości, o której tak pięknie mówiła Olga Tokarczuk w mowie noblowskiej, przełożyła się na politykę solidarności. Parafrazując innego noblistę, Alberta Camusa, Franciszek swój nowy program dla Kościoła mógłby sprowadzić do wyznania: „Istnieje Dobro i istnieją upokorzeni: bez względu na to, jak byłoby to trudne, pragnę nie sprzeniewierzyć się ani temu pierwszemu, ani tym drugim". Czy wyobrażacie sobie, że abp Jędraszewski siada do jednego stołu, by rozmawiać z Olgą Tokarczuk albo prof. Zbigniewem Mikołejką?

Franciszek zbyt miłosierny

Po piąte, kryzys migracyjny był chyba tym dramatycznym wydarzeniem, które najdobitniej pokazało przepaść między sposobem myślenia papieża i naszych biskupów. Pierwszą podróżą, jaką odbył Franciszek po wybraniu go w roku 2013, była pielgrzymka na włoską wyspę Lampedusa. Nie do jakiegoś sanktuarium, nie na spotkanie z przywódcą innego wyznania czy religii. Wybrał wyspę będącą symbolem dramatu uchodźców. Kiedy już tam się pojawił, a za nim kamery światowych telewizji, mówił: „Prośmy Pana o łaskę płaczu nad naszą obojętnością, nad okrucieństwem, jakie jest w świecie, w nas, również w tych, którzy bezimiennie podejmują decyzje społeczno-gospodarcze, które otwierają drogę do podobnych dramatów".

Franciszek jako chrześcijanin robi to, co trzeba – gdy widzi człowieka cierpiącego, biegnie mu z pomocą. I tak należy czytać jego kolejną wizytę, tym razem na greckiej wyspie Lesbos, gdzie ramię w ramię z ekumenicznym patriarchą Konstantynopola Bartłomiejem oraz arcybiskupem Aten i całej Grecji Hieronimem odwiedził obóz

FOT. PAP/MACIEJ KULCZYŃSKI, EAST NEWS

eprasa.pl 3df9b58589

uchodźców Moria. Przebywało tam wtedy ok. 2,5 tys. osób, oczekujących na azyl. To wizyta symboliczna, gdyż Lesbos stała się także znakiem „kultury obojętności", która toczy nas, szczególnie zachodni świat. Stała się miejscem, gdzie „składuje się" ludzi odpady, którymi nikt nie chce się zaopiekować. Jest „ludzkim śmietniskiem" omijanym szerokim łukiem przez wszystkich – ale nie przez Franciszka, który jeszcze przed wylądowaniem na wyspie mówił: „Ta podróż jest smutna. Lecimy zobaczyć tylu ludzi, którzy cierpią i nie wiedzą, dokąd iść".

Uchodźcy stali się lustrem, w którym przegląda się każdy z nas: polski Kościół i my, polscy katolicy.

A na Twitterze napisał: „Uchodźcy to nie liczby, tylko osoby: to twarze, imiona, historie życia i odpowiednio do tego należy ich traktować".

Jak na wezwanie Franciszka zareagował polski Kościół? Jak odebrała je religijna prawica? Uchodźcy stali się lustrem, w którym przegląda się każdy z nas – przegląda się polski Kościół i my, polscy katolicy. Przegląda się nasze człowieczeństwo. Tak przynajmniej sądził Franciszek, który w duchu chrześcijańskiej pokory i miłosierdzia w Wielki Czwartek 2016 r. obmył stopy uchodźcom – w tym kobietom. I nie tylko katolikom, bo wśród tych 12 osób znaleźli się, owszem, czterej katolicy z Nigerii, ale również trzy prawosławne koptyjki z Etiopii, jeden hinduista, trzech muzułmanów z Syrii, Pakistanu i Mali. Do 11 migrantów dołączyła jedna pracownica ośrodka – Włoszka, katoliczka. Papież przy tej okazji wygłosił krótkie kazanie. Powiedział, nawiązując do zamachu w Brukseli: „Jesteśmy świadkami dwóch gestów: dziś zgromadziliśmy się razem – muzułmanie, hinduiści, katolicy, koptowie, ewangelicy – jako bracia, dzieci tego samego Boga, którzy chcą żyć w pokoju, a trzy dni temu w europejskim mieście ujrzeliśmy gesty wojny i zniszczenia, dokonane przez ludzi, którzy nie chcą żyć w pokoju".

Ten gest obmycia nóg, będący gestem naśladowania czynów samego Jezusa, i słowa Franciszka stały się dla polskiej prawicy religijnej powodem do wyrzucenia z siebie sporych pokładów nienawiści. Oto kilka wpisów, jakimi „pobożni katolicy" postanowili skomentować pełen pokory i miłosierdzia papieski gest: „Papież (jeśli można go tak nazwać) zbezcześcił Wielki Czwartek", „Franciszku! Przykro mówić, ale tracisz szacunek wiernych przy każdym pojawieniu się", „Ten dziwny człowiek spowodował, że odchodzę od Kościoła", „Gest poddaństwa, słabości i głupoty", „Szkoda, że nie umył tym, którym islam nogi oderwał za pomocą bomb", „Jestem ciekaw, czy jak wysadzą Watykan, też będzie miłosierny".

Franciszek jako chrześcijanin robi to, co trzeba – gdy widzi człowieka cierpiącego, biegnie mu z pomocą.

Internetowym nienawistnikom wtórowali prawicowi katoliccy publicyści. Robert Tekieli przekonywał, że zachowanie Franciszka to zwyczajna uległość. „Myślę, że muzułmanie odebrali to w taki sposób, że Europa klęknęła przed nimi na kolana". Z kolei Paweł Lisicki, redaktor naczelny prawicowego tygodnika „Do Rzeczy", o geście papieża pisał: „Uważam, że w tym momencie jest niewłaściwy i nieroztropny. Być może wynika to z dobrych intencji, ale w konsekwencji może przynieść złe rezultaty". A teraz zapytajmy, co o naszej wierze, Kościele i człowieczeństwie mówią nam przytoczone tu reakcje religijnej prawicy na gesty i słowa Franciszka, które pokazują sedno chrześcijaństwa.

Największym zagrożeniem dla religii są nie ateiści, bezbożnicy, ale ludzie, którzy mówią o sobie, że są głęboko religijni, i podkreślają, jak bardzo są „wiernymi synami Kościoła". To właśnie tacy ludzie skazali Jezusa z Nazaretu na śmierć. Co się stało z naszym Kościołem, że najlepiej czują się w nim ci, którzy z otwartą przyłbicą mówią, że są ksenofobami, nacjonalistami i rasistami? I mówię tu nie tylko o katolikach świeckich, ale również o rosnących w siłę ksenofobach w sutannach. Przesadzam? Oto życzenia, jakie czytelnikom „Gazety Polskiej" składał ks. Jarosław Wąsowicz: „Życzę Wam zmartwychwstania naszej ukochanej Ojczyzny, bez KOD-ów, fałszywych autorytetów, płatnych zdrajców. Zmartwychwstania chrześcijaństwa w Europie, która idzie ku samozagładzie. Europy bez *multi-kulti,* islamistów, lewaków i poprawności politycznej". Co się stało z naszym Kościołem, że ten stary, pobożny i przyzwoity papież postrzegany jest przez wielu duchownych jako źródło kryzysu Kościoła, a nie jako ten, który stara się przywrócić mu ewangeliczne oblicze? Zresztą nie pierwszy i pewnie nie ostatni to prorok, który przychodzi do swoich, a swoi nie tylko go nie rozpoznają, ale jeszcze z premedytacją odrzucają.

Jarosław Makowski

RUCH PRENUMERATA

Drogi Czytelniku!
Jeżeli nie zdążyłeś zaprenumerować PRZEGLĄDU w placówkach Poczty Polskiej, możesz to jeszcze zrobić za pośrednictwem RUCH SA. Zamówienia można składać do 20 grudnia 2019 r. pod numerem tel. 22 693 70 00 bądź mejlowo: prenumerata@ruch.com.pl.
Odbiór prenumeraty w najbliższym kiosku RUCH-u.

Przegląd
74 zł – I kwartał
148 zł – I półrocze
296 zł – cały rok

Jeżeli chcesz otrzymywać prenumeratę do domu, do ceny podstawowej należy doliczyć koszty wysyłki

eprasa.pl 3df9b58589

Dziewczyna i tygodnik

Świat poznał oboje tego samego dnia: 19 grudnia 1999 r. urodziła się moja córka Ania. Wtedy też z maszyn schodził pierwszy numer PRZEGLĄDU

Beata i Anna Soczawa

Szpital w Piekarach Śląskich, 19 grudnia 1999 r. O godz. 17.07 rodzi się Ania. Dwa dni później, karmiąc ją, widzę na ekranie szpitalnego telewizora znajomą twarz – Jerzy Domański, mój guru zawodowy. Kilkanaście lat wcześniej, wtargnęłam do jego gabinetu jako młoda, pełna pomysłów studentka, i zażądałam, żeby przyjął mnie na staż dziennikarski do „Sztandaru Młodych". Studiowałam na Uniwersytecie Śląskim, i postanowiłam odbyć praktykę w Warszawie, w tygodniku „ITD". To był najnudniejszy staż, pismo miało trzytygodniowy cykl wydawniczy, a ja chciałam pisać o rzeczach ważnych i żeby ludzie to czytali od razu.

Redaktor Domański chyba dostrzegł moją pasję i związałam się ze „Sztandarem Młodych" aż do 1992 r. A kilka lat później dowiaduję się, że powstał nowy tygodnik, którego pan Domański jest redaktorem naczelnym. Zaraz po powrocie z Anią do domu dzwonię do niego i pytam, czy mogę zostać reporterką na Śląsku. Tak dochodzi do drugiej odsłony naszej wieloletniej współpracy.

Moją szefową od reportażu zostaje Helena Kowalik. Pierwszy tekst piszę w kwietniu 2000 r. Ania ma zaledwie cztery miesiące, a materiał do reportażu trzeba zebrać w Częstochowie, 70 km od domu. Robimy więc wycieczkę. Mąż i teściowie idą z Anią na spacer pod Jasną Górę, a ja do moich rozmówców.

Od tego czasu córka wielokrotnie towarzyszyła mi podczas zbierania materiału albo pisania. Gdy podrosła, często czytała moje teksty przed wysłaniem do redakcji. To chyba zaszczepiło w niej twórczą pasję, bo mając 11 lat, napisała książkę o wampirach. Wydrukowaliśmy ją w kilkudziesięciu egzemplarzach na jej 12. urodziny. Rówieśnicy i nauczyciele byli pod wrażeniem. Najbardziej podoba mi się to, że Ania stworzyła główną postać, która przez całą, przeszło 200-stronicową historię jest intrygująca.

To, czego nie pamięta Ania

Dziecięce wspomnienia Ani to tak naprawdę nasze wspomnienia o tym, jakim była radosnym brzdącem, słoneczkiem dla domowników. Wszędzie jej pełno. Od drugiego roku życia ma opiekunkę, która uczy ją kolorować. Z czasem okazuje się, że Ania ma talent plastyczny, zapisujemy ją więc na zajęcia. W wieku pięciu lat zostaje laureatką dziecięcego konkursu plastycznego organizowanego przez Pałac Młodzieży w Katowicach. Na 1000 uczestników jej praca zajmuje trzecie miejsce. Od tej pory Ania co roku przynosi mnóstwo nagród – za konkurs polonistyczny, za konkurs językowy lub plastyczny.

Nauczycielka odkrywa w niej też talent wokalny. Po raz pierwszy Ania występuje w siódme urodziny. Na sali jest prawie 700 osób – rodziców, dziadków, nauczycieli i uczniów. Gdy śpiewa kolędę, wszyscy płaczą. Ma ten rodzaj wibracji głosu, który wywołuje wzruszenie. Pisze piosenki i komponuje do nich muzykę, ale ostatecznie nie to jest jej największą pasją.

Gdy Ania ma niecałe trzy lata, nasza rodzina doznaje tragedii. 25 września 2002 r., minutę po porodzie, umiera moja trzecia córeczka, Marysia. To traumatyczne wydarzenie naznacza nas na kolejne lata. Ania staje się obiektem nadopiekuńczości wszystkich członków rodziny. Dopiero po wielu latach dowiem się, ile było w niej obaw, że widzimy w niej kogoś, kogo zabrakło, a nie nią samą.

To wydarzenie kończy się 14 lat później wydaniem książki „Dlaczego moje dziecko? Okrutne błędy natury". Ania jest już wtedy uczennicą Szkoły Plastycznej w Bielsku-Białej, gdzie przeprowadziliśmy się, gdy szła do piątej klasy. Konsultuje z grafikiem

eprasa.pl 3df9b58589

pomysł na okładkę tej książki. W międzyczasie na łamach PRZEGLĄDU publikuję wiele reportaży, wywiadów i artykułów dotyczących diagnostyki prenatalnej, wysłuchuję wielu podobnych dramatycznych historii. Wyciska to piętno nie tylko na mnie, ale i na mojej córce. Myślę, że właśnie dlatego jest dziś bardzo wrażliwą osobą.

Teraz to młoda kobieta, studiuje historię sztuki w Krakowie. Buduje swoje życie, mieszka poza domem. Natura dała jej kilka talentów, z których Ania wybrała ostatecznie ten związany ze sztuką. I możliwość doświadczenia trzech wieków – urodziła się w wieku XX, żyje w wieku XXI, a gdy przeżyje 101 lat, co jest jak najbardziej możliwe przy postępie medycyny, wejdzie w wiek XXII i jako jedyna osoba w naszej rodzinie będzie mogła porównać trzy stulecia.

Kilka miesięcy temu na górskim szlaku powiedziała mi, że boi się przyszłości, nie wierzy, że dożyje starości, bo świat wcześniej może się skończyć. – Planeta jest zaśmiecona, umiera – te słowa mną wstrząsnęły. Przeszłam na dietę bezmięsną. Ale uznałam, że to nie wystarczy. Ania uzmysłowiła mi, że segregacja śmieci, nieużywanie opakowań foliowych i wiele innych rzeczy, które możemy robić na poziomie domu, wpłynie na jej przyszłość. Jestem z pokolenia, które pamięta, że zakupy pakowało się w papier i niciane lub materiałowe siatki. Pojawienie się toreb foliowych było dla nas rewolucją. A teraz okazuje się, że dla następnego pokolenia to katastrofa.

Te 20 lat to ogromny postęp elektroniczny. Gdy Ania się urodziła, miałam komputer i założyłam sobie komunikator GG. Ona szła spać, ja kontaktowałam się ze znajomymi, nie wychodząc z pokoju. Kto teraz o tym komunikatorze pamięta? Media społecznościowe stały się sposobem nie tylko komunikowania, ale także promocji, wywierania wpływu, narzędziami marketingowymi. Mało kto kupuje teraz tradycyjne wydania gazet. Ja nadal lubię czytać prasę i książki w papierowej wersji. Ale wiem, że to przeszłość. Elektroniczne serwisy informacyjne zdystansowały wszystko.

PRZEGLĄD jednak przez 20 lat utrzymał się na rynku dzięki doświadczeniu publicystów i nazwiskom, które mają wiernych czytelników. Praca reportera, dziennikarza przeszła dużą ewolucję warsztatową. 20 lat temu nigdy nie pomyślałabym, żeby zrobić wywiad z kimś przez telefon lub Skype'a i autoryzować wypowiedzi mejlem. Przeżyłam też szok, gdy po raz pierwszy opublikowano zdjęcie ze strajku górniczego, które zrobiłam komórką. Jego jakość mnie zadziwiła. Dzisiaj telefon komórkowy to dla mnie najważniejsze narzędzie pracy. Mam w nim wszystko – dyktafon, notatnik, aparat, kalendarz.

To, co Ania pamięta

Gdy miałam pięć i trochę więcej lat

Moimi ulubionymi zabawkami były lalki Barbie i pluszowe zwierzaki. Aranżowałam z nimi scenki, używając do tego różnych przedmiotów – ubrań, butów, lamp. Dzięki kamerze, którą dostałam od dziadka, mogłam te scenki dokumentować. Oprócz tego dużo rysowałam i czytałam – szczególnie przepadałam za rysowaniem postaci z oglądanych bajek. Zanim zaczęłam używać komputera do czegokolwiek innego, przepisywałam na nim fragmenty czytanych książek – tak nauczyłam się pisania na klawiaturze.

Filmy były dostępne jedynie na kasetach; pamiętam, że przeżyłam szok, kiedy zaczęto wprowadzać DVD do wypożyczalni filmów. Z podobną tęsknotą wspominam późniejszy upadek fizycznych wypożyczalni filmów, ustępujących platformom streamingowym, choć wiem, że tak jest taniej i produkuje się mniej śmieci.

Spośród zabawek elektronicznych upodobałam sobie tamagotchi – miałam ich chyba ze cztery. Musiałam pielęgnować zwierzątko, robiłam to z mamą i dzieliłam się z nią postępami. Pamiętam, jak „umarło" moje pierwsze, bo zapominałam je „karmić". Pomyślałam sobie wtedy, że teraz bawi się nim moja mała siostrzyczka, do której chodzimy czasami z kwiatami i której położyłam pluszaka na grobie. Nie rozumiałam, czemu ona mieszka gdzieś poza domem i nie bawi się ze mną, ale wiedziałam, że jest gdzieś w jakiejś niewidzialnej formie. Czasami mówiłam mamie, że ją widzę, chyba myślałam, że ona tego chce. Teraz wiem, że ją to przerażało.

Miałam opiekunkę, Monikę. Ciągle z nią coś rysowałam, nie lubiłam wychodzić z domu. Uwielbiałam bawić się ze starszą siostrą w takie doroślejsze zabawy. Ona mnie wiele uczyła – czytać, pisać, angielskiego. Lubiła mocniejsze brzmienia i często mi coś puszczała. Ale w muzyce mamy kompletnie różne gusta.

Gdy miałam 10 lat

Telefony komórkowe pojawiły się u nas, gdy byłam w szkole podstawowej. Graliśmy na nich w „Węża" – jest się wężem, który zjada jabłka i rośnie, jedząc je; gra się kończy, gdy wąż zje własny ogon. Większość z nas miała telefony z klapką, ale każdy chciał mieć taki bez klapki, bo w nich „Wąż" był w 3D.

> 20 lat temu nie pomyślałabym, żeby zrobić wywiad z kimś przez telefon lub Skype'a i autoryzować wypowiedzi mejlem.

Pod koniec szkoły podstawowej telefony bez klapki stały się normą; pojawiły się także pierwsze telefony z ekranem dotykowym – i więcej gier. Na telefon można też było ściągać piosenki. Mój pierwszy prawdziwy telefon był różowy i rozsuwany. Miałam wtedy także odtwarzacz MP3, a na nim cztery piosenki.

Chodziłam do dwóch podstawówek, zupełnie innych. W pierwszej, prywatnej, uczyliśmy się w niewielkich klasach, mieliśmy tam taniec, śpiew – w tym występy na scenach teatralnych – oraz szachy. W drugiej, państwowej, skupiano się raczej na przedmiotach praktycznych. Mieliśmy również wiele godzin WF, co mnie nie cieszyło, bo nigdy szczególnie nie lubiłam sportu, teraz ćwiczę tylko jogę. W pierwszej szkole była większa integracja, choć nie tyle dzieci, ile ich rodziców. W obu szkołach spotkałam się z przejawami niezdrowej konkurencji, wręcz przemocy; w prywatnej była to przemoc psychiczna, w państwowej – fizyczna i słowna.

Gdy miałam 15 lat

Oglądałam wtedy dosyć dużo telewizji. Zaczęły mnie interesować nie tylko książki, ale też seriale telewizyjne, później filmy. Ponownie zaczęłam

eprasa.pl 3df9b58589

śpiewać, więc musiałam się zmierzyć z występami publicznymi, a co za tym idzie – zadbać o wizerunek w sieci. W późniejszych latach walczyłam o to, by moje występy i zdjęcia nie były udostępniane bez mojej zgody.

Była to era smartfonów, nowych komunikatorów, zaczęły się pojawiać zagraniczne platformy streamingowe. Utrzymywałam kontakt z ogromną liczbą osób przez internet, rozmawialiśmy o ważnych dla nas tematach, choć widzieliśmy się na żywo zaledwie kilka razy. Taka forma kontaktu, jako osobie dosyć nieśmiałej, na pewno pomogła mi nauczyć się prowadzenia rozmowy, ale jednocześnie zamknęła mnie trochę w domu, z którego do dziś niełatwo mi wyjść.

W szkole zetknęłam się z wegetarianizmem, ale wegetarianie uchodzili wtedy za anomalię, o weganach nie wspominając. Ja zresztą też nie wierzyłam w zdrową, pełnowartościową dietę bez mięsa, ponieważ oznaczałoby to, że wszyscy wokół mnie przekazali mi nieprawdziwe informacje.

Teraz mam 20 lat

W ogóle nie oglądam telewizji, nie mam telewizora. Jeżeli chcę obejrzeć serial lub posłuchać muzyki, wchodzę na platformy streamingowe. Jeśli chcę wiedzieć, co dzieje się dookoła mnie i na świecie, korzystam z internetowych platform informacyjnych. Przez dwa i pół roku byłam wegetarianką, a parę miesięcy temu przeszłam na weganizm. Zrezygnowałam z kursu na prawo jazdy; poruszam się wyłącznie komunikacją miejską i pieszo, mogłabym jeździć rowerem, ale jestem na to, niestety, zbyt leniwa.

Weganizm jest dla mnie opcją logiczną i słuszną – nie sprawia mi problemu również pod względem finansowym. Moja droga od wegetarianizmu do weganizmu rozpoczęła się od odrzucenia jajek, następnie mleka i miodu, na samym końcu nabiału. Czuję się zdrowsza i lżejsza – zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Nie jestem w stanie uwierzyć, że ludzie nie zastanawiają się nad tym, co jedzą. Wiem, że nie każdy będzie współczuł krowie, która teraz jest burgerem, której mleko powinny wypić jej cielęta, albo kurom, które gdy naznoszą jajek, poobgryzają sobie pióra i zniszczą dzioby w klatkach, zostaną przerobione na rosół. Wiem też, że konsument burgera nie myśli, ile zużyto wody do jego przygotowania, jak duża była emisja gazów cieplarnianych, ile będą się rozkładać słomka i plastikowy kubek, z którego wypił shake'a. Ja też kiedyś nie patrzyłam na świat w ten sposób. Teraz uważam, że powinniśmy się zastanowić, jakie ślady odciskamy na Ziemi – czy chcemy, żeby planeta zapamiętała nas pozytywnie, czy negatywnie. Dużą niespodziankę sprawiła mi mama, która ponad rok temu przeszła na wegetarianizm – na razie!

Kilka miesięcy temu Ania powiedziała mi, że boi się przyszłości, nie wierzy, że dożyje starości, bo świat wcześniej może się skończyć.

Chodzę na wybory, mimo że nie interesuję się ani polityką, ani ekonomią. Wybory są naszym obowiązkiem, ale także prawem, z którego nie powinniśmy rezygnować, a głos każdego jest tak samo ważny. Dla mnie szczególnie ważny jest rozwój tzw. zielonej polityki lub po prostu działania ekologiczne i ekopolityczne.

Technologia obecnie jest na bardzo wysokim poziomie. Zagrożenia są jednak inne niż wtedy, gdy miałam 15 lat. Nowe pokolenie korzystające z mediów społecznościowych i gier elektronicznych spotyka się z problemem płatności. Siostrzeniec i paru innych chłopców z jego klasy padło ofiarą zakupu internetowego, za który muszą zapłacić rodzice. Technologia daje nam wiele wygodniejszych, a przy tym mniej szkodliwych dla środowiska możliwości. Powinniśmy jednak być świadomi związanych z nią zagrożeń, uczyć się z niej korzystać.

Trudno jest mi mieć jasny pomysł na siebie, wizję siebie w przyszłości. Większość osób w moim wieku ma ten sam problem. Podążamy za celem, który nie jest jasno określony, łapiemy się tego, co z rzeczy zmierzających w naszą stronę wydaje nam się najkorzystniejsze. Nie wiemy, czy wyjedziemy za granicę; wielu z nas chce, ale może nie teraz, może dopiero za jakiś czas. Chodzi nie tylko o to, że wolę być w domu niż poza nim; chodzi nie o możliwość wyjścia z niego, ale o siłę, by to zrobić, by mieć jakiś cel.

Do mamy zbliżyło mnie wychodzenie z domu, do taty – pozostawanie w nim. Z tatą uczymy się o sobie więcej przez rozmowy i przebywanie razem. Bardzo lubię podróżować z mamą; w czasach licealnych wyjeżdżałyśmy gdzieś we dwójkę, błądziłyśmy po odwiedzanych miastach bez planu, często z mapą lub przewodnikiem. Wsiadałyśmy do metra i jechałyśmy przed siebie. Ostatnio zrobiłyśmy to znowu; wyjazd przywołał u mnie wiele dobrych wspomnień. Dużo z mamą rozmawiamy: o życiu, literaturze, naszych zainteresowaniach. Czasami jej energia mnie przytłacza. Po pięćdziesiątce zaczęła robić różne „dziwne" rzeczy. Uczy się pilotować mały samolot, nurkuje, wiecznie się odchudza. Może energia u kobiet w mojej rodzinie wzrasta z wiekiem, bo z tego, co mi opowiadała, mając tyle lat co ja, była nieśmiała i niepewna siebie.

Cieszę się, że PRZEGLĄD powstał i że stało się to w dzień moich narodzin. Cieszę się, że moja mama jest reporterką tego PRZEGLĄDU i pozwoliła mi na chwilę stać się częścią swojej pracy.

Beata i Anna Soczawa

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 3df9b58589

PISALI W PRZEGLĄDZIE

Nowy polski dramat da się streścić prosto, choć może nieco prymitywnie. Nowe elity polityczne nie szanują społeczeństwa, któremu przyszło im przewodzić, w zamian za co społeczeństwo obdarza owe elity głęboką nienawiścią i niczego im już nie wybacza, ale drwi z nich i obrzuca obelgami jawnie i w domowym zaciszu. Trudno dociec, czy te nowe elity naprawdę nie rozumieją tego, jak bardzo są znienawidzone, czy też robią dobre miny do fatalnych okoliczności.

Wiejący mocno wiatr historii zamącił społeczeństwu w głowach jasność rozeznawania sytuacji, w jakiej się znajduje. Komuna wydawała mu się czymś najgorszym z możliwych nieszczęść. Szparko porzucono więc nieboszczkę i powierzono losy kraju w ręce Solidarności, beatyfikowanej przez stan wojenny wcześniej, niż zdążyła otrzeźwieć z tryumfalnego zawrotu głowy od sukcesów. Solidarność była jeszcze raczkującym niemowlęciem, kiedy została uznana za groźnego, dorosłego smoka i pozbawiona rozumnych głów, których wcale nie miała tak wiele. Ten brutalny zabieg uniemożliwił jej dokonanie samooczyszczenia się z wszelkiego oszołomstwa, co by niechybnie musiało nastąpić, lecz wymagało czasu. Zostaliśmy beatyfikowani razem z całym naszym oszołomstwem, razem z nim wkroczyliśmy uroczyście, przy biciu w dzwony, w regiony władzy.

Oszołom mianowany nagle bohaterem narodowym, zbawcą i wyzwolicielem – a takimi stali się owi „faceci w brudnych swetrach", których z braku czasu nie udało się wyeliminować z gry politycznej, uwierzyli w swoją świętość i posłannictwo i natychmiast przestali szanować kraj i ludzi, nad którymi historia pozwoliła im nagle zapanować.

Nr 1, 20 grudnia 1999 r.

Właściwym zadaniem inteligencji nie jest – i nigdy nie było – kibicowanie konstruktorom jedynie słusznych rozwiązań ustrojowych, lecz przeciwnie, stawianie przed nimi znaków zapytania i zmuszanie do namysłu. Nie jest „radość z odzyskanego śmietnika", lecz zastanowienie, jak i dlaczego na powstający obecnie śmietnik historii spada tak wiele warstw społecznych i jednostek ludzkich, razem z ich aspiracjami i nadziejami. Dlaczego zatkał się kanał awansu społecznego dla ludzi biednych. Dlaczego na pośmiewisko wystawione zostały ambicje naukowe, kulturalne i twórcze, zdegradowane przez pogoń za łatwymi pieniędzmi. Dlaczego potencjalne dźwignie edukacji społecznej, jak telewizje na przykład, wydały kulturę „Big Brothera" i czy nie stawia to pod znakiem zapytania odpowiedzialności społecznej prywatnego biznesu.

Nie ma żadnej gwarancji, że ukończenie budowy obecnego modelu gospodarki rynkowej zlikwiduje te zjawiska, które dziś widać gołym okiem i na które zwracają uwagę ludzie kultury. Raczej można przypuszczać, że krzywy fundament, który obecnie obserwujemy, da w rezultacie krzywą budowlę.

18 listopada 2002 r.

Apokalipsa

Przyszłość naszego świata, zwłaszcza polityczna, nie daje się przewidzieć nawet w perspektywie kilkudziesięciu lat. Natomiast przyszłość mierzona milionami lat może już być dosyć dokładnie oszacowana. Amerykański uczony Jeffrey Kargel wraz ze swoim zespołem dokonał komputerowej symulacji dziejów Ziemi, aż do jej całkowitej i nieuniknionej zagłady, oddalonej o 7,5 mld lat od naszych dni. Nadzwyczaj poważne i groźne dla wszelkiego życia przemiany nastąpią na Ziemi znacznie wcześniej. (…) Podług symulacji Kargela powstanie za ćwierć miliarda lat z połączonych lądów tzw. *pangaea ultima*, nazwana w ten sposób, ponieważ skorupa lądowa Ziemi, która wynurzyła się miliard lat temu z globalnego oceanu, również tworzyła całość, ochrzczoną pangaeą. Nieuchronne zderzenie obu Ameryk i Euroafryki nastąpi za 200 mln lat, równocześnie zmniejszy się zawartość dwutlenku węgla w atmosferze w związku z nieustającym rozgrzewaniem się naszego Słońca. Słońce rozognia się coraz bardziej, wskutek czego za 1,2 mld lat oceany zaczną wrzeć, lecz już pół miliarda lat wcześniej 95% wszystkich roślin zostanie wypalonych.

Nieco później (w skali geologicznej „nieco" to okres rzędu 100 mln lat) Księżyc oddalający się powolnie od Ziemi przestanie stabilizować nachylenie osi naszej planety do ekliptyki, wskutek czego oś obrotów ziemskich będzie się chaotycznie zataczała. Słońce będzie wciąż puchło i powiększało się, zarazem potęgując swoją jasność, wskutek czego między czwartym a szóstym miliardem lat w przyszłości skorupa ziemska roztopi się i utworzy ocean magmy. (…) Czerwony olbrzym, w jakiego zmieni się Słońce, będzie nagrzewać tylko zwróconą ku niemu półkulę ziemską – o ile jej wcześniej nie pochłonie – na drugiej stronie zapanuje taki sam okrutny mróz jak w kosmicznej przestrzeni.

Ostatki życia zginą dużo wcześniej, najprawdopodobniej w epoce zagłady całej roślinności. Nie ocaleją nawet głęboko skryte pod ziemską litosferą bakterie, zwane termofilami. Wszystkich owych przerażających procesów nie ujrzą oczy żadnego żywego stworzenia, ponieważ na Ziemi od milionów lat życia już nie będzie. Czerwone Słońce, 250 razy większe od obecnego, będzie oświetlało martwą, częściowo roztopioną, a częściowo zlodowaciałą planetę i spokój może nam przynieść jedynie świadomość prawdziwie przepaścistej odległości w czasie od tego piekielnego zakończenia.

17 grudnia 2003 r.

eprasa.pl 3df9b58589

Andrzej Sejan

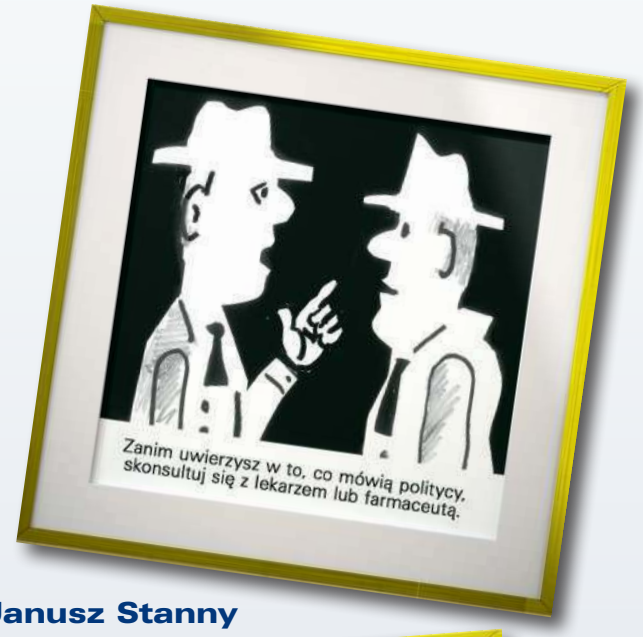

Janusz Stanny

Andrzej Czeczot

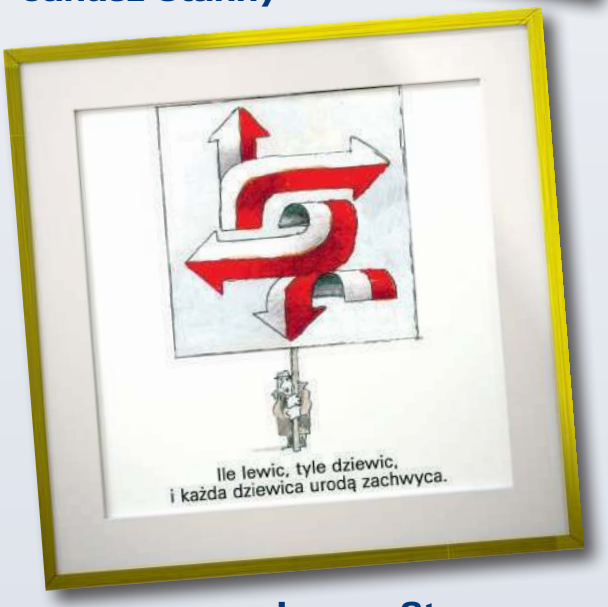

Janusz Stanny

Grzegorz Bąkowski

eprasa.pl 3df9b58589

2000

2013

2003

2007

2009

2012

eprasa.pl 3df9b58589

Kierowca zaczarowanej ciężarówki

Ojciec był dla mnie kimś, kto poświęca się ważnej sprawie

Rozmawia Robert Walenciak

EWA MODZELEWSKA-KOSSOWSKA

– córka Karola Modzelewskiego

Miała pani do ojca pretensje, że nie był takim tatą jak inni ojcowie? Że wybrał politykę, a nie rodzinę. Że poszedł do więzienia.

– To jest trudne pytanie. Bo zawsze, właściwie od najmłodszych lat, odkąd mogłam w ogóle rozumieć, o co chodzi, bardzo to doceniałam. Ojciec był dla mnie kimś, kto poświęca się ważnej sprawie. Nie było więc tak, że miałam do niego pretensje… Ale to nie jest bez zastrzeżeń. (...) Bo rzecz jest nie tylko w tym, że mój ojciec siedział w więzieniu przez ileś lat, kiedy byłam dzieckiem, ale również w tym, że ten czas pomiędzy jego pobytami w więzieniu także był wypełniony…

Rozczarowaniem? Samotnością?

– Przede wszystkim był to krótki czas, zwłaszcza między pierwszym a drugim zatrzymaniem. Ale też był wypełniony wydarzeniami, tym, że ojciec zajmował się czymś niezwykle ważnym, że moje potrzeby czy pragnienia wobec niego musiały zostać odsunięte na drugi plan. I właściwie to było dla mnie czymś bardziej dotkliwym niż jego nieobecności z powodu więzienia.

Bo gdy był w więzieniu, można było fantazjować, że będzie się razem?

– To było coś takiego, że w tej chwili ojciec mnie rozczarowuje, bo zamiast pojechać ze mną w góry, tak jak obiecał, ma ważniejszą sprawę, pisze list do Edwarda Gierka. Ale trzeba też pamiętać, że ojciec w dzieciństwie sam doświadczył traumy: tuż po jego przyjściu na świat jego biologiczny ojciec został aresztowany i trafił do łagru. A mój ojciec, gdy miał cztery lata, trafił do kominternowskiego domu dziecka, gdzie spędził ponad dwa lata. Musiał sobie jakoś z tym poradzić, sam mówił, że jego wspomnienia z tego pobytu nie są straszne. Ale doświadczenie opuszczenia miało w jakiś sposób powtórzyć się w życiu jego dzieci, moim i mojego brata. (...)

Jest wasze zdjęcie zrobione na placu Konstytucji: jesteście w trójkę, rodzice i pani, mała dziewczynka, roześmiana.

– To jest zdjęcie zrobione przez bezpiekę, z ukrycia…

Jesteście na nim szczęśliwi.

– Tak! Choć, szczerze mówiąc, takich szczęśliwych chwil dużo nie pamiętam. Pamiętam trochę jeden pobyt w górach. Zawsze chodziliśmy w góry, a to było między jednym a drugim pobytem w więzieniu, wycieczka na Czerwone Wierchy… Ale od razu to jest przełamane przez złe wspomnienie, bardzo traumatyczne, które przez długi czas we mnie tkwiło. Otóż szliśmy na Czerwone Wierchy i ojciec niósł mnie na barana, bo już nie miałam siły iść. To była dość długa wycieczka, ja byłam małą dziewczynką. Wreszcie dotarliśmy na szczyt, we trójkę, z mamą. On mnie zdjął, po czym upadł bez przytomności. Pamiętam, przez lata mnie to prześladowało: moja matka szarpiąca go za rękę i krzycząca strasznym głosem „Karol, Karol!". Przecież ona na pewno myślała, że on ma zawał, udar. A ona jest sama z dzieckiem, na szczycie Czerwonych Wierchów, gdzie nie było tak jak teraz, że co chwilkę ktoś wchodzi i schodzi, tylko to była samotność w środku gór. Na szczęście się ocknął. Na pewno był osłabiony po pierwszej odsiadce. Ale to jest właśnie taka trauma, która się wsuwa w te dobre wspomnienia.

One są?

– Tych dobrych wspomnień trochę jest. To nie jest tak, że nie pamiętam niczego fajnego. Pamiętam inny pobyt z ojcem na wakacjach, też na wakacjach! Już po drugiej odsiadce.

Za Gierka.

– To też był pobyt w górach, w Zakopanem. Może to nie jest wspomnienie szczególnie przyjemne, ale śmieszne. Mieszkaliśmy w Astorii – willi, która jest domem pracy twórczej. W tej willi był salon, gdzie stał telewizor, tam się schodziło coś obejrzeć. I ja tam poszłam sama, bo ojciec nie chciał, obejrzeć serial teatralny, wtedy istniały jeszcze takie rzeczy jak teatr telewizji w odcinkach. Była to teatralna inscenizacja „Sławy i chwały" Iwaszkiewicza. Ja bardzo się wzruszyłam i wróciłam do naszego pokoju, gdzie ojciec pisał jakąś dysertację naukową, i rozszlochałam się, takim szlochem nastolatki, nieutulona w nieszczęściu. Ojciec się przeraził. Co się stało? Czy ktoś cię skrzywdził? Ktoś ci zrobił przykrość? Czy dostałaś jakąś złą wiadomość? Co się dzieje?

> Miałam za młodych rodziców. To miało wprawdzie nawet swoje urocze strony, ale w sumie nie było miejsca dla mnie.

On pytał, a pani płakała…

– A ja płakałam. Nie, nie – odpowiadałam w szlochu. Wreszcie ojciec półżartem rzucił: co, wzruszyłaś się „Sławą i chwałą"? A ja na to: tak, tak. Jak on ryknął takim zdrowym śmiechem, potwornym... Tak mnie dotknął… Oczywiście z perspektywy czasu uważam, że to bardzo śmieszne wydarzenie.

Sam się śmieję.

– I to były właśnie takie zabawniejsze momenty. Jednak mam sporo takich wspomnień. Ale jak pan wie, moi rodzice się rozstali. To bardzo trudna rzecz, żeby związek mógł wytrzymać tyle lat w separacji. Mama pracowała w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych. To było najgorsze miejsce do pracy, jeżeli się było żoną takiego człowieka – po prostu koledzy z pracy nie mówili jej „dzień dobry", przechodzili na drugą stronę ulicy,

eprasa.pl 3df9b58589

kiedy szła. Okropne to było. Pod jaką presją żyła! No i pamiętam to szykowanie paczek dla ojca, te jazdy do więzienia…

Jeździła pani?

– Wtedy nie. Na widzenie pojechałam dopiero, gdy siedział trzeci raz. Już byłam wystarczająco dorosła, byłam na studiach i dopiero wtedy chodziłam na widzenia. Jako dziecko nie jeździłam. Natomiast pamiętam wyjazdy mamy. To było jakieś takie smutne. I cóż – kiedy oni się rozstali, bo ten związek nie przetrwał długotrwałej separacji, był trudny czas, może nawet trudniejszy. Bo ojciec wyjechał do Wrocławia. Może to było trudniejsze, niż gdy siedział w więzieniu.

Kiedy był w więzieniu, czuła pani, że jest z wami.

– No tak. Że jakoś jest… A w liścikach, tych małych, które przysyłał mi z więzienia, gdy byłam dzieckiem, zawsze na końcu pisał, żebym pomagała mamie, że to jest bardzo ważne. Że teraz mamie jest trudno, więc żebym się starała dobrze uczyć, być grzeczna… Tam są takie wskazówki dla mnie. I mama jest w tych listach wspominana.

Często pisał?

– To było określone regulaminem – zarówno częstotliwość, jak i długość listów. I to różnie było, kiedy siedział w areszcie, a kiedy był w więzieniu. Listy z okresu aresztowania były krótsze, pisane na takich ćwiartkach, na małych karteczkach. Jakby musiał zostawić większą część dla żony. I chyba raz na miesiąc… Ale nie pamiętam.

Mała dziewczynka dostaje list od taty, który siedzi w więzieniu.

– Zaraz pan zrozumie, przeczytam panu jeden liścik. „Kiteczku kochany mój, dostałem przedwczoraj twój list o puszczy, żubrach i szczepionce na dur brzuszny. Z wielką dumą dowiedziałem się, że żubrów się nie przestraszyłaś i szczepionki też się nie boisz. Mnie też się wydaje, że żubry są zwierzętami bardzo sympatycznymi i poczciwymi. Parę lat temu jeden taki, co miał na imię Pulpit, znudził się mieszkaniem w rezerwacie i wyruszył sobie w podróż po Polsce. Pisano o tym w gazetach i było wiele o tym hałasu, ale on nic złego nikomu nie robił, tylko czasem podkradał jabłka ze straganu w małych miasteczkach. Ludzie dawali mu do jedzenia różne przysmaki, do których żubry nie są przyzwyczajone, ale Pulpit zjadał je przez grzeczność, aż rozbolał go brzuch po ciastach tortowych i trzeba było mu robić zastrzyki. W gazetach wtedy było zdjęcie, jak mu taki zastrzyk robią, i wydaje mi się, że on jednak troszeczkę się bał. Bardzo mocno całuję, tata". I tu jest rysunek, niech pan zobaczy, jest świetny.

jak mu taki zastrzyk robią i wydaje mi się, że on jednak troszeczkę się bał.
Bardzo mocno całuję –
TATA.
(To ma być Pulpit, ale on był dużo większy).

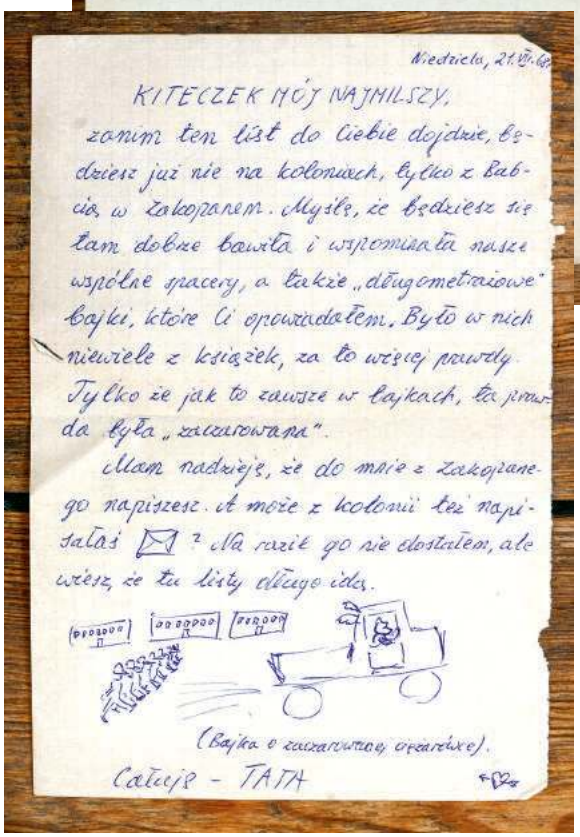
Niedziela, 21.VII.69
KITECZEK MÓJ NAJMILSZY,
zanim ten list do Ciebie dojdzie, będziesz już nie na koloniach, tylko z Babcią w Zakopanem. Myślę, że będziesz się tam dobrze bawiła i wspominała nasze wspólne spacery, a także „długometrażowe" bajki, które Ci opowiadałem. Było w nich niewiele z książek, za to więcej prawdy. Tylko że jak to zawsze w bajkach, ta prawda była „zaczarowana".
Mam nadzieję, że do mnie z Zakopanego napiszesz. A może z kolonii też napisałaś ✉? Na razie go nie dostałem, ale wiesz, że te listy długo idą.
(Bajka o zaczarowanej ciężarówce).
Całuję – TATA

„To jest Pulpit, ale on był dużo większy". I jeszcze przekreślone serduszko. Ze strzałą.

– A tu jest rysunek do bajki, którą mi ojciec opowiadał. O zaczarowanej ciężarówce. Kierowca tej zaczarowanej ciężarówki był takim, teraz tak to mogę opisać, liderem lewicowym. Był liderem buntu. Zaczarowana ciężarówka miała skrzydełka. A naprzeciw niej stała armia złych ludzi. I to była bajka, którą ojciec opowiadał mi na wolności. W taki sposób próbował mi tłumaczyć, o co walczy, o co mu chodzi. Że są takie kraje, gdzie wszyscy ludzie muszą ubierać się jednakowo, w szare ubrania, i wszystko jest szare, nie ma w ogóle kolorów. A kierowca tej zaczarowanej ciężarówki przyjeżdża, żeby powiedzieć ludziom, że są takie miejsca, gdzie można się ubierać kolorowo. Taka to była wersja, dziecięca. Do tego był rysunek. To były takie bajki.

Dla córki.

– Zapadły mi w pamięć i na zawsze pozostały źródłem najważniejszych wartości. Fajne to były rzeczy. I to nie było tak, że wyjeżdżam z tatą i tylko chodzę sobie po górach. Bo oprócz tego po południu były jakieś zagadki intelektualne. Pamiętam, zadanie dotyczyło tego, że miałam w tekście odróżnić reguły prawdy historycznej od – dziś byśmy to nazwali – propagandy. Narracji, która służy do tego, żeby ludzi do czegoś przekonać. Takie zadania dostawałam! Nie byłam już małą dziewczynką, miałam wtedy pewnie 13 lat… To było zadanie na myślenie. Ojciec nie serwował mi gotowych bajek, tylko dawał mi rodzaj zagadek, tak żebym pomyślała i do czegoś doszła. (...)

Ten moment, kiedy pani się dowiedziała, że tata jest zamknięty, zatrzymany, to był szok?

– Ja nic nie pamiętam! Kompletna niepamięć. Mama mówi, że byłam obecna w czasie rewizji, kiedy esbecy chodzili butami po moich zabawkach... Choćby mnie pan zabił ▸

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 3df9b58589

– ja tego po prostu nie pamiętam. Niczego! Pamiętam tylko pewną opresję tamtych czasów. Mieszkaliśmy przy Świętokrzyskiej 30, dokładnie naprzeciwko Pałacu Młodzieży. Ten dom jest tak zbudowany, że od tyłu ma dwie wysunięte części. Mieszkaliśmy na trzecim piętrze, w narożnym mieszkaniu, w tej części były okna klatki schodowej. I tam cały czas siedział szpicel, który patrzył w nasze okna. I w dodatku mnie straszył, bo miał okropną, niedogoloną brodę. Był przerażający! To pamiętam, mam przebłyski grozy. Ale te najtrudniejsze rzeczy – nic, pustka. Nie pamiętam roku 1968, tego kluczowego momentu. Nie pamiętam, że mama znikała, gdy ją zabierali na przesłuchanie. Tam ją straszyli, że jej nie wypuszczą i że nie będzie kto miał dziecka odebrać ze szkoły. Nic z tego nie pamiętam! Za to pamiętam inne rzeczy.

Jakie?

– Pamiętam tych młodych ludzi, którzy przychodzili do nas, jak siedzieli w milczeniu i pisali na kartkach. I sobie przekazywali. A potem to palili w łazience. To było dziwaczne!

Czyli pamięta pani tę młodzież, która przychodziła do ojca i knuła.

– Pamiętam swoje zauroczenie niektórymi osobami. Basią Toruńczyk, Ireną Grudzińską. Bo to były piękne dziewczyny, a ja bardzo chciałam być w przyszłości taka jak one! Pamiętam Adama Michnika. On był efebem o słodkich lokach. To są przyjemne wspomnienia. Pamiętam Grażynę Kuroń, Gajkę, jako uroczą osobę, do której chciało się przylgnąć. Pamiętam Jacka. Wszystkich pamiętam. Coś takiego jak energię w tych ludziach, zaangażowanie. Ale też młodość. To, że się śmiali. Tak radośnie… A potem tąpnięcie i coś ponurego, i tego szpicla siedzącego na klatce schodowej. I już pustkę.

Bo oni byli w więzieniu.

– Bo oni wszyscy siedzieli.

Śliczni, młodzi.

– I ja tak ich pamiętam. Jako fajne, dość szerokie środowisko – rodzinę, plus tych wszystkich znajomych – jako taką wielką społeczność. Z fajną energią. I w ogóle nie przeczuwałam nadchodzącej grozy. A jeszcze wcześniej, kiedy miałam dwa lata, tata wyjechał na stypendium, a potem mama za nim podążyła. I to było też takie opuszczenie… To była rzecz, o którą miałam żal. Myślę, że to było najgorsze rozstanie, bo byłam naprawdę małym dzieckiem.

I nie rozumiała pani dlaczego.

– Ale jak z perspektywy sobie myślę, że tak im się potem życie ułożyło... I że tak już mało z niego mieli. Nie mogę więc im tego wypominać, nosić żalu w sercu, że to zrobili. Jak sobie pomyślę o nich w tamtym czasie… Moja starsza córka ma teraz 25 lat, młodsza – 23. Kiedy ja się urodziłam, moja mama miała lat 20, ojciec – 22. To były dzieci! Mogę więc powiedzieć, że nie jest całkiem dobrze urodzić się takim młodym rodzicom, bo oni tak do końca nie mają na dziecko miejsca. Bo nie mogą mieć! Pomyślmy, jak bardzo jest się w tym wieku młodym i niedojrzałym. Nawet jeśli oni byli dojrzalsi, bo tamto pokolenie było bardziej dojrzałe, to dalej byli dziećmi jako rodzice. Do rodzicielstwa nie byli dojrzali. Do życia – tak! Ale do rodzicielstwa – nie. Więc tak mi się po prostu ułożyło, że miałam za młodych rodziców. To miało wprawdzie nawet swoje urocze strony, ale w sumie nie było miejsca dla mnie.

Pierwszorzędnej wagi były sprawy, które ojciec uważał za sprawy pierwszorzędnej wagi.

A pani Natalia? Babcia?

– Ona mieszkała pod nami. My mieszkaliśmy na trzecim piętrze, a ona na drugim.

Jeśli przychodziła bezpieka, mogła się panią zająć.

– Jeśli chodzi o opiekę dziadków, to raczej rodzice mamy. Babcia Natalia była osobą, która wprowadzała mnie w świat kultury. Była tłumaczką, pisarką, „Lalkę" przetłumaczyła na rosyjski. Zajmowała się Czechowem, opracowała jego listy. Miała mnóstwo przyjaciół, przyjaźniła się z Jarockim. To był jej największy wkład w moje życie. Zabrała mnie do Krakowa, gdy miałam niespełna 16 lat, na „Wiśniowy sad", na „Umarłą klasę". Poznała mnie z aktorami. Jarocki był pierwszym mężczyzną, który poczęstował mnie koniakiem. Odrobinę wypiłam, to było jedno z gorszych przeżyć – z trudem przełknęłam. Babcia była osobą na swój sposób światową, choć bardzo specyficzną. Miała niewątpliwy czar. A jednocześnie… (...) Dała się we znaki, na pewno. Nie była to postać w sensie psychologicznym jednoznaczna.

Ale nie ciosała mu kołków na głowie, że powinien dać sobie spokój z polityką i się ustatkować?

– Nie wiem, jak to wyglądało z tej strony. Dopóki czuła się silną kobietą, która może pójść i awanturować się w różnych instytucjach, dlaczego nie dostaje widzenia albo dlaczego jej syna spotykają takie lub inne obostrzenia, robiła to. Wydaje mi się też, że była lojalna w stosunku do jego celów. Że je rozumiała, uznawała. I że to było jakoś zgodne z tym, jak ona myślała.

W jej rodzinie mężczyźni zajmowali się polityką i siedzieli w więzieniach. A kobiety musiały się z tym pogodzić. I nosić im machorkę. Ona się temu podporządkowała? Czy on to jej narzucił – że musi działać i że to kosztuje kolejny wyrok?

– Nie chciałabym, żeby powstało wrażenie, że ojciec miał rys autokratyczny. On taki nie był. Jeżeli już ujmować sprawy od mniej miłej strony, to można by powiedzieć, że był tak skupiony na tym, co go zajmowało, i tak na tym skoncentrowany, że właściwie w małym stopniu obchodziło go, jakie są tego konsekwencje dla pozostałych osób w rodzinie. Owszem, obchodziło go jakoś i bolało, ale to było na trzecim, czwartym miejscu.

Nawet jeśli miał wyraziste sympatie, nie zakłócało mu to możliwości rozpoznania sytuacji. To znakomita cecha.

Że go bolało, widać w listach.

– Ale to nie była rzecz pierwszorzędnej wagi. Pierwszorzędnej wagi były sprawy, które on uważał za sprawy pierwszorzędnej wagi. I już. Był naukowcem, profesorem. Czyli był kimś, kto potrzebuje skupienia. (...)

Wyłączał się z rzeczywistości i zatapiał się w swoich sprawach?

– To pozwalało mu się odciąć od świata, po prostu. Próby zwrócenia na siebie uwagi były bezskuteczne:

eprasa.pl 3df9b58589

choćbym nie wiem co robiła, on by tego prawdopodobnie nie zauważył. Był skupiony, miał swoje zadanie – i już. Nie musiał nakazywać: masz być cicho! Nie, mnie po prostu nie było. I koniec. W tym momencie nie istnieję dla niego, on w tej chwili robi coś ważnego. Pisze książkę albo uzasadnienie jakiejś bardzo ważnej sprawy. W tym momencie nic innego się nie liczy.

Nie przeszkadzało pani, że jest zbyt inteligentny, że zawsze góruje? To przygnębia.

– Nie. Może gdybym była synem, to byłoby przytłaczające, że nie mam szans przeskoczyć ojca. Ale dla dziewczyny taka rola jest łatwiejsza: że mogę się szczycić takim tatą. Super! I jeszcze taki przystojny.

Podobał się kobietom.

– Wydaje mi się, że zawsze był wrażliwy na kobiecy urok i dlatego one dobrze się przy nim czuły.

A nazwisko nie utrudniało pani życia?

– Na studiach. Był to kłopot, bo kiedy już się zajmowałam swoimi sprawami, nie chciałam być tak bardzo łączona z jego nazwiskiem. Chciałam mieć swoje sukcesy, na własny rachunek. Pewnie dlatego w szkole nie znosiłam historii. Na ten przedmiot poszła cała moja agresja. Historia była nudą; właściwie dopiero w bardzo dojrzałym wieku zobaczyłam, jak może być ciekawa. A do tego czasu była najgorszym przedmiotem.

I wybrała pani psychologię.

– Po studiach zajęłam się psychoanalizą, która ma niewiele wspólnego z uniwersytecką psychologią, przynajmniej w Polsce.

I zaczęła pani pracować na swoje nazwisko.

– Wymknęłam się z pułapki nazwiska. Na szczęście nigdy nie wątpiłam w swoje możliwości. Mam to po ojcu. On nie był zarozumiały, ale był spokojny na swój własny temat. Czuł, że ma możliwości.

Nie był samcem alfa. Odpowiadała mu rola tego drugiego?

– Raczej eksperta! Trochę outsidera. Lubił przyjmować taką niezależną pozycję.

Żeby mieć pole do swobodnej analizy.

– To fascynowało mnie w jego umysłowości! Czasami do niego jeździłam, nawet w tym okresie, gdy rozluźniły się nasze więzi. Kiedy bałam się, że w kraju coś się zawali, jechałam do niego i mówiłam: słuchaj, proszę cię, pociesz mnie. On na to: wiesz, nie mogę cię pocieszyć, ale spójrzmy na to trochę z dystansu. I tu zaczynał coś analizować, co mnie fascynowało, ta zdolność oddalenia się od sytuacji, tak jakby kamera się oddalała. I ta kamera zamiast małego wycinka widziała – z tej odległości – mnóstwo innych procesów, które wpływały na rzeczywistość. To było fascynujące.

Historyk i polityk w jednym.

– Umysł bardzo analityczny. Zdolny przy tym do niezwykłej neutralności, niezakłócający się sympatiami, emocjami. Nawet jeśli miał wyraziste sympatie, nie zakłócało mu to możliwości rozpoznania sytuacji. To znakomita cecha.

Robert Walenciak

Fragment książki *Buntownik. Modzelewski*, Fundacja Oratio Recta, Warszawa 2019

BUNTOWNIK

Czy można wyobrazić sobie polską politykę bez Karola Modzelewskiego?

- W roku 1956 był na warszawskim Żeraniu obok Lechosława Goździka.
- W roku 1964 wraz z Jackiem Kuroniem napisał list do partii, za który został skazany na trzy i pół roku więzienia.
- W roku 1968 rzucił hasło „Niepodległość bez cenzury!", które skandowali demonstrujący studenci.
- W roku 1980 był pomysłodawcą nazwy związku Solidarność, a potem jego rzecznikiem.
- W III RP z buntu się nie wyleczył. Konsekwentny krytyk transformacji, a zwłaszcza planu Balcerowicza.

Gorszyło go podsycanie antykomunizmu: „Był taki czas, że walcząc z komunizmem, zbierało się guzy. A teraz, nie zbierając guzów, to jest odwaga hieny cmentarnej".

A w ostatnich latach ostrzegał: „Celem PiS jest władza, której nie odda" – to tytuł jego ostatniego wywiadu dla PRZEGLĄDU.

65 zł

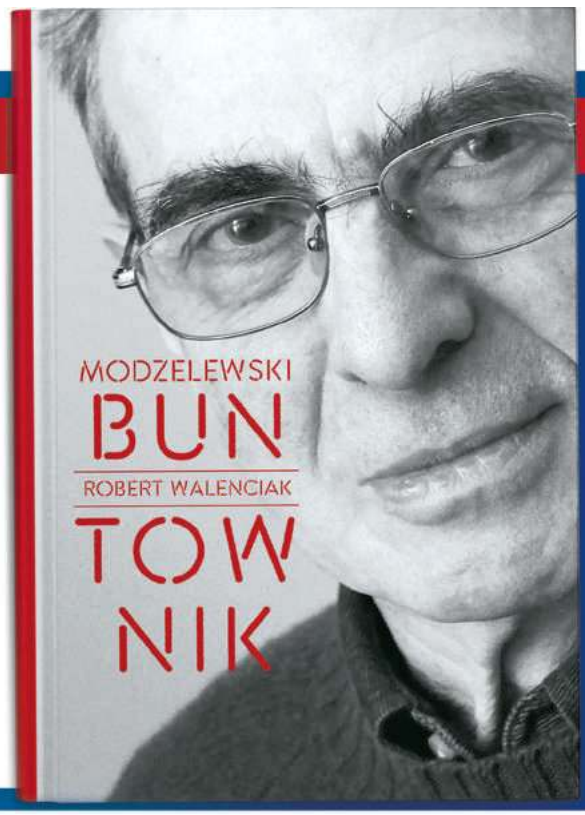

Książka PRZEGLĄDU!

Wpłat 65 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. Książkę można też zamówić na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl. W cenę książki wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl 3df9b58589

Niebezpieczne nietaksówki

Czy decyzja władz Londynu o zawieszeniu licencji dla Ubera to początek końca transportowej rewolucji?

Mateusz Mazzini

Liczbę mieszkańców stolicy Wielkiej Brytanii szacuje się na prawie 9 mln osób (całej aglomeracji na ok. 14 mln). Ponad jedna trzecia – 3,5 mln – ma zainstalowaną na telefonach aplikację Ubera. Po mieście wozi ich, według ostatnich danych przewoźnika, ok. 45 tys. kierowców. Dziennie zarabiają oni od 80 do 150 funtów, choć rekordziści są w stanie wyjeździć nawet dwa-trzy razy tyle w ciągu doby. Wielu z nich to obcokrajowcy, którzy do Londynu przyjechali realizować marzenia o karierze, ale pracy w biurze czy miejsca na uniwersytecie nie udało im się zdobyć. Inni byli kierowcami w czasach, gdy taksówki zamawiało się przez telefon stacjonarny lub łapało z postoju. Są jednak też Anglicy, którzy płynnie przeszli przez rewolucję technologiczną i dobrze się czują w świecie smartfonowych aplikacji. Transport for London (TfL), miejskie przedsiębiorstwo zajmujące się komunikacją zbiorową i publiczną, ocenia również, że mniej więcej 40% kierowców zarabia w więcej niż jednej aplikacji. Konkurencję dla Ubera stanowi m.in. nieobecny jeszcze w Polsce Lyft.

Oficjalnie awantura wokół Ubera dotyczy kwestii bezpieczeństwa.

Choć do wachlarza codziennych zwyczajów i udogodnień Uber wszedł na stałe dopiero w pierwszych latach mijającej właśnie dekady, większość użytkowników nie wyobraża sobie życia bez możliwości zamówienia przejazdu samochodem praktycznie w każdym momencie i z każdego miejsca stolicy – czy innego dużego miasta na Wyspach.

Tymczasem przynajmniej ci, którzy na co dzień poruszają się po ulicach Londynu, muszą powoli rozważać powrót do transportu zbiorowego lub przynajmniej przejście do konkurencyjnych aplikacji zamawiania przejazdów. Uber, zdecydowanie największy gracz na tym drugim rynku, może już nigdy swoich kierowców na drogi brytyjskiej stolicy nie wypuścić. Powodem jest fałszowanie przez niektórych dokumentów i dowodów tożsamości. Pod koniec listopada TfL ujawniło, że aż 43 kierowców, którzy w procesie rejestrowania się w aplikacji podali nieprawdziwe dane osobowe lub użyli do ich poświadczenia fałszywych papierów, wykonało łącznie 14 tys. przewozów. Wprawdzie zrealizowane zostały one głównie w 2018 r. i w pierwszej połowie 2019 r., a reprezentanci Ubera twierdzą, że wiedzieli o problemie od razu i sami uporali się z nim wewnątrz firmy, ale miejscy urzędnicy pozostali nieugięci. Licencja przewoźnika nie została firmie ostatecznie odebrana, a jedynie zawieszona na 21 dni pod warunkiem wprowadzenia nowych rozwiązań zwiększających bezpieczeństwo pasażerów, mimo to Uber w Londynie od dawna musi uważać. To już drugi raz, gdy ratusz grozi operatorowi aplikacji zakazem realizowania przewozów na stołecznych ulicach. Wcześniej Uber został ukarany zawieszeniem we wrześniu 2017 r.

Od decyzji TfL firma zamierza się odwoływać, ponieważ, jak opisał to zarządzający jej brytyjskim oddziałem Jamie Heywood, stanowisko władz miasta jest po prostu niewłaściwe i w sposób „niespotykany" krzywdzące.

Zawieszenie oznacza, że Uber może w jego czasie normalnie funkcjonować – dlatego dziś jeszcze da się w Londynie zamówić przez aplikację przejazd. Jednak miejscy urzędnicy, na czele z samym merem Sadiqiem Khanem, wydają się tym razem nieugięci: albo Uber zmieni zupełnie podejście do weryfikacji danych kierowców, a co za tym idzie – cały system zarządzania swoim *de facto* personelem, albo w Londynie nie zarobi już ani pensa.

Oficjalnie awantura wokół Ubera dotyczy właśnie kwestii bezpieczeństwa. Urzędnicy miejscy – nie tylko zresztą w Londynie – zarzucają firmie, że nie dokłada należytej staranności w łataniu dziur w swoim systemie zatrudniania kierowców. Mało tego, ich zdaniem nie robi tego celowo, chcąc pozostać poza jakimkolwiek publicznym nadzorem. Przykłady takich zaniechań cytuje w uzasadnieniu decyzji chociażby TfL. W oficjalnym komunikacie o zawieszeniu licencji czytamy, że choć ratusz „dostrzega znaczące postępy poczynione przez Ubera w kwestii uszczelnienia procesu rekrutacji, najważniejsze zagrożenia nie zostały wyeliminowane od poprzedniego audytu z września 2017 r.". Chodzi m.in. o możliwość

eprasa.pl 3df9b58589

umieszczania w aplikacji zdjęć profilowych kierowców przez innych użytkowników. Innymi słowy, kierowca A może ze swojego telefonu zmienić zdjęcie identyfikujące kierowcę B. Pytany o to Heywood, a wcześniej prezes Ubera Dara Khosrowshahi odpowiedzieli wymijająco, że choć ten element akurat jest niedopatrzeniem, to samego Ubera należy postrzegać inaczej niż tylko jako technologicznego giganta. Używając typowej dla świata start-upów nowomowy, za każdym razem roztaczali wizję „społeczności", w której podział na klientów i usługodawców jest czysto umowny, bo im wszystkim tak naprawdę zależy na ułatwieniu miejskich podróży i zbliżeniu do siebie obcych sobie ludzi.

Problemy z weryfikowaniem danych kierowców to niejedyny element systemu, za który Uber może słono zapłacić. W ubiegłym roku wprowadzony został wbudowany w aplikację system wczesnego reagowania w przypadku zagrożenia zdrowia i życia. Stworzony jako reakcja korporacji na ostrzeżenie z 2017 r., ma pozwalać pasażerom szybko zgłosić każde możliwe zagrożenie. Problem w tym, że zgłoszenia te są kierowane nie do organów ścigania czy służb ratunkowych, ale do specjalnej komórki wewnątrz firmy. To tam zapadają decyzje o reakcji na zgłoszenia. Wprawdzie poprzednik Heywooda na stanowisku szefa Ubera na Wyspach, Tom Elvidge, zapewniał przy uruchamianiu systemu i 24-godzinnej infolinii ratunkowej, że policja będzie wiedzieć o wszystkim, co się dzieje w czasie przejazdów zamawianych przez aplikację, bo taka jest globalna polityka firmy, jednak informacje z ostatniego półtora roku wyraźnie przeczą jego słowom.

Uber ma przede wszystkim problem z napaściami na tle seksualnym. Ujawniony w czerwcu 2019 r. wewnętrzny raport firmy pokazał, że w ciągu ostatnich dwóch lat w samochodach prowadzonych przez kierowców używających aplikacji w Stanach Zjednoczonych doszło do ponad 6 tys. napaści na tle seksualnym. Wiele z nich nigdy nie zostało zgłoszonych organom ścigania – ani przez ofiary, ani później, przez pracowników korporacyjnego centrum ratunkowego. W Wielkiej Brytanii nie było może tak wielu przypadków molestowania czy prób gwałtu, lecz te, o których wiadomo, odcisnęły piętno na wizerunku Ubera. 15 stycznia 2018 r. zarejestrowany w aplikacji kierowca odebrał zgłaszającą przejazd kobietę w londyńskiej dzielnicy West End. Kobieta źle się czuła, co Temur Shah, 45-letni kierowca, miał wykorzystać, dopuszczając się napaści na tle seksualnym. Najpierw kazał pasażerce przesiąść się na przednie siedzenie. Kiedy 27-latka zaczęła wymiotować, dotykał jej miejsc intymnych. Kobieta nie mogła się bronić, nie miała też baterii w telefonie, żeby zadzwonić po pomoc. Napaść zgłosiła policji, kiedy Shah odwiózł ją na miejsce.

Uber co prawda zareagował natychmiast serią publicznych wystąpień i deklaracji o zwiększeniu bezpieczeństwa pasażerów, ale jedyne, co mógł zrobić formalnie, to odebrać mężczyźnie prawo do korzystania z aplikacji jako kierowca. Rok później Shah został skazany na 16 miesięcy pozbawienia wolności. Krytycy Ubera wskazują, że takich zdarzeń z pewnością jest więcej, ale ofiary milczą – w tym przypadku kierownictwo spółki o ataku kierowcy dowiedziało się z mediów. Samochody Ubera są nieoznakowane, ewentualnym świadkom napaści trudno jednoznacznie stwierdzić, że dochodzi do nich właśnie w aucie używanym do przejazdu w ramach aplikacji. Niechętni firmie politycy i aktywiści, zwłaszcza związani z lewicą, dodają, że Uber tak naprawdę nie robi nic, by brać odpowiedzialność za kierowców. W wielu krajach – w tym w Polsce – formalnie nie są oni pracownikami firmy, operując w różnych wariacjach modelu leasingowego lub jednoosobowych działalności gospodarczych. Jeśli zatem jedyną karą, jaka może ich spotkać, jest odcięcie od aplikacji, do której, jak się okazuje, dość łatwo mogą wrócić przy użyciu fałszywych dokumentów, a firma i tak ewentualnych napaści nie zgłosi, trudno oczekiwać, by czarne statystyki się poprawiły. Jak widać, ekonomia współdzielenia w przypadku Ubera oznacza jedynie współdzielenie przejazdu, bo odpowiedzialność za jego przebieg po stronie korporacji jest bliska zeru. ■

Urzędnicy miejscy zarzucają firmie, że nie dokłada należytej staranności w łataniu dziur w systemie zatrudniania kierowców.

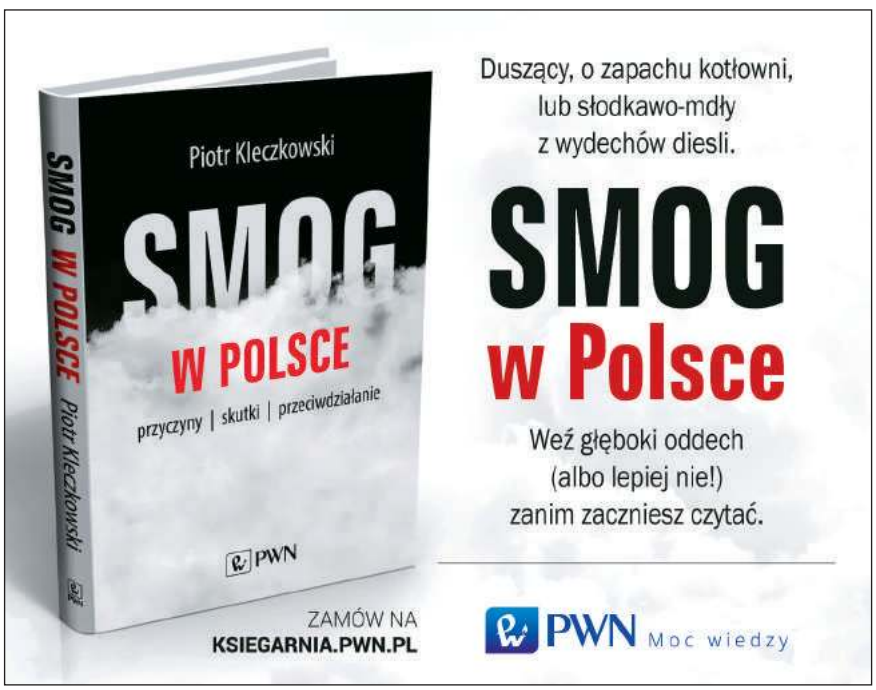

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 3df9b58589

Czy Kanadzie grozi populizm?

Populiści ponieśli klęskę w wyborach, ale do głosu dochodzą nastroje separatystyczne

Małgorzata P. Bonikowska
Korespondencja z Toronto

Odkąd w Białym Domu zamieszkał najbardziej chyba kontrowersyjny amerykański prezydent w historii, Donald Trump, w Kanadzie najczęściej powtarzające się pytanie brzmi: „Czy to byłoby możliwe u nas?". Aż 80% Kanadyjczyków, skądkolwiek by pochodzili, negatywnie ocenia prezydenturę Trumpa i sytuację w USA. To najwyższy odsetek na całym świecie.

W cieniu Goliata

Kanada ma tylko jednego sąsiada, od którego oddziela ją najdłuższa na świecie granica lądowa – 8893 km. Bagatela, tylko ciut więcej niż z Warszawy do… Tokio!

To granica mało strzeżona (bo jak zapewnić jej pełną ochronę, poza tym do niedawna – po co?), przez którą my, posiadacze kanadyjskich paszportów, zwykle przejeżdżamy bez problemu. To jednak także granica psychologiczna, bo chociaż 90% Kanadyjczyków mieszka w odległości nie większej niż 160 km od granicy z USA, światopoglądowo są oni dość daleko od południowego sąsiada.

„Jesteśmy inni niż Amerykanie" – to część naszej kanadyjskiej tożsamości. Język mamy ten sam (nieco odmienny leksykalnie i fonetycznie, no i z brytyjskim spellingiem), stosujemy jednak metry, kilometry i skalę Celsjusza, jesteśmy oficjalnie dwujęzyczni, mamy urlopy macierzyńskie i uniwersalną publiczną służbę zdrowia, nie możemy ot tak wejść do sklepu i kupić broni, w naszych szkołach nie ma strzelanin, nie asymilujemy imigrantów, ale otwieramy się na ich odmienność, itd.

Nie da się za to ukryć, że gospodarka Kanady jest w ogromnym stopniu uzależniona od tego, co się dzieje u południowego sąsiada – większe dołki w USA zwykle odbijają się czkawką w Kanadzie.

Kanada stanowi największy rynek dla amerykańskich towarów i usług. Dla 35 z 51 stanów to największy rynek eksportowy. Miliony amerykańskich miejsc pracy zależą od kanadyjskiego importu. Z drugiej strony Kanada jest głównym źródłem energii dostarczanej do USA (ropa, gaz, energia elektryczna). 20% tutejszego PKB to wynik eksportu dóbr do Stanów Zjednoczonych.

A jednak kiedy w USA w 2008 r. pękła w końcu z hukiem bańka spekulacyjna, powodując upadłość banków, kryzys finansowy monstrualnych rozmiarów i powszechne tracenie domów przez Amerykanów, Kanada miała się dobrze. Mocny system bankowy i właściwe zabezpieczenia sprawdziły się, uchroniły kanadyjską gospodarkę. Nie są to więc tak zupełnie naczynia połączone.

Wexit to idea oddzielenia się zachodniej części Kanady.

Populizm po kanadyjsku

Kanadyjskie partie głównego nurtu mogą różnić się zasadniczo w wielu kwestiach, ale pewne elementy są dla wszystkich niepodważalne. Czy z prawa (Conservative Party of Canada), czy z lewa (New Democratic Party), czy w środku (Liberal Party of Canada), nikomu nie przychodzi do głowy kwestionowanie zasad powszechnej bezpłatnej służby zdrowia bądź imigracji jako niezbędnego i darzonego szacunkiem elementu kanadyjskiej rzeczywistości. Nikt nie zakwestionowałby też gwarantowanej przez konstytucję pełnej równości wszystkich ludzi, a ewentualne wypowiedzi przeciwko osobom LGBT czy imigrantom (nawet dawne, wygrzebane z archiwów) to wystarczający powód, aby ich autora odsunąć od polityki (taki był los Heather Leung, kandydatki konserwatywnej z Kolumbii Brytyjskiej, w październikowych wyborach) albo zwolnić z pracy (tak postanowiła telewizja publiczna CBC, zwalniając telewizyjnego guru hokeja z 40-letnim stażem Dona Cherry'ego).

16 maja w Toronto świętowano Dzień Nowego Przybysza. Ma to pomóc imigrantom w rozpoczęciu nowego życia w Kanadzie.

Mimo wszystko w 2018 r. nastroje dotychczas raczej niewychodzące poza media społecznościowe wypłynęły na powierzchnię. Poseł z Quebecu Maxime Bernier, który w 2017 r. minimalną liczbą głosów przegrał walkę o stanowisko lidera federalnej Partii Konserwatywnej, postanowił opuścić tę partię – wyraźnie za mało dla niego prawicową – i stworzył własną, People's Party of Canada (PPC). Akurat we właściwym czasie – przed wyborami parlamentarnymi, które odbyły się w październiku tego roku.

Pierwszy i jedyny ostatnio w kanadyjskiej polityce mówił o likwidacji Ustawy o wielokulturowości (Multi-

eprasa.pl 3df9b58589

culturalism Act), fundamentu kanadyjskiego społeczeństwa, postulując przyjmowanie mniejszej liczby imigrantów i uchodźców.

PPC ocenia ONZ jako „niedorzeczną" i „dysfunkcyjną" organizację, twierdząc, że uczestnictwo w niej może osłabić kanadyjską „suwerenność narodową". Nie widzi moralnego uzasadnienia dla pomocy międzynarodowej. Twierdzi, że imigranci chcą „siłą zmienić charakter kulturowy i tkankę społeczną naszego kraju" i że trzeba budować fizyczne bariery, aby powstrzymać uchodźców.

Nikomu nie przychodzi do głowy kwestionowanie bezpłatnej służby zdrowia czy imigracji jako elementu kanadyjskiej rzeczywistości.

Partii Berniera zarzucano wystawianie kandydatów o poglądach rasistowskich i mizoginicznych, a jednak udało się jej zebrać 300 tys. dol. w zaledwie kilka godzin po rejestracji w Elections Canada. Bernier wystawił kandydatów w 314 z 338 federalnych okręgów wyborczych.

Jak nie populiści, to separatyści

Mimo tych wszystkich pozornych sukcesów wynik wyborczy był fatalny dla PPC. Jej kandydaci zdobyli tylko 1,6% głosów i nie dostali żadnego mandatu w Izbie Gmin, a sam Bernier przegrał wybory we własnym okręgu w Quebecu, który reprezentował w Ottawie przez cztery kadencje, od 2006 r.

Kanadyjczycy odetchnęli. „Populizm został rozbrojony i znokautowany", mówiono po październikowych wyborach. Wydawało się, że wynik potwierdził to, o czym powszechnie się wie: mimo że nie wszyscy przepadają za czystą formą kanadyjskiej wielokulturowości, badania wskazują, że Kanadyjczycy nie czują się dobrze z jawnymi atakami na grupy mniejszościowe i cenią różnorodność etniczną o wiele bardziej niż większość Europejczyków.

A jednak – już nazajutrz po wyborach zaczęto mówić coraz głośniej o mało wcześniej znanym pomyśle. *Wexit* to idea oddzielenia się zachodniej części Kanady. Po kolejnej wygranej liberałów bardzo krytyczni wobec rządu mieszkańcy zachodu Kanady, którzy w prowincjach Alberta i Saskatchewan nie wybrali ani jednego liberała, mówią o alienacji i izolacji.

Ich nastroje zagospodarowali aktywiści z politycznymi aspiracjami i skwapliwie złożyli dokumenty o zarejestrowanie ugrupowania jako partii politycznej. Niestety, mało kto przygląda się korzeniom ideologicznym ich lidera Petera Downinga i działaczy tego ruchu, którzy mają powiązania z grupami białych suprematystów.

Po latach niewielkiej popularności w wyborach zatriumfowała też federalna separatystyczna partia istniejąca tylko w Quebecu – Bloc Québécois. Nie tylko odzyskała status oficjalnej partii, ale jeszcze pokonała poprzednio dobrze ustawioną New Democratic Party. Lider BC, Yves-Francois Blanchet, tłumaczy to nasileniem się nastrojów nacjonalistycznych we francuskojęzycznym Quebecu.

W ostatnim referendum w sprawie oddzielenia się Quebecu od Kanady, które odbyło się w 1995 r., separatyści przegrali minimalnie i Kanada nie utraciła frankofońskiej prowincji. Dzisiaj, 24 lata później, świat jest już inny – wszystkie ideologie, choćby niszowe, są nagłaśniane i propagowane z prędkością światła przez media społecznościowe, dla których 5 tys. km od wybrzeża Atlantyku do brzegu Pacyfiku nie ma żadnego znaczenia.

Aż 80% Kanadyjczyków negatywnie ocenia prezydenturę Trumpa i sytuację w USA.

Czy Kanada jest odporna?

Czy zatem porażka Maxime'a Berniera i jego populistycznej partii to wystarczający powód, aby przestać się obawiać o przyszłość Kanady i uznać, że kraj jest odporny na populizm? PPC poległa, ale pamiętajmy, że to młoda formacja, ponadto 300 tys. Kanadyjczyków jednak oddało głos na jej kandydatów.

Kanada nie jest i nie może być jednolita – to gigantyczny kraj, który połączył jakże odmienne regiony zaledwie 150 lat temu. Mimo wspólnej flagi i królowej Elżbiety II jako oficjalnej głowy państwa trudno się doszukać wspólnych interesów rybaków z Nowej Fundlandii, pracowników sektora naftowego w Albercie i czułych na swoje frankofońskie tradycje mieszkańców Quebecu.

Pozostaje mieć nadzieję, że przywiązanie Kanadyjczyków do dbania o siebie nawzajem, do państwa opiekuńczego z jego ochroną socjalną, do wielokulturowości i tożsamościowej potrzeby bycia innymi niż Amerykanie pozwoli przetrwać burzę kłębiącą się u Goliata za miedzą (i nie tylko), tak jak udało się z kryzysem finansowym.

■

eprasa.pl 3df9b58589

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Reforma dzwonkowa

W ciągu ostatnich pięciu lat już kilkanaście okręgów szkolnych w USA zdecydowało się na późniejsze rozpoczynanie lekcji

Rok temu, tuż przed Bożym Narodzeniem, dostaliśmy jako rodzina najpiękniejszy prezent. Lokalne kuratorium oświaty poinformowało, że od przyszłego roku lekcje w gimnazjach i liceach w naszym mieście będą się zaczynać później.

Zmiana jest ogromna, bo mówimy o przesunięciu dzwonka z godz. 7.30 na 9 rano. Uczniowie dojeżdżający do szkół gimbusem, jak nasza córka i 80% jej rówieśników, nie muszą więc zrywać się już o godz. 6, by zdążyć na przystanek grubo przed 7. Tak wcześnie, bo przepełnione gimbusy – norma w biedującym amerykańskim szkolnictwie – mają zwykle długie trasy i dojazd do szkoły niemal wszędzie zajmuje kilkadziesiąt minut. Godzina więcej snu rano dla całej rodziny, a zwłaszcza naszej nastolatki, zrobiła kolosalną różnicę. Nawet nie chcę sobie wyobrażać, że moglibyśmy wrócić do poprzedniego stanu rzeczy. Mamy za sobą dramatyczne doświadczenia ze starszą córką, której w wieku nastoletnim tak rozregulował się rytm snu, że potrzebna była interwencja lekarza. Widok jej młodszej siostry wyspanej, spokojnie pałaszującej śniadanie i nawet uśmiechniętej przed wyjściem do szkoły jest bezcenny.

Cena za postęp

Walka o późniejsze zaczynanie lekcji trwała kilka lat. Nasza społeczność była wielokrotnie sondowana, przez łamy lokalnej prasy przetaczały się burzliwe debaty, a kuratorium wielokrotnie zamawiało badania u ekspertów z wielu kluczowych dla sprawy dziedzin, od finansów publicznych i transportu po psychologów rozwoju dziecka. Znacząca okazała się decyzja okręgu szkolnego w Denver, stolicy stanu Kolorado, gdzie mieszkamy. Tam początek lekcji przesunięto z 7.10 na 8.15 już jesienią 2017 r. Gdy rok później kuratorium stanowe opublikowało raport na temat efektów reformy dzwonkowej, potwierdziły się tezy od dawna wysuwane przez lekarzy – w szkołach w Denver poprawiły się i frekwencja, i wyniki w nauce. Lokalni komentatorzy z entuzjazmem powtarzali zaś, że zapewnienie młodzieży wystarczającej ilości snu to dziś jeden z najważniejszych celów wychowawczych i oświatowych. Dlaczego? Bo szkoła, nie tylko w Ameryce, lecz także w Polsce i może na całym świecie, musi stawić czoła zarówno edukacyjnym wyzwaniom przyszłości, jak i efektom rewolucji technologicznej, która w ciągu zaledwie kilku lat dramatycznie przedefiniowała niemal każdą sferę naszego życia. Skutki tej rewolucji u dorosłych są sprawą bardziej złożoną i sporną, dzieci jednak zapłaciły za nią bardzo oczywistą cenę. Ekrany odebrały im sen. Brak snu nakręca w tej grupie wiekowej epidemię depresji i schorzeń określanych jako cywilizacyjne, np. otyłości i cukrzycy. Tam, gdzie szwankuje zdrowie, nie ma co liczyć, że nawet najlepiej skrojony program nauczania i przygotowana do niego kadra zagwarantują efekty.

Rok po wdrożeniu reformy dzwonkowej w moim mieście liczba jej krytyków znacznie zmalała i dalej spada. Cieszę się, że dołączyliśmy do rosnącego w całej Ameryce ruchu w obronie snu naszych dzieci. Jak donosi przewodnicząca mu organizacja Start School Later (Zaczynajmy lekcje później), w ciągu ostatnich pięciu lat już kilkanaście okręgów szkolnych w różnych częściach USA zdecydowało się na ten krok. W październiku tego roku ruch odnotował największe do tej pory zwycięstwo. Gubernator Kalifornii Gavin Newsom podpisał ustawę, która stanowi, że od 2022 r. lekcje w kalifornijskich gimnazjach i liceach nie będą mogły rozpoczynać się wcześniej niż o godz. 8.30. Będzie to zgodne z opinią Amerykańskiego Związku Medycznego, który wystosował takie zalecenie do rodziców i edukatorów już w roku 2014.

eprasa.pl 3df9b58589

Szkolne autobusy mają zwykle długie trasy i dojazd do szkoły zajmuje kilkadziesiąt minut.

Przyjrzyjmy się bliżej argumentom amerykańskich bojowników o sen, bo choć szkoła polska i amerykańska się różnią, to przecież biologiczne potrzeby dzieci są takie same. Co więcej, w Polsce pogoń za okienkami na kółka zainteresowań, zajęcia wyrównawcze, treningi czy spotkania organizacyjne lub po prostu brak sal lekcyjnych, bolączka wielu szkół po ostatniej reformie, owocują trendem zupełnie odwrotnym do amerykańskiego – ściąganiem młodzieży do szkoły już około godz. 7 rano.

Biologia górą

Wszystko zaczęło się od badań Mary Carskadon, dyrektorki Instytutu Chronobiologii i Badań nad Snem przy Uniwersytecie Browna w USA. W dwóch oddzielnych eksperymentach przeprowadzonych w latach 1993 i 1998 lekarka wykazała, że w okresie dojrzewania rytm dobowy człowieka przesuwa się o dwie-trzy godziny w przód.

– Melatonina, hormon snu, który u dorosłych zaczyna się wydzielać około godz. 21 i zanika około godz. 6, u nastolatka pojawia się dopiero około godz. 23 i obecny jest aż do 8 – wyjaśnia dr Carskadon. – Wstając o 6 rano, młodzież czuje się więc tak jak my, gdy wyrywa się nas ze snu o 3 lub 4 rano!

Jej przełomowe badania obaliły dwa mity pokutujące być może od zawsze. Pierwszy – że zamiłowanie nastolatków do siedzenia późno w nocy, a potem niemożność zwleczenia się rano z łóżka, to zamierzona krnąbrność i złośliwość, z którą należy walczyć. Druga zaś, że dojrzewająca młodzież to grupa potrzebująca najwięcej snu ze wszystkich, więcej nawet niż rodzeństwo z podstawówek, bo optymalnie aż 9,2 godziny na dobę.

– Niektórzy wciąż nie chcą przyjąć do wiadomości, że to po prostu biologia. Przesunięty rytm dobowy obserwujemy zresztą nie tylko u nastolatków ludzkich, ale także u innych ssaków. To norma – wyjaśnia Mary Carskadon.

Dr Carskadon nie wpadła na pomysł swoich badań bez przyczyny. Niepokoiło ją zjawisko, które obserwowała w amerykańskim szkolnictwie od połowy lat 70. zeszłego wieku, mianowicie rozpoczynanie lekcji coraz wcześniej. Trend ten miał trzy przyczyny. Po pierwsze, masowy wymarsz Amerykanek do pracy wyprodukował pierwsze w historii USA pokolenie dzieci z kluczami na szyi. Pojawił się pomysł, by młodzież zaczynała i kończyła lekcje wcześniej, aby wrócić do domu przed młodszym rodzeństwem i zaopiekować się nim pod nieobecność rodziców. Po drugie, zmieniła się filozofia rodzicielstwa – z korporacji do domu przeniosła się koncepcja wyścigu szczurów. Rozpoczęła się era obowiązkowych zajęć dodatkowych oraz huraganowego rozwoju ligowych sportów dla młodzieży, związanych z wymogiem profesjonalnych treningów. Potrzebny był czas, by te ambicje i projekty realizować. Odchudzenie podstawy programowej nie wchodziło w grę, plany lekcji trzeba było raczej poszerzać o nowe przedmioty z zakresu informatyki i obsługi komputerów. Znów więc jedynym sensownym rozwiązaniem był wcześniejszy dzwonek na lekcje. Po trzecie – kwestie finansowe.

Amerykańskie szkolnictwo jest w dużej mierze finansowane z lokalnych podatków od nieruchomości. Jeśli są one wyższe i do kasy samorządu wpłynie więcej pieniędzy – szkoły mają się lepiej. W czasach zatapiających wszystko krachów finansowych, takich jak ten sprzed dekady, czy kryzysów budżetowych, jak w Kalifornii za rządów gubernatora Jerry'ego Browna, szkołom może nie starczać nawet na papier toaletowy. Od dawna większości okręgów szkolnych brakuje środków na zakup odpowiedniej liczby gimbusów. Amerykańskie dzieci, z wyjątkiem szczęśliwców z największych miast oraz mieszkańców Wschodniego Wybrzeża, generalnie nie mają możliwości korzystania z transportu publicznego, gimbus jest dla nich jedynym sposobem, by w ogóle dotrzeć do szkoły. Obowiązuje więc system dwurzutowy. W pierwszym rzucie autobusy rozwożą po szkołach gimnazjalistów i licealistów, potem wracają po uczniów podstawówek. Godziny rozpoczęcia lekcji przez tych pierwszych muszą więc być odpowiednio wczesne, by młodsi nie musieli zaczynać ani kończyć zbyt późno. Efekt jest taki, że młodzi Amerykanie zaczynają dziś lekcje co najmniej o godzinę wcześniej niż ich rodzice i dziadkowie – średnio ok. 7.30 rano. Rekordziści, np. licealiści z Niceville na Florydzie czy z Woodinville w stanie Waszyngton, już o 7.00. A pamiętajmy, że gimbus odjeżdża z przystanku co najmniej pół godziny wcześniej.

Smartfony odebrały dzieciom sen.

Federalne Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób (CDC) alarmuje, że aż 60% współczesnych amerykańskich nastolatków sypia siedem lub mniej godzin na dobę. Deficyt snu CDC umieściło na swojej liście zagrożeń dla zdrowia publicznego.

Odkrycia Mary Carskadon bardzo szybko uruchomiły efekt domina. Eksperci skupili się przede wszystkim na badaniu związków między zaburzeniami i deficytem snu u nastolatków a ich zdrowiem i bezpieczeństwem. Wendy Troxel, psycholożka behawioralna i czołowa aktywistka ruchu na rzecz późniejszego rozpoczynania lekcji, uważa, że mamy do czynienia z regularną epidemią. I choć powoduje ją kilka czynników, efekt jest jeden: pogarszający się stan zdrowia psychicznego i fizycznego młodych. – Co piąty nastolatek przysypia na lekcjach. Deficyt snu przekłada się na gorsze wyniki w nauce i na egzaminach. Istnieje

FOT. BEWPHOTO

eprasa.pl 3df9b58589

bezpośredni związek między chronicznym niedospaniem a ryzykiem wystąpienia depresji, myśli i prób samobójczych, a także zachowań ryzykownych, takich jak picie, palenie, używanie narkotyków czy przygodne kontakty seksualne – wyjaśnia Wendy Troxel. – Do tego dochodzi sytuacja na drogach. Zmęczenie i rozkojarzenie odpowiadają dziś aż za połowę wypadków samochodowych, którym ulegają ludzie w wieku 16-24 lata.

Drukarz pieniędzy

Amerykanie uważają siebie za ludzi rozsądnych, ale – jak na urodzonych kapitalistów przystało – rozsądek często pojawia się u nich dopiero wtedy, gdy widzą konkretne sumy dolarów, jakie mogą zarobić lub zaoszczędzić, decydując się na wdrożenie jakiejś zmiany. Prawda jest taka, że debata o korzyściach płynących ze snu ruszyła z kopyta, dopiero gdy pojawiły się badania pokazujące, ile amerykańska gospodarka może zaoszczędzić, jeśli pozwoli nastolatkom rano dłużej pospać. Okazuje się, że krocie – 9 mld dol. już po pierwszych dwóch latach od zmiany, 83 mld w ciągu dekady i nawet 140 mld za lat 15. Badania pod tym kątem przeprowadziła dwa lata temu korporacja RAND ze swoim europejskim satelitą RAND Europe. Większość przewidywanych korzyści to oszczędności w związku z poprawą stanu zdrowia i bezpieczeństwa młodzieży. Chodzi o wspomniane już wypadki drogowe, ale także o spadek wskaźnika otyłości, którą brak snu ostro u młodych napędza i która kosztuje USA co najmniej 45 mld dol. rocznie, co obejmuje leczenie i obniżone zdolności funkcjonowania ludzi otyłych. Reszta profitów wiąże się z poprawą wyników w nauce. Badacze z RAND prognozują, że aż o 13% przybędzie uczniów kończących liceum i o 9% podniesie się liczba studentów. Lepiej wykształceni i zarabiający młodzi będą dokładać więcej do majątku narodowego. Podpisując ustawę o późniejszym zaczynaniu lekcji, kalifornijski gubernator też nie omieszkał podkreślić ekonomicznego wydźwięku decyzji. Zdaniem ekspertów Kalifornia zarobi na tym posunięciu ponad 1 mld dol. w dwa lata i prawie 25 mld w ciągu 20 lat.

Wstając o godz. 6, młodzież czuje się jak dorosły, którego wyrywa się ze snu o 3 lub 4 rano.

Mimo stanowiska lekarzy i ekonomistów nie ma co się łudzić, że już wkrótce wszystkie amerykańskie nastolatki będą mogły dłużej pospać, bo prawo im to zagwarantuje. Na przeszkodzie stoi pokutująca w Ameryce (i w całym rozwiniętym świecie) specyficzna mentalność, gorzki znak naszych czasów, że „sen jest dla mięczaków". Do tego dochodzi odwieczny podział w podejściu do kwestii wychowawczych, na ścierające się obozy „rozpieszczaczy" i „hartowników". W kraju tak bardzo ceniącym sukces nie brakuje niereformowalnych „hartowników" – zwolenników teorii, że dzieci należy od najmłodszych lat przysposabiać do „prawdziwego" życia, w którym nikt nie będzie załamywał nad nimi rąk z powodu ich niedospania czy złego nastroju. A ponieważ każda reforma szkolna wiąże się z kosztami, na które muszą się zgodzić podatnicy, poglądy zainteresowanych stron (dorosłych) pozostają nie mniej spolaryzowane niż opinie na temat powszechnej służby zdrowia czy darmowych studiów. Obie kwestie od kilkunastu lat zaprzątają amerykańskich wyborców i polityków, a widoków na ich konstruktywne rozwiązanie wciąż nie ma.

Dlaczego polski patriota nie powinien podawać ręki nowej pani premier Finlandii?
Odpowiedź w najnowszym numerze tygodnika „NIE".

Jesteśmy tym, co wyśpimy

Nie można zakończyć tematu, nie pokazując problemu ze snem u nastolatków w szerszym kontekście. Na deficyt snu cierpimy dziś wszyscy. Nie dosypia podobno już co trzeci obywatel świata i co trzeci skarży się na regularną bezsenność. Poradniki, jak trenować umysł i ciało, by cieszyć się zdrowym snem, biją rekordy popularności. Arianna Huffington, legendarna współzałożycielka i redaktor naczelna serwisu Huffington Post, dziś dyrektor generalna firmy *wellness* Thrive Global, też napisała poradnik o śnie, „The Sleep Revolution", ale z pozycji nie trenerki, lecz bardziej filozofa. Trudno się z nią nie zgodzić, że żyjemy w świecie, który traktuje sen, jak stereotypowy *macho* traktuje kobietę – bez uwagi i szacunku, czasami wita ją całusem, ale częściej pogardliwym kopniakiem. Traci na tym, bo w sumie czuje się nieszczęśliwy, ale zamiast słuchać własnego ciała i umysłu, słucha kultury, w której żyje. Wyleczymy się z tej toksycznej postawy, jeśli świadomie zmienimy nasze priorytety, w tym obyczaje w miejscach pracy (koniec z pracoholizmem!) i kontakty z technologią – ograniczymy szkodliwy dla naszych oczu i mózgów kontakt ze światłem z ekranów. – Wierzę, że te zmiany przyjdą, inaczej dokonamy autodestrukcji. Ważne jest, by o roli snu w naszym życiu mówili ludzie, którzy coś osiągnęli i są autorytetami. Niech przekonują, że właśnie sen dodaje im mocy i efektywności w działaniu. To sprawi, że jako cywilizacja, gatunek znów damy sobie przyzwolenie, by się wysypiać i tego nie wstydzić – uważa Arianna Huffington.

Przed nami święta – cenny czas na nadrobienie zaległości we śnie. Życzmy sobie, by nowy rok był początkiem zmian w naszych sypialnianych obyczajach. A co do naszych nastolatków – może nie mamy większego wpływu na to, o której zaczynają lekcje, ale zamiast krzyczeć rano, że się guzdrzą i zasypiają z twarzą w talerzu, okażmy więcej serca i zrozumienia dla biologii, która tak utrudnia im życie. Miłość snu nie zastąpi, ale na pewno pomoże przetrwać trudne chwile.

Eliza Sarnacka-Mahoney

eprasa.pl 3df9b58589

Z Galicji

Jan Widacki

Wielki świat i ciemnogród

Początkowo chciałem ten felieton zatytułować „Wielki świat i zaścianek", ale doszedłem do wniosku, że zaścianek na określenie mentalności i postaw ministra Glińskiego, posła Mularczyka, Jacka Kurskiego czy redaktora Warzechy, nie mówiąc już o doktorze Jakim, byłoby dla nich zbyt nobilitujące. Zaścianek to osada zamieszkana przez drobną szlachtę. Była to szlachta wprawdzie zacofana, niewykształcona, zabobonna, zdewociała, często wisząca na klamce u sąsiada magnata, ale przecież na ogół poczciwa, pracowita i ojczyźnie, tak jak ją pojmowała, oddana.

Weźmy takich Dobrzyńskich z „Pana Tadeusza", Butrymów z Laudy opisanych w „Potopie" albo Bohatyrowiczów z „Nad Niemnem". Porównanie ich do indywiduów wyżej wymienionych z nazwiska byłoby dla szlachciców obraźliwe. Ciemnogród, czyli – jak głosi słownik języka polskiego – miejsce, gdzie nie dociera kultura, postęp, gdzie panuje zacofanie i kołtuństwo, lepiej do opisu tego towarzystwa pasuje.

Olga Tokarczuk, wielka dama polskiej literatury, doceniona przez świat, jak najsłuszniej uhonorowana Nagrodą Nobla, to biegun przeciwny.

Uroczystość wręczenia jej Nobla oraz piękne i mądre przemówienia wygłoszone przy tej okazji pokazały nam świat lepszy niż ten, który na co dzień funduje nam miejscowy ciemnogród. Udowodniły, że świat może być inny od tego, o którym marzą i który próbują zbudować w Polsce prezes, jego służalcy i wyznawcy. I że dzięki takim osobom jak Olga Tokarczuk jesteśmy też częścią tego lepszego świata.

Wielki sukces pisarki, sukces polskiej literatury, to sukces Polski, nasz wspólny. Dla polskiego ciemnogrodu to jednak klęska. Stąd taka jego reakcja.

Okazuje się, że minister Gliński, próbujący administrować nie tylko polską kulturą, ale także polskim dziedzictwem narodowym, nie przeczytał do końca żadnej powieści naszej noblistki. Mimo to próbuje ją pouczać, że jej proza jest zbyt mało patriotyczna. Mimo wysiłków intelektualnych nie zrozumiał nawet jej noblowskiego wykładu, o czym świadczy choćby jego twierdzenie, że pisarce brakuje „bardziej odważnego zmierzenia się z wartościami". Gdyby doczytał, wiedziałby, że Tokarczuk, podobnie jak kiedyś Miłosz czy jeszcze wcześniej Norwid w swojej twórczości, bezustannie mierzy się z wartościami. Ale to dla Glińskiego za trudne. Najwyraźniej nie jest on w stanie odczytać literackiego przekazu trudniejszego niż „Betlejem polskie" Rydla. A jego twierdzenie, z nutą wątpliwości, że Nagroda Nobla „pewnie jej się należała", było już czystym chamstwem.

Zaproszenie noblistki do ministerstwa nawiązało do pewnej tradycji. Jeden z poprzedników Glińskiego, minister Zdzisław Podkański, dla którego orkiestry dęte ochotniczych straży były najwyższą zrozumiałą formą kultury, zamierzał kiedyś zaprosić do ministerstwa Józefa Czapskiego. Problem jednak był w tym, że Czapski nie żył już od kilku lat. Nie wiem, o czym Podkański zamierzał z Czapskim rozmawiać. Gliński chce Tokarczuk pouczyć. Przekonać do polityki historycznej PiS, naprowadzić na jedynie słuszne tory patriotyzmu, tak jak on go pojmuje. Dziwiłbym się, gdyby Olga Tokarczuk to zaproszenie przyjęła.

Na temat noblistki i jej pisarstwa wypowiedziały się publicznie takie potęgi intelektu, jak redaktor Warzecha, poseł Mularczyk czy doktor Patryk Jaki.

Warzecha, choć nic Tokarczuk nie przeczytał (sądząc po jego wypowiedziach, chyba w ogóle niewiele w życiu przeczytał) i choć myśli, że Prus dostał Nobla, jest nie najlepszego zdania o jej pisarstwie, a jak najgorszego o tych, którym to pisarstwo się podoba.

Mularczyk, któremu obliczanie należnych nam reparacji wojennych od Niemiec całkowicie zablokowało myślenie, recenzując sztokholmską laudację na cześć Olgi Tokarczuk, zdobył się na dowcip, że Akademia Szwedzka powinna… przeprosić nas za potop. Gdybyż to był dowcip. Nie do takich dowcipów przyzwyczaił nas prezydent Duda. Ale on – zdaje się – ten idiotyzm wypowiedział całkiem serio!

Pisarstwo Olgi Tokarczuk nie podoba się też Patrykowi Jakiemu. Ten świeżo upieczony doktor, wypromowany w Akademii Sztuki Wojennej, obronił pracę o więziennictwie, której promotorem był pewien wojskowy uczony, z profesji nawigator. Spóźnioną recenzję pracy Jakiego i to nie o więziennictwie, ale w samym więziennictwie nadesłał ostatnio Marian Banaś. Zdaje się, że nie jest pozytywna. Swoją drogą nie wiem, co o tym doktoracie sądzi reformator nauki wicepremier Gowin. Pewnie swoim zwyczajem przyjął do wiadomości, ale się nie cieszył. A może się cieszył? W końcu Jaki i jego promotor nawigator wskazali pionierską drogę budowania nowych elit. Mam nawet hasło: „Ze swoim nawigatorem – zostaniesz szybko doktorem".

Na koniec prezes od telewizji, Jacek Kurski. Kierowana przez niego TVP zrobiła więcej, by zminimalizować sukces Tokarczuk, niż potrafiła telewizja za PRL, by zminimalizować sukces Miłosza. To sztuka. Ale też wstyd. Teraz, być może, prezes pochwalił, ale kiedyś prezesa nie będzie, a wstyd pozostanie.

Obecność Olgi Tokarczuk w Sztokholmie, światowe uznanie dla niej, ale przede wszystkim jej pisarstwo, pokazują, że Polska nie musi być podła, głupia i ciemna. Polska może być i jest piękna, mądra i szlachetna. A my możemy z tej Polski być dumni, równocześnie wstydząc się, jak Tokarczuk, za aktualny rząd. Prymas Wyszyński mawiał, że rządy się zmieniają, ale naród trwa. I dziś warto jego słowa przypomnieć.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3df9b58589

Wydobycie litu napotyka opór mieszkańców, którzy obawiają się zniszczenia krajobrazu.

Lit – skarb, który dzieli Portugalczyków

Jedno z największych złóż w Europie znajduje się w rezerwacie biosfery UNESCO

Tomasz Skowronek

Szeroko zakrojone badanie geologiczne przeprowadzone przez rząd portugalski w 2016 r. ujawniło, że północna część kraju jest bogata w rezerwy litu. O jego wydobyciu gorąco się dyskutuje obecnie w Portugalii. Dlaczego? Otóż jedno z największych złóż w Europie znajduje się w rezerwacie biosfery UNESCO. Tylko w 2016 r. zgłoszono 30 nowych wniosków dotyczących poszukiwania i badań tego metalu. Od tamtej pory organizacje ochrony środowiska, rady miejskie i mieszkańcy wielokrotnie wypowiadali się przeciwko poszukiwaniu i eksploatacji litu. Tymczasem rząd twierdzi, że jego wydobycie może być ogromną szansą dla rozwoju kraju.

Jedna z kopalń ma powstać w północnej części Portugalii, w wiosce Fiães do Rio, mającej zaledwie 70 mieszkańców. Miejscowość dotychczas słynęła z pięknych widoków na zaporę w Paradeli i góry Serra do Gerês. Vítor Barroso Afonso sprowadził się tu w 2014 r., w przeddzień 40. urodzin. „Moi rodzice są stąd, ale opuścili wioskę, tak jak całe ich pokolenie. Urodziłem się we Francji, jednak postanowiłem wrócić do korzeni, zamieszkać tutaj i zainwestować". Vítor założył popularne w całym kraju obozowisko ekoturystyczne Nomad Planet. Wieść o zlokalizowaniu w sąsiedztwie kopalni litu zagraża idylli. „Zgłoszenie planów powstania kopalni bardzo nas zasmuciło. Taki projekt z pewnością przyniesie krajobrazowi i otoczeniu hałas i zniszczenie. Nie mamy innego wyboru, jak się spakować i odejść".

Portugalczyk jest przekonany, że przyszłość regionu zależy od zachowania jego krajobrazów. „Pożyczamy od naszych dzieci ziemię, którą odziedziczyliśmy po przodkach – mówi. – Jeśli taka kopalnia mogłaby być eksploatowana przez 30 lat, to stworzy bliznę, która nigdy nie zniknie". Vítor wie, że lit pomoże zmniejszyć zależność od paliw kopalnych, ale pomysł otwierania kopalni w dowolnym miejscu irytuje go. „Jaki sens ma tutaj taka inwestycja?", pyta.

Powstania kopalni obawia się też 58-letni pasterz Adérito Gonçalves. Przywołując przykład kopalni wolframu, która działała tu w latach 1902-1986, mówi o „chciwości, bo wobec zysku, jaki można osiągać przez kilkanaście lat, cel jest krótkowzroczny. Opuszczona kopalnia zostaje pusta, szpeci widok. Ludzie odchodzą, a ziemia staje się coraz bardziej narażona na pożary".

Rok temu gmina Montalegre i sąsiednia Boticas zostały sklasyfikowane jako światowe dziedzictwo rolnicze przez FAO, agencję ds. żywności i rolnictwa ONZ. Znaczna część gminy Montalegre znajduje się również na terenie Parku Narodowego Peneda-Gerês, jedynego takiego portugalskiego obszaru wpisanego przez UNESCO na listę rezerwatów biosfery. Na tych ziemiach zamieszkują iberyjskie wilki i koziorożce, jelenie i wydry, występują tu endemiczne gatunki roślin. „To wspaniały, różnorodny biologicznie obszar, a pomysł lokalizowania kopalni odkrywkowej w pobliżu parku narodowego jest skandalem", podsumowuje Miguel Dantas da Gama, prezes Funduszu Ochrony Środowiska Naturalnego, walczący z górnictwem w pobliżu obszarów chronionych.

eprasa.pl 3df9b58589

Portugalia to najbiedniejszy kraj w Europie Zachodniej – w wydobyciu litu widzi swoją szansę na świetlaną przyszłość. Ten metal jest kluczowym elementem budowy akumulatorów. „Szczerze wierzę, że lit może być nowym złotem dla Portugalczyków", mówił Maroš Šefčovič, były szef Komisji Europejskiej ds. energii.

Swego czasu lit nie był zbyt atrakcyjny dla kupujących, ale odkąd stał się głównym składnikiem akumulatorów nowej generacji, coraz częściej nazywany jest metalem przyszłości bądź białym złotem. Fabryki baterii, zwłaszcza litowo-jonowych wykorzystywanych w autach elektrycznych, nie nadążają z realizacją zamówień. Wszyscy producenci uruchamiają produkcję aut na baterie lub hybrydowych, spalinowo-elektrycznych.

Jeśli cele Parlamentu Europejskiego zostaną osiągnięte, do 2030 r. 35% nowych samochodów i furgonetek sprzedawanych na kontynencie będzie pojazdami elektrycznymi lub napędzanymi innymi technologiami o zerowej emisji. Globalna sprzedaż „elektryków" wynosi ok. 158 tys. sztuk miesięcznie (z czego 35 tys. w Europie), ale w ciągu następnej dekady powinna wzrosnąć 14-krotnie (do 2,3 mln miesięcznie).

Unia Europejska chce zmniejszyć zależność od importowanych komponentów baterii. Jak zauważa „O Jornal Económico", obecnie importuje ona 86% zużywanego litu, głównie z Chile i Australii. Oba te kraje są też na czele światowej listy rezerw: Chile – 8 mln ton, Australia – 2,7 mln, następna jest Argentyna – 2 mln. Portugalia zajmuje szóste miejsce z 60 tys. ton, tym samym ma największe rezerwy litu wśród wszystkich państw Unii.

„Rynek akumulatorów eksplodował i wywołał ogromny apetyt na lit – mówi Lucas Bednarski, dyrektor zarządzający badaniami rynku portalu Lithium Today. – Do 2025 r. rynek akumulatorów w samej Europie będzie wart 250 mld euro rocznie". Warto wspomnieć, że lit stosuje się również do produkcji baterii litowo-jonowych w telefonach i laptopach.

Portugalia jest już głównym producentem litu w Europie (jej udział w rynku wynosi 11%), ale wydobycie jest w całości wykorzystywane do produkcji ceramiki i szkła. Władze w Lizbonie mają zamiar zwiększyć eksploatację złóż oraz pobierać opłaty licencyjne od międzynarodowych koncernów. Chcą także wykorzystać okazję do rozwoju sektorów przemysłowych związanych z przetwarzaniem minerałów, produkcją akumulatorów, samochodów i energią odnawialną.

Marina Brito z Międzynarodowego Laboratorium Nanotechnologii Iberyjskiej (INL) na jednej z konferencji powiedziała, że lit może być portugalską ropą naftową, a kraj ma szansę zostać liderem w produkcji akumulatorów. „Portugalia jest jednym z niewielu krajów, które mogą się zajmować całym cyklem, od wydobycia litu po recykling sprzętu. Istnieje cała gospodarka o obiegu zamkniętym oparta na bateriach", wyjaśnia.

Rząd twierdzi, że wydobycie litu może być ogromną szansą dla kraju.

Brytyjski koncern Savannah Resources, zaangażowany w proces wydawania pozwoleń na kopalnię w Covas do Barroso o wartości 110 mln dol., obiecuje stworzyć miejsca pracy dla 200 osób (z dodatkowymi 600 pośrednimi). I to w jednym z najbiedniejszych regionów Portugalii, gdzie populacja od lat 80. zmniejszyła się o połowę z powodu słabych perspektyw dla młodych ludzi.

Dodatkowo w porcie Leixões niedaleko Porto miałaby powstać pierwsza w Europie rafineria litu. W Portugalii rosną więc nadzieje na krociowe zyski i rozwój przyszłościowego przemysłu. Ale wielu mieszkańców ma obawy.

Jak pisze „Diário de Notícias", skargi lokalnych społeczności są podobne: górnictwo odkrywkowe tego rodzaju jest potencjalnie zanieczyszczające, poza tym nieodwracalnie zmieni krajobraz. Zaniepokojonych ludzi wspiera organizacja ekologiczna Quercus, która w czerwcu 2018 r. utworzyła platformę Alert Lithium, aby „zatrzymać projekty i propozycje wydobycia litu w Portugalii".

„Portugalia to nie Chile ani Australia, gdzie istnieją prawdziwe pustynie. Nie mieszkamy na pustyni. Na wszystkich tych obszarach istnieją małe społeczności. 35% naszego terytorium jest już zagrożone suszą, a kopalnie jeszcze bardziej zakłócą system hydrologiczny", ostrzega Renata Almeida, liderka grupy antylitowej w Beirze.

Protestujący w Portugalii wskazują na precedensy w innych krajach mających złoża litu. Wydobywanie tego minerału wiąże się z ogromnym zapotrzebowaniem na wodę. Firmy wydobywcze z Chile są oskarżane o wykorzystywanie większych ilości wody, niż jest dozwolone. W Argentynie stwierdzono, że rdzenne społeczności zamieszkujące ziemie w pobliżu kopalń litu nie są odpowiednio informowane o projektach wydobywczych i nie zdają sobie sprawy z ich wpływu na okoliczne źródła wody.

Wielu mieszkańców obawia się, że eksploatacja kopalń spowoduje „zniszczenie krajobrazu i dziedzictwa architektonicznego; zniszczenie siedlisk gatunków zagrożonych, takich jak wilk iberyjski lub omułek rzeczny, stworzenie krateru głębokiego na setki metrów w skale, której nigdy nie będzie można odbudować". Minister środowiska João Pedro Matos Fernandes zapewniał, że „w Portugalii na razie nie ma poszukiwań litu", stwierdzając jednocześnie, że „istnieją umowy koncesyjne na poszukiwanie litu, w których zapisane jest, że należy wcześniej ocenić oddziaływanie na środowisko takich projektów jak kopalnia Barroso w Boticas i Romano w Montalegre".

Poszukiwania litu mają się rozpocząć po dokładnych badaniach środowiska. Niemniej jednak, jak zauważają media, już istnieją plany wydobycia w Boticas. Koncern Savannah Resources zaś pod koniec stycznia 2020 r. ma przedstawić badania wpływu na środowisko, a także szczegółowy plan budowy kopalni i wydobycia litu. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, firma rozpocznie wydobycie pod koniec przyszłego roku.

Burmistrz Montalegre Orlando Alves, jak sam zaznacza, staje „po stronie ludzi" i rozumie ich obawy, ale deklaruje, że jako burmistrz jest „za projektami, które przynoszą bogactwo, pracę i rozwój. Obecne niszowe rolnictwo nie wystarczy, aby powstrzymać wyludnienie. Czy nam się to podoba, czy nie, region potrzebuje przemysłu, który przyciągnie tu ludzi". Pytanie, czy zapewnienia rządzących i burmistrza przekonają mieszkańców. ■

FOT. BEWPHOTO

eprasa.pl 3df9b58589

Witold Modzelewski

Niegroźni podjudzacze

Nikt nie słucha naszego gadania o rosyjskim zagrożeniu, groźbie wojny hybrydowej czy zielonych ludzikach

Myśląc o polityce wschodniej prowadzonej przez wszystkie polskie rządy minionego 30-lecia (liberalno-lewicowe, liberalne i prawicowe), należy wskazać co najmniej trzy rodzaje naszej aktywności międzynarodowej: narrację, stosunki gospodarcze i geopolitykę. Ów wschód jako przestrzeń polityczną rozumiem w sposób tradycyjny, czyli jako wschodnią część Europy, którą (przede wszystkim) wypełniają Rosja, państwa pozostałe po rozwiązaniu w 1991 r. Związku Radzieckiego i południowoeuropejskie państwa należące w przeszłości do obozu socjalistycznego. Sądzę, że w tej przestrzeni mieści się na północy Finlandia, a na południu Turcja, ale nawet wyznawcy naszej postmocarstwowości jako „strategicznego sojusznika Stanów Zjednoczonych" nie sięgają wyobraźnią tak daleko.

Przez prawie 15 lat wspieraliśmy majdanową Ukrainę, gromiliśmy rosyjską agresję, ale nie zabolało nas pominięcie w rokowaniach mających zakończyć ten konflikt.

Zacznijmy od języka (narracji), którym posługuje się polska polityka wschodnia tego okresu. Jest to wrogi, podniecony język, wypełniony ostrzeżeniami przed rosyjską agresją. Nie ma w nim nic, co zasługiwałoby na miano tradycyjnie pojmowanej polityki w realiach międzynarodowych. Nie wiadomo również, do kogo adresowane są oświadczenia o rosyjskim zagrożeniu, groźbie wojny hybrydowej, zielonych ludzikach i agresywnych zamiarach Putina. Mam wrażenie, że wszystkie te słowa służą tylko temu, aby je wypowiedzieć, nie wiemy, jaki mają wywołać skutek. Chyba jest on zupełnie nieważny – nie oczekujemy reakcji, akceptacji ani nawet polemiki. Powiedzieliśmy swoje i już. Przyjęliśmy rolę osamotnionej Kasandry, której zupełnie nie obchodzi, czy ktoś słucha jej głosu.

Jeżeli dobrze rozumiem wizję nieszczęść, które czekają ten region świata, to namalowano ją w sposób następujący:

- Rosja po „agresji na Gruzję, aneksji Krymu i wschodniej Ukrainy" nie zatrzyma się w swoich apetytach, zagrażając (czym – kolejną aneksją?) państwom bałtyckim, a nawet Polsce;
- my „nie oddamy ani guzika", musimy się zbroić, kupując od Stanów Zjednoczonych drogie uzbrojenie, a przede wszystkim umacniać wschodnią flankę NATO (przeciw Rosji);
- sami nie umiemy się obronić (dlaczego?), więc konieczne jest wprowadzenie na nasze terytorium obcych wojsk; zabiegamy usilnie o stałą obecność wojsk NATO, najlepiej amerykańskich i brytyjskich, a nawet niemieckich, choć one już są obecne na naszych poligonach i trwale stacjonują na terytorium państw bałtyckich, co u większości Polaków rodzi raczej złe skojarzenia;
- naszą rolą jest mobilizowanie światowej opinii publicznej przeciwko „rosyjskiemu zagrożeniu", nieustawanie w wysiłkach (słownych) i apelowanie (bezskuteczne) o antyrosyjską solidarność państw regionu.

To, czy ktoś bierze na poważnie nasze podniosłe słowa, nie ma dla nas żadnego znaczenia, bo jednocześnie nie chcemy się wplątać w żaden realnie istniejący spór. Przez prawie 15 lat wspieraliśmy słownie majdanową Ukrainę, gromiliśmy, też słownie, rosyjską agresję, ale nie zabolało nas całkowite pominięcie przy stole rokowań mających zakończyć ten konflikt. Nikt nas tam nie chce, bo nikt nie słucha naszej politycznej narracji. Sądzę, że wszyscy adresaci tego gadania traktują nas jako niegroźnych podjudzaczy, którzy w razie czego podkulą ogon i zostawią partnerów na lodzie. Zresztą co mielibyśmy zrobić w ich interesie? Nie mamy ani środków, ani chęci, czyli tu jesteśmy zaskakująco racjonalni.

Zapominamy też, że w świadomości politycznej nowych państw powstałych na wschód i północ od naszej wschodniej granicy jesteśmy byłym agresorem (podobnie jak Rosja i Związek Radziecki), którego poparcie dla ich niepodległościowych ambicji brzmi zupełnie niewiarygodnie. Ciągle jesteśmy podejrzewani o chęć powrotu na „ich" terytorium oraz zgłaszanie roszczeń terytorialnych i majątkowych (walka o Kresy Wschodnie). Z perspektywy Wilna czy Kijowa nasze bezwarunkowe wsparcie dla niepodległości tych państw jest czymś wręcz podejrzanym, bo są to państwa ze swej istoty antypolskie i przecież nikt o zdrowych zmysłach nie może w Polsce popierać ich aspiracji. Największe obawy budzi powtórka pokoju ryskiego, czyli podział między Polskę a Rosję stref wpływów na tym terenie. Państwa te nie chcą mieć z Polską nic wspólnego i obawiają się dogadania Warszawy z Moskwą ponad ich głowami. Inaczej mówiąc, jak słusznie zauważyli polscy politycy przed 100 laty, tylko bolszewicy mogą najwięcej nam dać na wschodzie, bo wszystkie nowoniepodległe państwa są równie antypolskie, co antyrosyjskie.

Inicjatorem Trójmorza są Stany Zjednoczone, które chcą osiągnąć cele strategiczne.

Nie istnieje chyba również żadna koncepcja polityki gospodarczej naszego kraju w stosunku do państw tego regionu. Wiemy tylko, że:

- mamy się uniezależnić od dostaw gazu z Rosji (ale już nie od dostaw ropy naftowej);
- ma powstać Via Carpatia, która połączy bałtyckie porty Litwy i Łotwy z południowo-wschodnią Europą, czyli kosztem naszych bałtyckich interesów (jakiś nonsens);

eprasa.pl 3df9b58589

Niemcy są zbyt silne, przez co mobilizują Paryż do dialogu z Moskwą. Nz. kanclerz Angela Merkel, prezydent Emmanuel Macron, prezydent Władimir Putin.

• konsekwentnie likwidujemy obecność naszych towarów i firm na rynku rosyjskim poprzez nakładanie na naszych eksporterów sankcji wywozowych;

• poparcie polityczne dla pomajdanowej Ukrainy idzie w parze z utratą ukraińskich rynków;

• tolerujemy, a nawet wspieramy, import rosyjskiego węgla.

Nic nie wiadomo o wspieraniu rozwoju handlu między Polską a innymi państwami regionu, zwłaszcza wzajemnym wspieraniu inwestycji czy ograniczeniu przemytu. Jedyną znaną formą integracji jest rozwój fikcyjnego handlu z Litwą, Łotwą, Słowacją i Czechami, mającego na celu wyłudzanie zwrotów VAT, co jest najbardziej opłacalną działalnością, z którą nie może konkurować tradycyjny handel. Wciąż nie stanowimy dostatecznie chłonnego rynku zbytu dla towarów pochodzących z ościennych państw, tamtejszy biznes (podobnie jak polski) jest zbyt słaby, aby rozwijać się poprzez eksport na nasz rynek. Jest to nadal rynek zbyt biedny i podzielony między zachodnie sieci handlowe. Czy umiemy wymienić choćby po pięć produktów wytworzonych w każdym z sąsiednich państw, które na trwałe zaliczają się do koszyka dóbr polskich konsumentów?

Na koniec o wschodniej geopolityce naszych niepodległych rządów. Liberałowie i lewica podporządkowali nas polityce niemieckiej. Później pojawiła się koncepcja Trójmorza, czyli jakiegoś regionalnego związku państw wschodniobałtyckich, zachodnioczarnomorskich i wschodniego Adriatyku. Do tej grupy mają się zaliczać także Słowacja, Węgry, a może nawet Austria. Czy jest tam miejsce również dla Ukrainy i Finlandii? Nie wiadomo. Znawcy polityki amerykańskiej twierdzą, że protektorem i inicjatorem Trójmorza są Stany Zjednoczone, które chcą osiągnąć dwa cele strategiczne:

• oddzielić Niemcy od Rosji nowym „kordonem sanitarnym", osłabić Unię Europejską, uniemożliwiając jej rozwój poprzez integrację ekonomiczną z rynkiem rosyjskim;

• zablokować utworzenie nowego jedwabnego szlaku, który miałby się zakończyć właśnie w tym regionie; tu wrogiem są Chiny.

Wydaje się, że plan ten brzmi dość rozsądnie, jeżeli spełnione zostaną trzy warunki brzegowe:

• do Trójmorza nie będzie włączona Ukraina, która jest państwem zbyt dużym i mało obliczalnym, destabilizującym region;

• dla państw regionu, będących w dużej części zapleczem ekonomicznym Niemiec, będzie to próba wyjścia spod tej kurateli i odzyskania niepodległości ekonomicznej (ale na to przecież nikt w Berlinie nie pozwoli);

• rządy w Warszawie nie będą chciały odgrywać roli lidera, bo federacji z Polską nikt nie chce teraz ani nie chciał przed stu laty, czyli musimy się zgodzić na rolę drugoplanową, co jest zgodne z naszym potencjałem, ale zupełnie nie pasuje do naszych ambicji.

Co wręcz zaskakujące, stanowi to jakiś powrót do koncepcji NATO bis, której autorem był… Lech Wałęsa.

Jeżeli coś wyjdzie z tej inicjatywy, szybko wproszą się do niej Niemcy i przekształcą Trójmorze w nową wersję ich Mitteleuropy, czemu przyklaśnie większość europejskich przywódców i tzw. społeczność międzynarodowa.

W ciągu najbliższych lat nastąpi trwałe zbliżenie między Rosją a Francją i Włochami, czyli cichy powrót do polityki równowagi (trzeci wariant ententy) – Niemcy są zbyt silne, przez co mobilizują Paryż do dialogu z Moskwą. My oczywiście nie uczestniczymy w tej grze, zresztą za wysokie progi. Jednocześnie wrogość wobec Rosji połączona z poparciem dla antyrosyjskich władz w Kijowie wyeliminuje nas na lata z aktywnej roli w nowej polityce wschodniej i zachodniej Europy.

W ciągu najbliższych lat nastąpi trwałe zbliżenie między Rosją a Francją i Włochami, czyli cichy powrót do polityki równowagi.

Witold Modzelewski jest prawnikiem, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, znanym specjalistą w dziedzinie prawa podatkowego, zajmuje się też publicystyką ekonomiczną i historyczną, zwłaszcza nt. Rosji i stosunków polsko-rosyjskich. Autor czterotomowego zbioru felietonów „Polska-Rosja"

FOT. EAST NEWS/REUTERS

eprasa.pl 3df9b58589

Bliżej świata 4.0

100-letnia Akademia Górniczo-Hutnicza odchodzi od kształcenia masowego na rzecz elitarnego

Dariusz Łanocha

Kiedy 20 października 1919 r. Józef Piłsudski w auli Collegium Novum UJ uroczyście otwierał Akademię Górniczą w Krakowie, cieszył się, że będzie gdzie uczyć górników wydobywania skarbów ziemi. Nie patrzył w niebo, bo nie podejrzewał, że może tam być coś potrzebnego człowiekowi. A już na pewno się nie spodziewał, że ledwie za 50 lat człowiek postawi stopę na Księżycu.

Jest 17 kwietnia 2019 r. W USA zostaje wystrzelony w kosmos KRAKsat – pierwszy na świecie nanosatelita, w którym do sterowania orientacją wykorzystano ciecz magnetyczną. Satelitę współtworzyli studenci AGH, rozpoczynając eksplorację naukową przestrzeni kosmicznej.

Te dwa wydarzenia symbolizują ewolucję krakowskiej uczelni. Obecnie nosi ona nazwę Akademia Górniczo-Hutnicza i właśnie skończyła 100 lat.

W trójkącie wiedzy

By pojąć skalę zmian, które przeszła, wystarczy porównanie: w pierwszym roku istnienia akademii sześciu profesorów kształciło 80 studentów na dwóch wydziałach. Dziś wydziałów jest 18, wykładowców ponad 2,1 tys., a studentów – 24 tys. Ma także czym się pochwalić – od czterech lat AGH jest uznawana za najlepszą polską uczelnię w rankingu szanghajskim, a w innych najczęściej wyprzedzają ją tylko dwa uniwersytety: Jagielloński i Warszawski.

Życiu akademickiemu towarzyszą łacińskie sentencje. W przypadku AGH dewiza w polskim tłumaczeniu brzmi: „Z pracy powstałam, pracy i nauce służę". Jest traktowana na tyle poważnie, że wieńczy preambułę statutu AGH. – Naszej służbie, pracy i nauce towarzyszy pojęcie trójkąta wiedzy. Dotyczy on kształcenia, badań naukowych i innowacji. Pamiętamy o korzystaniu z możliwości trójkąta wiedzy w naszych relacjach z otoczeniem. Bieżące kontakty z przemysłem, z życiem społecznym oraz gospodarczym regionu i kraju miały dla naszej uczelni i mają fundamentalne znaczenie. Dla współczesnego, nowoczesnego społeczeństwa i jego ekonomii transfer wiedzy i innowacji ze świata nauki do gospodarki jest absolutnie kluczowy – podkreśla prof. Wojciech Łużny, prorektor ds. kształcenia.

Drużyna AGH Racing z bolidem „Grażyna" na zawodach Formula Student Netherlands 2018, 12 lipca 2018 r.

Tej umiejętnej współpracy z otoczeniem nie zaniechano nawet podczas II wojny światowej. Naukowcy z AGH organizowali tajne komplety, w ramach których przekazywali i uzupełniali wiedzę o naukowych i gospodarczych nowinkach i trendach. Znacznie przyśpieszyło to powojenną odbudowę kraju.

AGH ewolucyjnie odchodzi od kształcenia masowego na rzecz elitarnego. Stara się przygotować taką ofertę edukacyjną, która będzie atrakcyjna zwłaszcza dla najlepszych kandydatów. Oznacza to przykładanie większej wagi do uelastycznienia studiowania, fakultatywność, radykalne zwiększenie liczby przedmiotów, które można sobie wybrać. Taka polityka przynosi efekty. – Nasza uczelnia jest jednym z pięciu wiodących polskich uniwersytetów, które dopasowują ofertę naukowo-dydaktyczną do wyzwań XXI w. – dodaje dr hab. Maria Maj. I jako przykład takiej innowacyjnej jednostki edukacyjnej wskazuje Akademickie Centrum Materiałów i Nanotechnologii, centrum badawcze nowego typu. Podobnych na AGH jest wiele.

AGH Solar Boat – łódź zasilaną energią słoneczną zwodowano w Krakowie 13 czerwca 2017 r.

Trzymają się razem

Nie ma dzisiaj w kraju poważnej firmy, instytucji, organizacji, w której nie spotkamy absolwenta AGH. Najczęściej na eksponowanym stanowisku. Ludzie AGH byli i są ministrami, prezydentami miast, prezesami wielkich korporacji, liderują poważnym instytucjom naukowym.

eprasa.pl 3df9b58589

Marka AGH ułatwia znalezienie pracy. Byłoby inaczej, gdyby nie szczególna troska i wypracowany przez uczelnię system wspierania absolwentów. A także rozpoznania aktualnych potrzeb rynku pracy, czym zajmuje się Centrum Karier AGH, powołane w 1999 r. Monitoruje ono rynek pracy, potrzeby przedsiębiorstw, uczestniczy w targach pracy, sugeruje korekty w edukacji. Tu rozumieją, że technologicznie świat rozwija się coraz szybciej, a te uczelnie, które nie nadążają, odpadają z wyścigu na lata, ich absolwenci mają kłopoty ze znalezieniem dobrej i użytecznej społecznie pracy.

Po AGH nie mają. Spośród absolwentów ostatniego rocznika ponad 60% było już zatrudnionych w trakcie studiów, najczęściej w docelowym miejscu. Pozostałych szybko wchłonął rynek, najczęściej upominający się o nich. I już na starcie dobrze zarabiają – znacznie powyżej 5 tys. zł.

Bo wiedza to pieniądz. Konkretny. Nie tylko dla firm, także dla siebie. Znaczna liczba absolwentów AGH to krezusi, zaliczani do ścisłej czołówki menedżerów najlepiej zarabiających w kraju. Z tych, którzy dorobili się majątku powyżej 100 mln, największa grupa to absolwenci akademii. Żadna uczelnia w kraju takich nie wychowała.

Aktualną ich listę otwiera prezes informatycznego giganta, Comarchu, i właściciel klubu Cracovia (piłka nożna, hokej), prof. Janusz Filipiak. Jego życiorys może być traktowany jako wzorzec akademijnej ambicji i przedsiębiorczości. Wsparte olbrzymią, wciąż uzupełnianą wiedzą doprowadziły do tego, że Filipiak tak radykalnie zmienił status, z biedującego w akademiku asystenta na bajecznie bogatego giganta nowoczesnego biznesu.

Od czterech lat AGH jest najlepszą polską uczelnią w rankingu szanghajskim.

Co szczególnie warto podkreślić, prof. Filipiak mimo olbrzymiego majątku nie zapomina o Alma Mater. Przewodniczy radzie uczelni, wspomaga, uczestniczy w spotkaniach towarzyskich, podpowiada, sponsoruje. A przede wszystkim daje pracę najzdolniejszym absolwentom. Większość pracowników jego firm to absolwenci AGH. Podobnie jak prof. Filipiak postępuje wielu innych biznesmenów rodem z AGH. Członkiem rady uczelni jest też Krzysztof Pawiński, właściciel spożywczego giganta – Maspeksu, czy Bogusław Ochab, prezes Zakładów Górniczo-Hutniczych „Bolesław" SA, największego producenta cynku i ołowiu z odzysku w Europie. Oni i wielu im podobnych nie tracą kontaktu z uczelnią, a we własnych firmach zatrudniają ludzi prawie wyłącznie z AGH.

Kultywowanie tradycji jest dla absolwentów normą dorosłego życia. Rokrocznie z okazji Barbórki spotykają się na karczmach piwnych, zawiązują mniej i bardziej formalne grupy. Podczas jednego z takich spotkań zrodził się pomysł założenia uczelnianego browaru w miasteczku studenckim. Czemu nie mielibyśmy wyprodukować naszego firmowego piwa, radować się nim, spopularyzować je, a przy okazji zarobić – pomyśleli. Majętniejsi absolwenci przygotowali pomysł od strony biznesowej, wypuścili na rynek akcje i niebawem będą z radością popijali piwo, którego sobie nawarzą we własnym browarze.

Student, czyli odkrywca

Młody człowiek, który trafi na AGH, może, jak na wielu innych uczelniach, studiować, zdawać egzaminy, imprezować, a potem znaleźć sobie lepiej lub gorzej płatną pracę. I większych ambicji związanych z nauką nie ujawniać. Ten wariant studiowania znacząco traci jednak popularność. Wyzwania świata zewnętrznego są dziś na tyle poważne, że lat studiów nie powinno się marnować na przeciętność.

Studenci prą więc do poszerzania wiedzy. Najlepszym tego potwierdzeniem jest aż 130 kół naukowych. Ich nazwy, zamiary i osiągnięcia mają odzwierciedlać profesjonalizm, rangę i naukową wyjątkowość przedsięwzięć. AGH Space Systems, AGH Racing, AGH Solar Boat, AGH Solar Plane, Projekt Tadżykistan – to tylko niektóre inicjatywy. Dzięki nim skonstruowano wyścigowy bolid elektryczny, samolot solarny, motocykl elektryczny, łódź solarną i samolot bezzałogowy.

Trzeba również wspomnieć o elektrycznej desce surfingowej, wymyślonej od zera w Kole Naukowym AGH Solar Boat. Bezemisyjnej, unoszącej się niczym poduszkowiec nad wodą, nadzwyczaj zwrotnej, bezpiecznej, łączącej możliwości windsurfingu i kitesurfingu. Śmiganie na takim wynalazku po wodzie to radocha, że hej.

Wypada też docenić robota transportowo-dostawczego stworzonego przez studentów w ramach projektu ADR/Aquilo. Odpowiednio zaprogramowany sam się załaduje i rozwiezie gdzie trzeba, optymalną drogą i bezkolizyjnie, ładunek do

FOT. PAWEŁ CEGIELSKI/KSAF, JAKUB PORZYCKI/AGENCJA GAZETA

eprasa.pl 3df9b58589

10 kg. Wynalazków tego typu przybywa. Wszystkie są pionierskie w swoich kategoriach.

Węglowe mity

Jest jubileusz, więc trzeba się chwalić. Jest czym – to fakt bezsporny. Ale także bezsporne jest, że w ciągu 100 lat gospodarka przeszła niejedną rewolucję. Jesteśmy właśnie świadkami kolejnej. Świat walczy o przetrwanie w obliczu klimatycznego zagrożenia, koniecznością jest ograniczenie emisji dwutlenku węgla. Coraz częściej organizowane są międzynarodowe konferencje (ostatnia w Madrycie) dotyczące działań proekologicznych. Najważniejsze wnioski z nich płynące związane są z koniecznością ograniczania wydobycia węgla kamiennego i minimalizowania szkodliwości hutnictwa. Czy to oznacza, że AGH, uczelnia przecież górniczo-hutnicza z nazwy, rychło zacznie wygaszać swój potencjał? Absolutnie nie, choć pewne tendencje już widać. Dziś studenci kierunków górniczych i hutniczych stanowią do 15% uczących się. – Owszem, ich liczba spadła, ale to nie oznacza, że nie są gospodarce potrzebni. Z rynku docierają do nas informacje, że nadal potrzeba kilku tysięcy absolwentów z tych branż. Przecież górnictwo to nie tylko węgiel kamienny, lecz także wiele minerałów i surowców wydobywanych spod ziemi – tłumaczy rektor AGH, prof. Tadeusz Słomka.

Przy okazji warto obalić mit o węglu jako wyłącznie trucicielu. Naukowo, wszechstronnie rozpoznany węgiel okazuje się pierwiastkiem chemicznym o niesamowitych, unikatowych właściwościach, służącym nauce w tworzeniu supernowoczesnych i ekologicznych technologii. Choćby grafen, pianka węglowa, nanorurki, nanowłókna czy syntetyczne neurony – pozwalają współtworzyć nowe źródła energii czy nowinki cybernetyczne.

Rektor nie zniechęca do studiowania „historycznych" kierunków, choć dobrze wie, że nie one stanowią o obecnej potędze uczelni. A które? – Oczywiście IT! Informatyka, telekomunikacja, elektronika, automatyka, mechatronika, cybernetyka – to dziś nasze najbardziej perspektywiczne kierunki. I rzecz jasna informatyka społeczna. Bo nowoczesnym inżynierom potrzebny jest kontakt z humanistami. To zawsze wzbogaca nowoczesne traktowanie nauki – dodaje rektor.

Dlatego, co wielu pewnie zdziwi, jedną ze smakowitszych wisienek na uczelnianym torcie jest Wydział Humanistyczny. Może się wydawać zbędny w mieście uniwersytetów – Jagiellońskiego, Pedagogicznego i Ekonomicznego. Tymczasem na uczelni technicznej humaniści, reprezentanci nauk społecznych, odnieśli sukces i zyskali popularność, gdyż humanistykę unowocześniają poprzez informatykę społeczną. Reprezentując techniczno-cyfrowe podejście i wiedzę, łatwiej znajdują pracę choćby w agencjach reklamowych, sondażowniach, instytucjach kultury, placówkach badawczych. Tę humanistyczno-techniczną interdyscyplinarność AGH szczególnie traktował i promował prof. Ryszard Tadeusiewicz, rektor w latach 1998-2005.

> Nie ma dzisiaj w kraju poważnej firmy, instytucji, organizacji, w której nie spotkamy absolwenta AGH.

W świecie wielkich liczb

Jubilat nie spoczywa na laurach. AGH jest w elitarnej grupie uczelni badawczych, które w latach 2020-2026 będą otrzymywać zwiększoną o 10% subwencję budżetową na podniesienie poziomu badań naukowych i jakości kształcenia. Na 100-lecie przygotowano Strategiczny Program Rozwoju AGH, który spodobał się premierowi. Zyskał uznanie tym bardziej, że uczelnia, proponując go, do zaplanowanych 250 mln zł z budżetu państwa zamierza dołożyć 90 mln przez siebie wypracowanych środków. Z tych pieniędzy mają powstać nowe gmachy Wydziału Fizyki i Informatyki Stosowanej oraz Wydziału Humanistycznego. Na kampusie powstałaby też nowa hala sportowa.

Życie AGH toczy się na ogół w świecie wielkich liczb, odkryć, inwestycji, sporych pieniędzy. Dwa lata temu budżet uczelni przekroczył 1 mld zł. „Forbes" uznał ją wówczas za najszybciej rozwijającą się polską firmę w przedziale od 0,5 mld zł. Owszem, subwencja budżetowa jest spora, ale warto wiedzieć, że ok. 40% budżetu uczelni stanowią pieniądze pozyskane z grantów, gospodarki i własnych przedsięwzięć. Szczęściu w rozwoju sprzyja na pewno fakt, że AGH dysponuje własnym terenem, prawie w centrum Krakowa, gdzie może się rozbudowywać i unowocześniać. W przeciwieństwie choćby do UJ, który swój nowoczesny kampus musiał stawiać na obrzeżach miasta, akademia prawie w centrum mogła wybudować siedzibę Cyfronetu AGH. A to firma blisko związana z uczelnią – symbol nowoczesnych technologii, dysponująca największym polskim komputerem Prometheus.

Młodzi chcą szybciej

W 100-letniej beczce jubileuszowego miodu jest jednak łyżeczka dziegciu. Świeżo upieczona pani doktor z Wydziału Górnictwa wymienia ułomności Jubilatki. – Mimo osiągnięć na mojej uczelni daje się zauważyć stagnację pokoleniową. Starsza, doświadczona kadra trzyma się mocno i niechętnie odpuszcza zajęte rejony. Tym ludziom brakuje innowacyjności w nauczaniu, idą utartymi szlakami edukacji, mimo oficjalnych deklaracji nie promują nowych trendów. Aż się prosi o uruchamianie nowych międzywydziałowych kierunków, które pełniej wprowadzą AGH w świat rewolucji przemysłowej 4.0. Lekceważone górnictwo, hutnictwo czy odlewnictwo nie muszą technologicznie umierać. Trzeba i można je kojarzyć z nowinkami cybernauki. Takim szlakiem chcą podążać młodzi doktoranci, lecz drogę (konkretnie etaty) blokują reprezentanci pokoleniowej stagnacji.

Spostrzeżenia te potwierdzają dostrzegalną na szczęście wszędzie ambicję jeszcze szybszych zmian. Z pewnością nastąpią one już w 2020 r., kiedy dojdzie do wyboru nowych władz i zapowiadanej reformy wydziałów. Mają sprawić, by AGH w świecie przemysłu 4.0, który oznacza m.in. jeszcze pełniejszą integrację ludzi i maszyn, automatyzację i rozwój internetu, uczestniczyła na pełnoprawnych warunkach.

Dariusz Łanocha

eprasa.pl 3df9b58589

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Czego się czepiam Szymona Hołowni?

Szymon Hołownia, biały, heteroseksualny, inteligentny, obyty medialnie, żonaty, ojciec córeczki, praktykujący katolik, przez kilkanaście lat występujący w programie „Mam talent!", oznajmił, że chce robotę prezydenta. „To praca na dziesięć lat", wyznał. Ruszyły wywiady, konferencja z ogłoszeniem woli służby państwu w roli głowy tegoż przyćmiła w mediach mowę noblowską Olgi Tokarczuk. Szymon Hołownia ma ponad 35 lat i pełnię praw obywatelskich – polskie prawo właśnie takim osobom pozwala kandydować na urząd prezydenta. Wystarczy jeszcze zebrać 100 tys. wspierających kandydaturę określony czas – 10 lat. Szymon Hołownia jest zadaniowcem. Kiedy jako chłopiec był świadkiem wypadku – natychmiast poszedł na kurs pierwszej pomocy; kiedy zapragnął pomagać w Afryce – doprowadził do założenia fundacji („Sam byłem za krótki"). Źle się dzieje w państwie polskim, w Europie, na świecie – ja pomogę, na kłopoty Hołownia, chcieć to móc i jakże marksowskie: trzeba nie tylko obserwować i opisywać (napisał 20 książek), ale również zmieniać świat. I przy okazji przyjaźnie, tak by nie zrobić „krzywdy" Kościołowi, oddzielić go od państwa. To ostatnie wszakże nie musi dziwić u kogoś, kto dwukrotnie próbował tu, drugi tam, dużo jeżdżenia po Polsce, rozmów ze zwykłymi Polakami, stabilność finansowa i rodzinna (żona – oficerka, pilotka migów), ogólna pewność siebie jako produktu na politycznym rynku. Bardzo chce – to fakt i na plus. Ale to za mało. Szymon Hołownia szykuje się do startu nieprzygotowany, bez doświadczenia, bez politycznego kręgosłupa, z niejasnym zapleczem politycznym (wspomina oględnie o kard. Krajewskim, papieskim jałmużniku) i finansowym (nic od Dominiki Kulczyk, ale wie doskonale, że 4,9 tys. zł może wpłacić niespokrewniona osoba, a 33 tys. można na komitet wyborczy).

podpisów i Państwowa Komisja Wyborcza wydrukuje nazwisko Szymona obok nazwisk innych kandydatów i być może kandydatek. Co tu się krzywić, marudzić? Dlaczego od razu krytykować?

Postaram się zebrać swoje ale w zrozumiały pakiet. Bo należę do krytyków tego pomysłu, tej inicjatywy, tej kandydatury.

Przede wszystkim uważam za patologię polskiej polityki jej odwracanie się od polityczności. „A teraz kandydat bezpartyjny, ponad politycznymi podziałami", „Nie mównica, ale stół do rozmów", „Niech nas łączy, nie dzieli", „Mamy dość partyjności", „System jest dobry, tylko niewykorzystany". Wsparcie, zaplecze, infrastruktura – zostawmy poglądy na razie z boku – były jak dotąd niezbędne do wygrania każdych wyborów prezydenckich w Polsce. Nie bardzo wiadomo, dlaczego nagle – poza mglistym przywoływaniem tajemniczych badań, które kandydat na kandydata wykonał za własne (na razie za inne nie może) pieniądze – bez tego wszystkiego miałoby w Polsce udać się coś, co zwykle się nie udaje. Cud nad Wisłą? Wszak kandydat, choć nie po toruńskiemu, to jednak wierzący. Bo na Ukrainie Zełenski? We Włoszech Beppe Grillo? A w USA Trump? Może to niezbyt porywające tropy?

Sam kannkan (kandydat na kandydata) traktuje instytucję prezydenta jak rodzaj wyspecjalizowanego warsztatu rzemieślniczego: jest robota do wykonania, jest zostać dominikaninem. Szczególnie że ma świadomość, że inny wariant nadchodzi: „Otóż jeśli parę lat temu od uczniów słyszałem tylko »Korwin, Korwin, Korwin«, to teraz 80% młodzieży nie chodzi na religię, a agenda jest tak lewicowa, że łeb urywa. Tych ludzi – dodam – jeszcze nie widać w badaniach. W 2023 r. głosować będą po raz pierwszy dzisiejsze 14-latki. Jeśli do tej pory nie przeprowadzimy tego rozdziału, zrobią to oni. Jak nie w 2023, to w 2028. I obawiam się, że wtedy nikt nie będzie zawracał sobie głowy przymiotnikiem »przyjazny«". Tak więc Szymon Hołownia rozdaje swoje przyjazne poglądy: raczej nie dla związków partnerskich, o aborcji pogadajmy, żadnych adopcji dla par jednopłciowych, mniej węgla, szczypta eko, wegetarianizm i owszem. Jest to, niestety, wizja sprawowania urzędu i uprawiania polityki z cyklu każdy jest kowalem swojej drogi do prezydentury i sam zrobi to najlepiej, filozofia chłopkoroztropności. A na dodatek nasz bohater ma 80-procentową rozpoznawalność, dużo badań potwierdzających, że ludzie są zmęczeni tradycyjną polityką, i przekonanie, że Tusk jeszcze może Polsce się przydać, choć z Hołownią, jak zapewnia ten ostatni, się nie spotkał. Agenda problemów i diagnoza jest zbędna.

Sam fakt, że w naszym systemie politycznym prezydent niewiele może, będąc spoza układu politycznego, gdzieś Szymonowi Hołowni umyka. Jeden mały pomysł

Tak, to prawda, że polityka jest spektaklem i politycy bywają produktami. Doskonałym przykładem było wywindowanie Andrzeja Dudy z politycznego niebytu na poziom najważniejszego notariusza dobrej zmiany. Jednak na metaforę „Andrzej Duda – ale z TVN", jak opisała Szymona Hołownię posłanka Lewicy Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, jego poplecznicy bardzo źle reagują. Czyli coś jest na rzeczy...

Szkoda sympatycznego chłopaka o niewątpliwie ponadnormatywnym poczuciu obywatelskości i dobrych chęciach. To wersja optymistyczna.

A pesymistyczna wybrzmi, kiedy się dowiemy, czyj to, oprócz ambicji Szymona Hołowni, pomysł. Tak czy owak wszystko to za mało i nieprzekonujące.

eprasa.pl 3df9b58589

Jak zatrzymać starszego pracownika

Dłuższy urlop, krótszy tydzień pracy, dłuższe przerwy, zgoda na pracę w godzinach nadliczbowych

Paweł Śmigielski

Europa się starzeje, a co za tym idzie, na rynku pracy wzrasta odsetek osób starszych, natomiast systematycznie maleje liczba nowych, młodych pracowników. Obserwując zmiany zachodzące w strukturze wiekowej społeczeństw, dostrzeżono konieczność podjęcia odpowiednich działań, które pozwolą zatrzymać na rynku starszych pracowników i efektywniej wykorzystać ich wiedzę, doświadczenia i umiejętności.

Wśród wielu inicjatyw zmierzających do lepszego wykorzystania zasobów ludzkich należy odnotować zawarte 8 marca 2017 r. porozumienie ramowe europejskich partnerów społecznych dotyczące aktywnego starzenia się i podejścia międzypokoleniowego. Strony porozumienia wskazały konieczność wdrożenia niezbędnych rozwiązań na poziomach krajowym, sektorowym oraz poszczególnych zakładów pracy w celu umożliwienia starszym pracownikom aktywności na rynku pracy i pozostania na nim do osiągnięcia ustanowionego prawem wieku emerytalnego oraz ułatwienia zmiany międzypokoleniowej. Zdaniem jego sygnatariuszy ogólne ramy działania mają na celu:

Tydzień pracy powinien zostać skrócony do 38, a potem do 35 godzin.

- podniesienie świadomości i zrozumienie wyzwań i możliwości wynikających ze zmian demograficznych wśród pracodawców, pracowników i ich przedstawicieli,
- zapewnienie pracodawcom, pracownikom i ich przedstawicielom na każdym szczeblu praktycznych sposobów i/lub rozwiązań efektywnego promowania i zarządzania aktywnym starzeniem,
- zagwarantowanie i utrzymanie zdrowego, bezpiecznego i produktywnego środowiska pracy,
- promowanie innowacyjnego podejścia do cyklu życia zawodowego z wydajnymi i dobrej jakości miejscami pracy, które umożliwiają pracownikom pozostanie na rynku pracy do osiągnięcia wieku emerytalnego,
- ułatwienie wymiany, współpracy oraz promowanie konkretnych działań zmierzających do przekazywania wiedzy i doświadczenia między pokoleniami w miejscu pracy.

Działania te powinny umożliwić pracownikom reprezentującym każdą grupę wiekową pozostanie na rynku pracy w zdrowiu i aktywności do osiągnięcia przez nich wieku emerytalnego. A także podnieść kulturę w miejscu pracy tak, aby wszyscy pracownicy, niezależnie od wieku, byli szanowani i doceniani.

Nad wdrożeniem w Polsce zasad tego porozumienia pracuje Zespół problemowy ds. prawa pracy Rady Dialogu Społecznego. Podczas jego obrad przedstawiciele OPZZ zgłosili wiele postulatów, których wprowadzenie – zarówno poprzez zmiany legislacyjne, jak i promowanie w zakładach pracy tzw. dobrych praktyk – umożliwiałoby pracownikom bezpieczną i zdrową pracę do czasu przejścia na emeryturę. Wśród propozycji OPZZ znalazły się zarówno rozwiązania obejmujące wszystkich pracowników, jak i odnoszące się głównie do tych starszych. Dotyczą one m.in.:

- wprowadzenia dłuższych urlopów wypoczynkowych (do 32 dni w roku kalendarzowym), gdyż obecny wymiar nie gwarantuje właściwej regeneracji sił pracownika, nie służy też ochronie jego zdrowia ani przywróceniu mu pełnej zdolności do pracy,
- skrócenia tygodniowego wymiaru czasu pracy z zachowaniem wysokości wynagrodzenia, początkowo do 38, a następnie do 35 godzin tygodniowo,
- wprowadzenia dłuższej lub dodatkowej przerwy wliczanej do czasu pracy,
- zastosowania wymogu uzyskania zgody starszego pracownika na pracę w godzinach nadliczbowych ze względu na szczególne potrzeby pracodawcy oraz na wykonywanie pracy w porze nocnej.

W systemie prawa pracy powinna także znaleźć się umowa mentorska, której celem byłoby nagradzanie starszych pracowników za przekazywanie wiedzy, doświadczenia oraz umiejętności młodszym pracownikom. Ponadto zdaniem OPZZ należy wprowadzić rozwiązania, które ułatwią zatrudnianie starszych osób poprzez:

- zwolnienie pracodawcy ze składek od tych osób na rzecz Funduszu Pracy i Funduszu Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych,
- możliwość uzyskiwania zwrotu kosztów szkoleń lub ich części, na które wysyłani byliby starsi pracownicy w celu przekwalifikowania się lub poszerzenia umiejętności (generalnie dostęp do szkoleń to kluczowy czynnik mający pomóc pracownikom rozwijać ich umiejętności w ciągu całej kariery zawodowej),

Pracownik miałby prawo do 32-dniowego urlopu.

- możliwość dofinansowania inwestycji i udogodnień w zakładzie pracy służących starszym pracownikom.

Należy również wdrożyć działania prewencyjne w celu wspierania dbałości o zdrowie i bezpieczeństwo w miejscu pracy poprzez dostosowanie procesów i stanowisk pracy, zmianę rozkładu i przydziału zadań pracowniczych oraz szerzenie wśród wszystkich pracowników wiedzy na temat zasad zdrowia i bezpieczeństwa.

Porozumienie dotyczące aktywnego starzenia się i podejścia międzypokoleniowego powinno zostać wdrożone przez krajowych partnerów społecznych najpóźniej do 7 marca 2020 r.

Paweł Śmigielski jest dyrektorem wydziału prawno-interwencyjnego OPZZ

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 3df9b58589

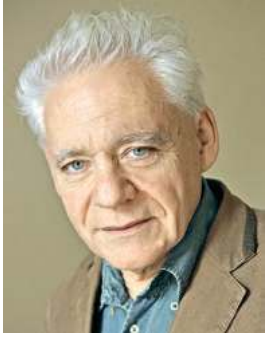

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Nie tylko moja czułość

Debata kandydatów PO, Kidawy-Błońskiej i Jaśkowiaka. Potwierdza się niestety to, co pisałem w poprzednich felietonach – nie ma w nich ognia, średnie umiejętności oratorskie, brak wizji, języka, siły przekonywania. Rządowa telewizja oczywiście tego nie pokazała, nie wiedziała, że tak kiepsko wypadną, bała się, że zdemoralizują elektorat. Czy Kidawę-Błońską można by w trybie ekspresowym jakoś podszkolić, wytrenować, tchnąć w nią energię? Wydaje mi się, że nie. Jest, jaka jest, sympatyczna, kulturalna pani.

•

W Caffè Nero na placu Unii, spotkanie z Wojtkiem, synem dozorców z mojego rodzinnego domu na Iwickiej. Ma 78 lat, ale zdrowo i krzepko wygląda. Ciekawe, jak z wiekiem nasze twarze zaczynają się upodabniać do twarzy rodziców. Na stałe mieszka w Niemczech. Chemik. Wpadł na pomysł, jak z elektroniki pozyskiwać metale szlachetne, dobrze z tego żyje. Dużo podróżuje, interesuje się historią. A jego rodzice byli bardzo prostymi ludźmi, ojciec ze wsi, z zawodu kowal. Pierwsze książki, jakie Wojtek przeczytał, to Trylogia, pożyczał mu ją mój ojciec. Tak Wojtek odkrył świat książki. Mówi: „Mam świadomość awansu społecznego". Jego córka już słabo mówi po polsku, jest prawnikiem bankowym, mąż chirurg, świetnie zarabiają, ale pracują od rana do nocy. „Czy tak warto?", pyta. „Mam takie poglądy polityczne jak ty", mówi, by nie było wątpliwości, że krążymy na tej samej orbicie. Porusza mnie, jak szybko wspinają się w górę kolejne pokolenia. I jak wielu cennych ludzi zabrała nam emigracja.

•

Od kilku lat opiekuję się na odległość malarzem Piotrem Krosnym, też emigrant, mieszka w Sztokholmie. Wybitny malarz, kiedyś dostrzegany i nagradzany, zanikł na szwedzkim rynku, nie ma wystaw, nie sprzedaje obrazów, nie radzi sobie, ledwie żyje z zasiłku. Ściągnąłem trochę jego obrazów do Polski, znajomy galernik próbuje je sprzedawać. Ale to wszystko niepewne. Piotr od dawna nie ma czym malować, nie stać go na farby. Czasami cierpi na napady lęku, wpada w czarne dziury, ale pracuje jak szalony. Tylko towarzyszy mu strach, że gdy umrze, setki obrazów, które zalegają w jego mieszkaniu, pójdą do kontenera na śmieci. Nagle dowiaduję się, że ma wystawę w renomowanej sztokholmskiej galerii. Nie do wiary. Stało się to nieoczekiwanie. Pytam, jak było na wernisażu. Nie poszedł. Łapię się za głowę: „Jak mogłeś nie pójść?!". Mówi, że jakoś nie mógł. Jestem zdruzgotany. Ale czy w tym samobójczym geście nie mieszka też sztuka?

•

Bliskie mi wszystko, co w swoim noblowskim wykładzie mówiła Olga Tokarczuk, o sztuce, o świecie, ale czuję się trochę „ograbiony". Ważny rozdział w wykładzie był o czułości, jak istotna jest w życiu i w sztuce. Od kilkunastu lat o tym obsesyjnie piszę, wydałem tomik wierszy „Tylko czułość idzie do nieba". Uważam, że czułość, a nie miłość, to najważniejsze uczucie. Ale przecież czułość nie jest tylko moją własnością, więc chociaż trochę „ograbiony", cieszę się, że Olga czuje czułość podobnie. Im więcej ludzi czuje czułość, tym lepiej. A najpiękniejszy wiersz o czułości napisał jednak Norwid, mój ulubiony poeta.

Czułość – bywa jak pełny wojen krzyk,
I jak szemrzących źródeł prąd,
I jako wtór pogrzebny…

I jak plecionka długa z włosów blond,
Na której wdowiec nosić zwykł
Zegarek srebrny

Zapewne gdyby nie wolne media, Tokarczuk i jej Nagroda Nobla w ogóle by nie zaistniały w mediach reżimowych. Po stanie wojennym zakazano mówienia o Wałęsie, gdy dostał pokojowego Nobla. Wtedy cała Norwegia była na indeksie – Norwegowie tego Nobla przyznają. Ukarano ich, zakazując grania w radiu utworów Edvarda Griega, norweskiego kompozytora (to nie żart). A tu, proszę, obecna władza chce jednak kupić od Szwedów stare okręty podwodne – miały iść na złom, a my je bierzemy, bo na nowe nas nie stać. Te wolne media okropnie brużdżą PiS. Gdy coś pokażą, tak pełną gębą, jak galę noblowską, to potem tym reżimowym trudno też tego nie pokazać, bo stracą swoją podłą wiarygodność. Dlatego jeśli Duda wygra wybory prezydenckie, PiS rzuci się tym mediom do gardła. Ale także samorządom. To są dwa jeszcze niezależne od PiS byty.

Śpią w nas anioł i szatan, a głowy mają na jednej poduszce.

•

Myślę o PiS, jak mogło do tego dojść, że jeden człowiek zaraził społeczeństwo swoją psychozą. Ale przecież to wszystko było w ludziach, tylko uśpione, bo w nas śpi wszystko, też co złe i co dobre, śpią anioł i szatan, a głowy mają na jednej poduszce.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3df9b58589

Przede wszystkim praca w zespole

Teatr jest dla mnie jak rodzina. To taki dom, baza, do której się wraca

Rozmawia Tomasz Miłkowski

ANNA CIEŚLAK
– aktorka teatralna i filmowa.
Od 2011 r. w zespole Teatru Polskiego im. Arnolda Szyfmana w Warszawie

Rozmawiamy przed premierą „Dziadów" w reżyserii Janusza Wiśniewskiego w warszawskim Teatrze Polskim. To ekscytujące oczekiwanie?

– Bardzo. Od wakacji pracowaliśmy odrębnie nad poszczególnymi sekwencjami, teraz to wszystko Janusz Wiśniewski połączył w całość. To niezwykle ciekawy etap pracy. Praca nad rytmem tak ważnym w spektaklach Wiśniewskiego.

Nie pierwszy raz pracuje pani z Januszem Wiśniewskim.

– Miałam szczęście spotkać się z nim w pracy nad „Kordianem" w Teatrze Słowackiego w Krakowie.

Grała pani wtedy Laurę.

– Tak, w 2006 r. Wtedy stawiałam pierwsze kroki na scenie. Teraz wracam do tamtych doświadczeń i czuję się jak w domu. Zatoczyło się jakieś koło – cieszę się, że tego rodzaju proces tworzenia w teatrze do mnie wrócił.

To znaczy jakiego rodzaju?

– Janusz Wiśniewski po prostu tworzy i ja czuję się twórcą razem z nim. Nie przychodzi poustawiać aktorów jak reżyser, który ma z góry wszystko perfekcyjnie przygotowane. U niego ten proces odbywa się podczas prób. To głównie opowiadanie historii, często jednym słowem, jednym gestem – a do tego potrzeba czasu, żebyśmy wszyscy opowiadali tę samą historię na scenie. I spotkania. To nie są próby stolikowe, ale gęste rozmowy.

Nie zawsze tak bywa?

– Kiedy przyjechałam do Warszawy 11 lat temu i spektaklem „Zagraj to jeszcze raz, Sam" otwieraliśmy Teatr 6. Piętro Michała Żebrowskiego, w którym do dzisiaj gościnnie grywam, wyglądało to inaczej. Wtedy to był kontrakt, tzn. reżyser przychodzi na pięć tygodni, z przygotowanym scenariuszem, aktorzy wychodzą na scenę i układa się wszystkie klocki. Żenia Korin, reżyser „Zagraj to…", wszystko układa jak puzzle. Dopiero potem, w czasie grania, rozszerzamy postacie. U Wiśniewskiego proces rozszerzania postaci dokonuje się w czasie prób. Żeby stworzyła się historia, potrzeba nam „współczujności" i „współbytności". Czyli chodzi nie tylko o to, co mamy do powiedzenia, ale również w stosunku do kogo i po co. Jak u Czechowa: co innego jest w słowach, a co innego dzieje się w napięciu między ludźmi. Żeby to się zdarzyło, musimy oddychać tym samym powietrzem. I to jest długi proces. Dlatego jestem szczęśliwa, że znowu spotykam się z Januszem w pracy. W Krakowie dopiero zaczynałam i nie miałam pojęcia, co to znaczy teatr. Teraz, po prawie 20 latach (statystowałam już w roku 2001), wiem już trochę, ale to jeszcze nic, jeśli pamiętać, że Wincenty Grabarczyk czy Henryk Łapiński są już ponad 60 lat na scenie. Dopiero dochodzę do takiego momentu, że zaczynam być świadoma tego, co się dzieje na scenie i czym jest praca w teatrze.

Miała pani szczęście: od początku pracuje pani w zespołach znaczących, w samym centrum życia teatralnego. Najpierw w krakowskim Teatrze Słowackiego, teraz w stołecznym Teatrze Polskim. To panią uskrzydla?

– Uskrzydla. Od moich starszych kolegów mnóstwo się uczę; już w Krakowie od takich mistrzów jak Anna Dymna czy Marian Dziędziel, którzy pozwalali mi wykradać ich doświadczenie.

Co to znaczy wykradać? Można wykraść emocje?

– Z Anną Dymną uczyłyśmy się razem do „Mewy" – ja grałam Ninę Zarieczną – zapytałam: „Jak mam to zagrać?". A ona na to: „Aniu, czyś ty zwariowała? Jesteś dopiero dwa lata na scenie, ja 40, i pytasz mnie, jak to zagrać? Może byś chociaż spróbowała mi to ukraść?". To pewnego rodzaju bezczelność młodości – młody człowiek nie zastanawia się, czy mu

eprasa.pl 3df9b58589

coś wypada, czy nie. Wciąż zadawałam te pytania: po co, dlaczego, nie rozumiem, chcę wiedzieć. Starsi koledzy patrzyli wtedy na mnie i tak się uśmiechali wyrozumiale. Teraz jestem już w środku. Kiedy moi młodsi koledzy zadają podobne pytania, też się uśmiecham w odpowiedzi. Już wiem, że nie wszystko da się zrobić od razu, że trzeba się uzbroić w cierpliwość. Jak pisał Stanisławski, kot śpi, ale wystarczy jeden odgłos i zrywa się na równe nogi. Konieczna jest nieustająca czujność i współczujność. To dla mnie niezwykle pociągające, właśnie dlatego zdecydowałam się na teatr.

A przecież błyskotliwie debiutowała pani w kinie. To był wybuch po premierze „Masz na imię Justine". Można było przypuszczać, że bardziej wciągnie panią kino, a nie teatr.

– Po debiucie w tym filmie, w którym zagrałam dziewczynę uprowadzoną na handel, proponowano mi role za granicą, ale ja zawsze chciałam grać po polsku. Gościnnie mogę coś zrobić za granicą, ale zawsze bardzo silne było we mnie poczucie, że chcę opowiadać historie moim przyjaciołom, w moim języku.

Ma pani na myśli jakiś typ opowieści?

– Chcę opowiadać o kobiecie.

Co to znaczy dzisiaj być kobietą?

– Chciałabym być na scenie kobietą mądrą, mocną i godną jak bohaterka „Wiernej rzeki" Żeromskiego, świadomą, choć niekoniecznie krzyczącą emancypantką. Chciałabym, żeby ta moja kobieta była wrażliwa i czujna na spotkanie z drugim człowiekiem, z partnerem. Taką kobietą była dla mnie moja babcia, zawsze niezwykle sprawiedliwa. Kiedy przyjeżdżaliśmy do niej na święta, każdy miał jednakową porcję przy stole, prezenty były jednakowej wartości, każdy czuł się tak samo wyjątkowo potrzebny. To dawało poczucie ciepła i bezpieczeństwa. Teatr jest dla mnie jak rodzina. To taki dom, baza, do której się wraca. Bo film się kończy i ekipa ludzi, którzy pracowali ze sobą kilka tygodni, rozjeżdża się w różne strony i może nigdy więcej się nie zobaczyć. A ja mam zespół i czuję, że zespół Teatru Polskiego jest najbardziej oddanym zespołem, jaki udało mi się spotkać. Myślę, że to wynik pracy w wieloletniej dyscyplinie, którą wprowadził Andrzej Seweryn. Trzeba mieć pewne predyspozycje do tego, żeby być w zespole i opowiadać historie. Razem.

Takie przeświadczenie wyniosła pani z krakowskiej PWST?

– Niewątpliwie myślenie na temat zawodu ukształtowała we mnie krakowska szkoła teatralna. W Krakowie mój dziekan Krzysztof Jędrysek i rektor Jacek Popiel wpajali nam zasadę, że jeśli dostajesz się do szkoły teatralnej, to na pierwszym i drugim roku jeszcze nie grasz, bo już reprezentujesz szkołę teatralną, a jeszcze niewiele potrafisz. Inaczej niż osobie, która przychodzi z ulicy, staje przed kamerą i jest naturalna, zostaje ci wszczepiona jakaś wiedza tajemna. To jest impostacja, dykcja, pantomima, szermierka – to wszystko razem daje ci umiejętności i zyskujesz stabilność bycia na scenie. Jesteś spokojny i mocny. Szkoła daje wszystkie instrumenty, jeśli tylko chce się z tego skorzystać. Pamiętam, że na trzecim roku koledzy z Warszawskiej Akademii Teatralnej (studiowali wtedy Maciej Zakościelny i Magda Różczka) już dużo grali, dużo szybciej wchodzili w zawód i tworzyli silne indywidualności. Nas uczono tworzenia zespołu i opowiadania historii. To były wówczas dwa różne systemy kształcenia. Teraz to się zmienia, ale w Krakowie wciąż obowiązuje zasada, że studenci, nim zaistnieją na scenie czy na ekranie, muszą najpierw nauczyć się pracy w zespole.

Młody człowiek nie zastanawia się, czy mu coś wypada, czy nie.

To wyobraźnia pozwala stwarzać postacie, które są czymś więcej niż ja.

O czym opowiadacie w „Dziadach"?

– Janusz Wiśniewski, Emil Wesołowski (choreografia) i Jerzy Satanowski (muzyka) tworzą historię, razem budują organizm. Janusz jako reżyser dba o to, aby aktor był cały czas w prawdzie postaci. Z Emilem pracujemy nad tym, aby ciało i ruch postaci były wiarygodne, a Jerzy Satanowski dźwiękiem pomaga nam odważyć się w stwarzaniu postaci. „Dziady" to konfrontacja ciemnej i jasnej strony człowieka, nieustająca walka z sobą samym, zderzenie z drugim człowiekiem. To arcydzieło, jedno z największych. Piękne, jasne w przekazie. Mickiewicz. Gdybym nie przeszła przez szkołę Lassalle'a, gdybym nie grała Moliera i Szekspira, nie wiedziałabym, co to jest uniwersalność historii, że ludzie się nie zmieniają, ale zmieniają się okoliczności. Człowiek zawsze tęsknił, chciał kochać, zawsze cierpiał. Czy i jak zmienia się kondycja współczesnego człowieka? Po to opowiadamy „Dziady".

Sporo już klasyki za panią, a rzecz ciekawa, że zdążyła pani dwukrotnie być Reganą z „Króla Leara", u Jacques'a Lassalle'a w Teatrze Polskim i Krzysztofa Jasińskiego w Teatrze STU.

– I to w dwóch różnych tłumaczeniach. W Warszawie graliśmy w tłumaczeniu Kamińskiego, a w Krakowie – Sity i Słomczyńskiego. Mało tego, grałam te dwie Regany w tym samym czasie.

Nie myliły się pani?

– Zdarzyło mi się je pomieszać. Kiedy Regana odpowiada ojcu na pytanie: „Jak bardzo mnie kochasz?", w spektaklu warszawskim miałam mówić: „Z tego samego kruszcu co i siostra, tyle co ona jestem warta", a w Krakowie: „Zechciej mnie cenić na równi z mą siostrą, gdyż nas z jednego kruszcu". Niby to samo, ale troszeczkę inaczej. Aktorzy wchodzą potem ze swoimi kwestiami, bo znają końcówkę mojej roli. I zdarzyło mi się „odpalić" warszawską Reganę w Krakowie. Miny Darka Gnatowskiego, który grał Kenta, nie zapomnę do końca życia: wielkie, okrągłe oczy, rozdziawiona buzia, uszy nastawione jak radary… Miałam wrażenie, że te uszy mu rosną, bo nie wiedział, kiedy ma wejść. Zdarzyło mi się też w Warszawie wejść Reganą krakowską, partnerując Andrzejowi Sewerynowi jako ojcu. Darek cierpliwie czekał, jak skończę, i wszedł ze swoją kwestią. Andrzej Seweryn przerwał mi jeszcze w trakcie, orientując się, że mówię nie tym tekstem, co trzeba. I jak wszedł, nie było co zbierać. Był naprawdę okrutnym ojcem.

Była pani bliska ugotowania?

– Byłam przerażona. Najgorsze jest to, co się wtedy przetacza w mózgu aktora. Poznaję, że to nie to, wiem, że nie mogę wrócić, bo za-

eprasa.pl 3df9b58589

burzę rytm. Muszę myśleć o tym, co mówię, a wiem, że mówię nie to, co trzeba, choć mówię z sensem, więc lepiej, żebym mówiła pomylonym tekstem, bo liczy się przekaz, który już trwa. To, co się wówczas działo w mojej głowie, mogłoby być tematem psychodramy. Tym bardziej że w Krakowie grałam w Teatrze STU na scenie, gdzie aktor jest jak na talerzu, otoczony ze wszystkich stron przez publiczność. Podobną scenę otworzył teraz Teatr Kwadrat, w którym gram gościnnie w sztuce „Tydzień, nie dłużej" Clémenta Michela – widzowie siedzą po dwóch stronach, ma się poczucie, że widz współtworzy spektakl.

Czy taka bliskość z widzem nie rodzi pokusy, żeby zagrać monodram?

– Żeby wystąpić w monodramie, trzeba być już bardzo świadomym aktorem. Jeszcze nie jestem gotowa. Trzeba poznać przestrzeń teatru, poznać widza, poznać siebie jako aktora – a to wymaga czasu. Na razie buduję swoją tożsamość aktorską. To proces. Dopiero zaczęłam myśleć, dopiero opadły emocje nowicjuszki. Wcześniej to były próby emocjonalne i szukałam prawdy, teraz zaczynam bawić się formą, coraz lepiej opanowuję warsztat. Ale czuję, że chyba jeszcze nie mam narzędzi, żeby stworzyć monodram.

Tak czy owak, test bliskości z widzem ma pani już za sobą.

– Krzysztof Jasiński mawia, a warto zauważyć, że to najstarszy stażem dyrektor teatru w Europie, ponad pół wieku nieprzerwanie kierował Teatrem STU, że powodem, dla którego aktor wychodzi na scenę, jest wola. Jak nie masz woli, nie masz po co wychodzić. Niektórzy się śmieją, że to parcie na szkło. Ja mam parcie, żeby wychodzić na scenę i opowiadać ludziom historie. To coś, co sprawia, że mój organizm zaczyna pulsować w innym rytmie. Wszystkie pory skóry otwierają się i jest to jak perpetuum mobile. Patrząc na Andrzeja Seweryna, partnerując mu w wielu przedstawieniach i widząc go w monodramie szekspirowskim, gdzie gra 12 postaci, obserwuję, jak zmieniają mu się rysy twarzy. Takim aktorem jest też Jan Peszek. On się przeistacza. To jeden z moich mistrzów, który tu i teraz stwarza się na scenie.

Z Andrzejem Sewerynem w spektaklu „Deprawator" w Teatrze Polskim w Warszawie.

Andrzej Seweryn to bardzo wymagający partner, który potrafi wiele dać. Mnie to kręci.

Podczas studiów spotykała się pani z wieloma mistrzami.

– Takim mistrzem był dla mnie Krystian Lupa, który podczas prób sprawiał, że budowały się postacie, ich relacje, prawda. Kiedy studiowałam, niezwykłym przeżyciem były dla mnie przedstawienia Teatru Rozmaitości Jarzyny i Warlikowskiego – jak pamiętny Hamlet z Jackiem Poniedziałkiem. Zupełnie coś nowego, jakieś odzieranie z formy.

Liczy się tylko forma?

– Nie, najważniejszą siłą jest opowieść. Dokąd zmierzamy i po co? Co chcemy przekazać? Forma w tym pomaga, temu służy. Kiedy przyjechałam do Warszawy i brałam udział w próbach do premiery w Teatrze 6. Piętro, nie mogłam sobie poradzić, nie nadążałam z tempem komedii, odbiciem piłki na scenie, opanowaniem tekstu. A komedia to partytura muzyczna. To są nuty, wszystko jest napisane. Kiedy to złapałam, najtrudniejsze było już za mną.

Jak zdobywa się doświadczenie?

– Dzięki pracy z najlepszymi – a miałam szczęście, spotykałam na swojej drodze wielkich reżyserów, wybitnych aktorów, a na początku świetnych pedagogów.

Pracowała pani z Krystianem Lupą?

– Robiliśmy pod jego kierunkiem sceny z „Kalkwerka" – ja grałam Konradową. Kompletnie nic nie rozumiałam, miałam 20 lat, wyglądałam jak Bambi, czułam się jak kauczuk rozmazujący się po ścianie. Krystian obejrzał scenę, powiedział, że nie tędy droga. Zapytałam: „A którędy?". Odpowiedział: „Nie wiem. Widocznie nie masz tego jeszcze w sobie". Zrozumiałam, że to wyobraźnia pozwala stwarzać postacie, które są czymś więcej niż ja.

Odnoszę wrażenie, że teraz prawie nikt nie słucha tekstu w teatrze.

– Większość moich kolegów z Teatru Polskiego ma duże doświadczenie radiowe, doświadczenie pracy z mikrofonem. To bardzo pomaga w precyzyjnym podawaniu słowa, szczególnie w utworach klasycznych. Natężenie emocjonalne wypowiadanego słowa pozwala nam słyszeć się wzajemnie, a to sprawia, że przekaz dociera do widowni.

To pani bliskie, by wspomnieć o nagrodach za role radiowe na festiwalu Dwa Teatry.

– Tata, kiedy byłam mała, ograniczał mi oglądanie telewizji, ale miałam nieograniczony dostęp do radia. Radia mogłam słuchać, w telewizji oglądałam tylko określone programy, które nie ogłupiały, m.in. bajki Disneya. Czekałam cały tydzień, żeby je oglądać w niedzielę o dziewiątej. Nie straciłam z nimi kontaktu do dziś; tego samego dnia co „Dziady" w Polskim premierę kinową ma animacja Disneya „Kraina lodu 2", w której użyczam głosu księżniczce Annie. Mikrofon, szczególnie w radiu, obnaża wszystko, liczy się świadomość każdego wypowiadanego słowa. Gdyby nie spotkanie z Romą Bobrowską, która kochała i tworzyła radio

FOT. FOT. WERONIKA KOSIŃSKA, PAWEŁ PORĘCKI

eprasa.pl 3df9b58589

w Krakowie, tak dalece bym w świat radiowy nie weszła. Mam szczęście do ludzi, którzy kochają swój zawód. Najpierw spotkałam Romę, a potem Janusza Kukułę, dyrektora Teatru Polskiego Radia. Uwielbiam radio i mam nadzieję, że teatr radiowy przetrwa. Janusz Kukuła tworzy zespół teatru radiowego. Opiekuje się swoimi aktorami.

Jak w teatrze żywego planu?

– W Krakowie myśmy się sobą opiekowali jako zespół. Bywaliśmy u siebie. Gdy graliśmy „Kordiana", którego reżyserował Janusz Wiśniewski, w obsadzie byli tacy aktorzy jak Marian Cebulski, Halina Gryglaszewska. Dla nich, nestorów, zagranie w spektaklu było wielkim wysiłkiem. Kiedy przychodzili, zawsze były wyznaczane dyżury wśród najmłodszych koleżanek – m.in. ja miałam takie dyżury – które musiały być w teatrze dwie godziny przed spektaklem, po to żeby w bufecie wypić herbatę z panem Cebulskim i posłuchać jego opowieści. To dodawało mu sił do wyjścia na scenę o siódmej wieczorem. To nie było z naszej strony nic niezwykłego. Byliśmy na siebie wrażliwi.

A to zanika?

– Staram się przebywać w takich przestrzeniach, gdzie ludziom zależy na pielęgnowaniu relacji. Można się uważać za demiurga, ale w pewnym momencie każdy potrzebuje wsparcia drugiego człowieka. Cieszę się, że w naszym teatrze od jakiegoś czasu pojawiły się poranki filozoficzne dla dzieci. To przepiękne spotkania, organizowane przez dziewczyny z działu literackiego Teatru Polskiego. Padają tam pytania najważniejsze: co to jest relacja, po co jest przyjaźń, jakie wartości nie podlegają dyskusji? Bardzo ciekawe to rozmowy, a młodzi ludzie udzielają prostych, niezwykle trafnych odpowiedzi. Jak Mały Książę. Dzieci traktowane są u nas poważnie. Andrzej Seweryn nawiązuje do praktyki Komedii Francuskiej – tam na Szekspira dzieci przychodzą już w wieku dziewięciu lat.

Kiedy Andrzej Seweryn obejmował dyrekcję tego teatru, wyglądał na człowieka szczęśliwego, że bierze na siebie taką odpowiedzialność. I chyba mu to nie przeszło?

– Jeśli wydał właśnie książkę „Ja prowadzę!", to najwyraźniej nie przeszło. Najpierw byłam koleżanką na scenie Andrzeja Seweryna w „Szkole żon", a potem wspólnie stwarzaliśmy Teatr Polski; gdy stawał się dyrektorem, byliśmy jego podwładnymi, jego zespołem. I to nie jest kolorowa bajka, laurka. Zdarzały się różne trudne sytuacje, z którymi się zmagaliśmy, zdarzały się decyzje niełatwe, ale były, i były radykalne. Czasem czujemy się jak dzieci Wirgiliusza, prowadzone za rączkę, ale wiemy, że jest to człowiek bezkompromisowy. Nawet jeśli przychodzi na salon poezji, żeby przeczytać jeden wiersz, jest zawsze przygotowany, umie ten wiersz na pamięć. Daje z siebie na scenie 1500%. Ma prawo oczekiwać, że ktoś inny przynajmniej połowę tej normy da z siebie. Bo inaczej to nie ma sensu. To nie jest łatwy partner. To jest partner bardzo wymagający, który potrafi wiele dać. Mnie to kręci.

Tomasz Miłkowski

eprasa.pl 3df9b58589

KURTYNA W GÓRĘ

NIE TACY WSZECHMOCNI

Kolejny spektakl misyjny Kamienicy, tym razem poświęcony zagrożeniom stwarzanym przez internetowy hejt. Rzecz traktuje o sprawcach i ofiarach przemocy internetowej – dziewczynach i chłopcach, którzy nie wytrzymują presji, poddają się i bywa, że skracają swoje cierpienia zamachem samobójczym. Kostrzewski opowiada o tym przekonująco, posługując się prawdziwymi przykładami i portretując młodych ludzi traktujących sieć jako terytorium ich władzy absolutnej. Przedstawienie demaskuje tę władzę, otwierając pole do autorefleksji – dowody na to można znaleźć w… internecie, gdzie pojawiają się sygnały od młodych widzów pozostających pod wrażeniem obejrzanego spektaklu.

Młodzi aktorzy Maria Sobocińska i Marcin Stępniak wspomagani przez Olgę Sarzyńską dobrze sobie radzą w stworzonym na scenie środowisku sieciowym – swego rodzaju perełkę aktorską tworzy Justyna Sieńczyłło (na nagraniu wideo) w przejmującej roli matki młodej samobójczyni.

Tomasz Miłkowski

„Wszechmocni w sieci", scenariusz i reżyseria Wawrzyniec Kostrzewski, współpraca reżyserska Olga Sarzyńska, Teatr Kamienica, prapremiera 7 października 2019

BYLIŚMY

JOANNA D'ARC NA ŻYWO

Ci, którzy w każdej premierze doszukują się odniesień do Polski ostatnich lat, w „Joannie d'Arc na stosie" Arthura Honeggera w reżyserii Moniki Strzępki pewnie je znajdą. Tyle, że przysłonią one przekaz oratorium. Debiutująca w operze Strzępka zrobiła współczesne widowisko teatralne, w którym na scenie dużo się dzieje, niekiedy może za dużo. Wzmocniła przesłanie Honeggera i librecisty Paula Claudela, wyraźnie akcentując rolę tłumu, któremu łatwo (od wieków) wmówić, że niedawna święta powinna spłonąć na stosie za rzekome burzenie porządku, czyli wiary w prawość i dobro – wartości, przeciwko którym tak naprawdę występują ci, którzy stale się na nie powołują. I to wszystko we wszechobecnym świecie mediów, gdzie każde zdarzenie musi zostać pokazane na żywo. Intencje reżyserki podkreślają scenografia (Arek Ślesicki) i kostiumy (Julia Kornacka), szczególnie tłumu odzianego we współczesne, chciałoby się powiedzieć nasze, stroje.

Na uwagę zasługuje jeszcze Marianna Linde, debiutująca w głównej roli. Jej Joanna d'Arc nie jest zagubioną dziewicą, ale stanowczą kobietą, która stara się wykrzyczeć, że Francja i król (a raczej świat) kroczą drogą kłamstwa i niezrozumienia. Jeżeli chodzi o śpiewaków, z powodzeniem wywiązali się z zadania, co widzów upewniało, że są w operze, a nie w Starym Teatrze.

Paweł Dybicz

Arthur Honegger, „Joanna d'Arc na stosie", reżyseria Monika Strzępka, kierownictwo muzyczne Tomasz Tokarczyk, Opera Krakowska, przedstawienie 7 grudnia 2019

ZASŁUCHAJ SIĘ

Marcin Wyrostek & Corazon

Harmonia świąt

Marcin Wyrostek & P.U.CUFAL Muzyczna Ofensywa

Najwyższy czas pomyśleć o muzycznej oprawie świąt. Dla tych, którzy lubią łączyć tradycję z nowoczesnością, zbiór popularnych kolęd i pastorałek nagrany przez Marcina Wyrostka będzie idealny. We współczesnych, urozmaiconych i ciekawych aranżacjach pobrzmiewają często góralskie nastroje, a stosunkowo prosty wokal zachęca do przyłączenia się. Tym bardziej że taki właśnie zamysł towarzyszył powstaniu płyty, jest nawet dołączona książeczka z tekstami. W rodzinnym domu akordeonisty, laureata „Mam talent" sprzed już 10 lat, „kolędy śpiewa się namiętnie, niegdyś zawsze przy akordeonowym akompaniamencie taty". Tę atmosferę artysta stara się przekazać, do nagrania „Wśród nocnej ciszy" zaangażował całą rodzinę podczas – co ciekawe – wakacyjnego zjazdu. Takiej energii nie sposób się oprzeć. Podobnie jak wzruszającemu wykonaniu „Jezus malusieńki".

Aleksandra Pańko

eprasa.pl 3df9b58589

NA EKRANACH

MŁODY AHMED

reż. Jean-Pierre Dardenne, Luc Dardenne, prod. Belgia/Francja, już w kinach

Poznajcie wychowanego w Belgii Ahmeda, do niedawna przyklejonego do ekranu tabletu chłopaka, który z dnia na dzień odcina internet, odmawia jedzenia wieprzowiny i wyzywa matkę od dziwek, gdy ta założy koszulkę z dekoltem. Pod wpływem lokalnego imama chłopak wkracza na ścieżkę religijnego fanatyzmu. O Państwie Islamskim nigdy nie usłyszał, Al-Kaida to dla niego relikt przeszłości. Bracia Dardenne są jednak przekonani, że nie trzeba opętanych ideologów, by w imię wiary terroryzować okolicę. Belgijscy mistrzowie kina zaangażowanego pokazują transformację niewinnego Ahmeda w piewcę dżihadu, skupiając się na małych sprawach. Najbardziej uderzają nie sceny, w których bajdurzy o świętej wojnie i wyższości muzułmanów nad Żydami, tylko momenty, gdy przestaje podawać rękę przyjaciółkom albo wychodzi z lekcji, żeby się pomodlić. Główna oś fabuły skupionej na planowanym zamachu na nauczycielkę spotykającą się z Żydem zapowiada się

efekciarsko. Ale jej finał wstrząsa. Pozwala docenić zarówno maestrię reżyserii (nagroda w Cannes), jak i rolę kobiet w walce z terroryzmem religijnym.

Artur Zaborski

NOWE MIEJSCE

MUZEUM WOLI SIĘ SPOTKAĆ

Gra słów pojawia się w zaproszeniach do otwartego po modernizacji Muzeum Woli. Jeden z oddziałów Muzeum Warszawy, który operuje na

terenie dzielnicy Wola, „Woli Cię poznać", a więc zachęca do odwiedzin, aby pokazać stałą ekspozycję obrazującą burzliwą historię dzielnicy. Mówi ona o okolicznych zakładach przemysłowych, o pierwotnej zabudowie i dziś już nieistniejących terenach zielonych, o wydarzeniach tragicznych (rzeź Woli w 1939 r.) i powojennym odrodzeniu. A przy tym muzeum zamierza współkształtować przyszłość dzielnicy, stale współpracować z mieszkańcami, organizować warsztaty dla dzieci, dyskusje i wykłady dla dorosłych, będą tutaj prowadzone

programy badawcze, w podziemiach otwiera się przytulna kawiarenka; w zabytkowym, 140-letnim pałacyku jest też winda dla niepełnosprawnych.

(bt)

ZAJRZYJ TU

MIROSŁAW BAŁKA, 30/5780

Rzeźbiarz Mirosław Bałka (ur. 1958) zajmuje się również rysunkiem i filmem eksperymentalnym. W 1985 r. ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie, gdzie od roku 2011 prowadzi Pracownię Działań Przestrzennych na Wydziale Sztuki Mediów. W latach 1986-1989 razem z Mirosławem Filonikiem i Markiem Kijewskim tworzył grupę artystyczną Świadomość Neue Bieriemiennost. W 1991 r. otrzymał Stypendium Miesa van der Rohe przyznawane przez Kunstmuseen w Krefeldzie. Jest członkiem Akademie der Künste w Berlinie. Mirosław Bałka od 30 lat regularnie wystawia w Galerii Labirynt, a najczęściej w dwupoziomowej przestrzeni Labiryntu 2. Pierwszą wystawą artysty w Lublinie była „Rzeka", a obecna ekspozycja odwołuje się do tej realizacji z 1989 r.

LUBLIN, GALERIA LABIRYNT 2, DO 24 LUTEGO 2020

STRUKTURY I ŻYWIOŁY ZIEMI

Autorska wystawa malarstwa i grafiki Katarzyny Lipskiej-Ziębińskiej, absolwentki warszawskiej ASP. „Moją pasją jest zagłębianie się w otaczający mnie świat. Z zaangażowaniem odkrywam i fascynuję się bogactwem barw i struktur otaczającej mnie przestrzeni. Zachwyt nad materią kamienia czy żywiołem wody lub ognia przenoszę w swój osobisty świat doznań i wizji artystycznych na płótnie", mówi autorka.

WARSZAWA, POLSKA AKADEMIA NAUK MUZEUM ZIEMI, DO 29 GRUDNIA

Kolumny przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. R. KORNECKI, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3df9b58589

Rebelia w obronie przyrody

Warszawski Ruch Antyłowiecki, Inicjatywa Dzikie Karpaty czy Extinction Rebellion to przykłady nowej fali ekologicznej aktywności. Mają oddolny charakter i nie dostają finansowania

Antoni Grześczyk

PTAKI CHORE NA POMÓR ŚWIŃ

– Wezwani na polowanie funkcjonariusze zachowują się często jak prywatni ochroniarze myśliwych. Poluje lokalna elita, miejscowi adwokaci czy radni. Policjanci ich znają, nie chcą im się narażać, a na dodatek nie orientują się w przepisach – mówi Ludwika Włodek, socjolożka i dziennikarka działająca w Warszawskim Ruchu Antyłowieckim.

Ruch, którego początki sięgają 2016 r., zgromadził osoby już wcześniej związane z inicjatywami na rzecz ochrony zwierząt, np. z Międzynarodowym Ruchem na rzecz Zwierząt Viva! czy z Otwartymi Klatkami walczącymi z chowem przemysłowym, ale i takie, które debiutowały jako aktywiści. Celem spacerów – bo tak eufemistycznie nazywają swoje działania antymyśliwskie uczestnicy – jest nie tylko przeszkadzanie myśliwym, ale i piętnowanie ich nadużyć. – Informujemy o nieprawidłowościach, takich jak niezgłoszone, źle oznakowane polowania czy spożycie alkoholu przez myśliwych. Tych uchybień jest bardzo dużo. Na przykład zabijanie chronionych gatunków, zwłaszcza ptaków – dodaje Ludwika Włodek. I wspomina, że była rzeczniczka Polskiego Związku Łowieckiego Diana Piotrowska publicznie zalecała myśliwym stosowanie trików prawnych, żeby się pozbyć patrzących im na ręce aktywistów. – Doradzała kolegom, żeby na wypadek przyjazdu spacerowiczów zawsze mieli w planie polowania wpisane również dziki z puli do odstrzału sanitarnego. Wtedy mogą powiedzieć, że polowanie jest sanitarne. To stawia aktywistów w gorszej sytuacji, bo utrudnianie odstrzału sanitarnego jest karalne.

Sanitarne polowania na dziki miały pomóc walczyć z epidemią afrykańskiego pomoru świń. Myśliwi, wspierani przez PZŁ, deklarowali jako sanitarne nawet wielkie imprezy łowieckie, takie jak Hubertus Węgrowski z roku 2018, na który zjechali myśliwi z całej Polski. To mogło tylko przyczynić się do rozniesienia wirusa po kraju, tym bardziej że nikt nie przestrzegał zasad bioasekuracji wskazanych przy tego rodzaju odstrzale. W czasie zbiórek prowadzący polowanie mówili, że można strzelać także do innych gatunków. Jego sanitarny charakter był wyłącznie zasłoną dymną mającą odstraszyć aktywistów.

Walka z myśliwymi to w dużej mierze tropienie i nagłaśnianie takich nadużyć. Wspierane przez władzę lobby miłośników polowań nie pozostało dłużne. Gdy się okazało, że masowy odstrzał dzików nie zatrzymał epidemii roznoszonej głównie przez przemysłowe hodowle świń, zaistniała potrzeba potwierdzenia wersji wydarzeń, która usprawiedliwiałaby polowania przed opinią publiczną. Ponad 20 aktywistom wytoczono więc procesy o utrudnianie polowań sanitarnych. – Znając przepisy, nigdy nie blokowaliśmy polowań sanitarnych. Jedynie pilnowaliśmy, czy wszystkie procedury są przestrzegane. Mamy dobrych prawników i nadzieję, że sprawy wygramy i udowodnimy, jakim absurdem była zarządzona przez Ministerstwo Środowiska rzeź dzików. Jednak dla ruchu oddolnego, płacącego za wszystko z własnej kieszeni, opłacenie prawników nawet po preferencyjnych stawkach jest dużym wysiłkiem – ocenia działaczka.

NA ULICY…

Z grupą działaczy Extinction Rebellion rozmawiałem na Wiejskiej, pod Sejmem, gdzie prowadzili całonocny protest – ich alarm dla rządzących, jak mówili. – Przyniosę wam jutro coś ciepłego, o ile wstanę do pracy – żartobliwie żegnał się jeden z uczestników. Mimo środka tygodnia i temperatury w okolicach zera kilka osób zostało na noc, w namiocie i pod kocami termicznymi.

„Mówcie prawdę", brzmi jeden z głównych postulatów XR. Działacze zdecydowali się przedsięwziąć akcję, która ma wywierać presję na media i polityków, by rzetelnie informowali opinię publiczną o skali zmian klimatu i ich konsekwencjach. – „Żądamy od mediów" to szeroko zakrojone działanie. Obecnie jesteśmy na etapie zbierania podpisów naukowców, którzy widzą nieuczciwość środków przekazu w kwestii globalnego ocieplenia – mówi Zofia Wieczorek, 20-letnia studentka zarządzania migracjami z Wrocławia. Apel podpisali już prof. Szymon Malinowski, dyrektor Instytutu Geofizyki UW, oraz fizyk jądrowy Marcin Popkiewicz, wielokrotnie nagradzany popularyzator nauki. Działacze domagają się powołania w każdym medium osoby pilnującej rzetelności tekstów pod kątem informowania o skali zmian. – Coś na wzór inspektora RODO w przedsiębiorstwach – dodaje inna aktywistka, Małgorzata.

Publiczne apele to niejedyna forma działania. Dla Extinction Rebellion ważne są też akcje bezpośrednie, nastawione na zmianę podejścia społecznego i budowanie coraz szerszego, trwałego ruchu sprzeciwu. – Przede wszystkim inspiruje nas idea obywatelskiego nieposłuszeństwa, tego, co robili Gandhi w Indiach czy Mandela w Afryce Południowej – tłumaczy Anita, kontrabasistka, entuzjastka permakultury i ekologicznego rolnictwa. W Lublinie aktywistki XR w czarny piątek, dzień wyprzedaży, stały w sklepach odzieżowych z tablicami informującymi o dewastacji środowiska powodowanej przez przemysł tekstylny. W Warszawie jakiś czas temu przemalowano tablice informacyjne w okolicy nowo

eprasa.pl 3df9b58589

Protest przed Pałacem Prezydenckim zorganizowany przez Extinction Rebellion i Młodzieżowy Strajk Klimatyczny w maju 2019 r.

utworzonego Ministerstwa Klimatu na ulicę Suszy i skwer Katastrofy Klimatycznej.

...I W LESIE

Inną strategię działania – tam, gdzie bezpośrednio niszczona jest przyroda – stosują Dzikie Karpaty. – Obawiamy się, że zanim uda nam się wywrzeć nacisk na instytucje, nie będzie już czego bronić. Ale staramy się, robimy, co możemy, by wpłynąć także na decyzje władzy – mówi Łukasz Synowiecki, jeden z działaczy inicjatywy. Ruch ten zaczął się od założenia obozu w Bieszczadach w sierpniu zeszłego roku, w odpowiedzi na nowy plan urządzania lasu, zakładający zwiększenie wycinki drzew. Jego codzienna praktyka to patrole antywycinkowe, monitorowanie nadużyć firm drzewiarskich i myśliwych. Choć limity wycinki z roku na rok są coraz bardziej liberalne, zdaniem członków inicjatywy nawet te niezbyt rygorystyczne założenia często są łamane.

Inicjatywa odnosi wymierne sukcesy – ostatnio udało się jej powstrzymać budowę fabryki węgla drzewnego Gryfskand w Ustrzykach Dolnych. Kluczowe było tu zaangażowanie mieszkańców Ustrzyk. – Był to znaczący krok w stronę przełamania podziału na przyjeżdżających z dużych miast aktywistów i lokalną społeczność. Sytuacja ta pokazuje, że mamy wspólne interesy i umiemy się komunikować – zaznacza Synowiecki. Działacz podkreśla, że ruch trzyma się z dala od partyjnej polityki, jest jednak otwarty na współpracę ze wszystkimi. Na skutek działań Dzikich Karpat interpelację w Brukseli złożyła europosłanka Sylwia Spurek. Nazwała ona to, co się dzieje w Puszczy Karpackiej, „nową Białowieżą". Bo to kolejny sprzeciw obrońców przyrody wobec działań rządu, który doprowadził do społecznej mobilizacji.

Dla Extinction Rebellion ważne są akcje bezpośrednie, nastawione na zbudowanie trwałego ruchu sprzeciwu.

Dzikie Karpaty skupiają osoby młodsze i starsze, o poglądach lewicowych i konserwatywnych, weteranów ruchów ochrony przyrody oraz tych, którzy dopiero rok temu rozpoczęli przygodę z ekologicznym aktywizmem. Oprócz zakładanej apolityczności ważny jest też nieformalny charakter przedsięwzięcia. Rejestracja Inicjatywy Dzikie Karpaty jako fundacji lub stowarzyszenia dawałaby ułatwienia organizacyjne, ale jak wyjaśnia Synowiecki, ważniejszy był dla aktywistów oddolny, włączający charakter.

Społecznik podkreśla wagę obywatelskiego zaangażowania: – Gdyby nie darowizny na paliwo, nie bylibyśmy w stanie prowadzić naszych patroli. Ludzie przyjeżdżają tu po pracy, poświęcają urlopy i prywatny czas. Dobrze, że mamy takie wsparcie, najczęściej od osób prywatnych bądź małych firm.

NIE TYLKO PRZECIWKO SZYSZCE

Początek oddolnego zaangażowania na rzecz środowiska przypadł na lata 80., gdy w łonie Solidarności powstało „zielone" skrzydło. Działały wtedy także Polski Klub Ekologiczny czy Pracownia Architektury Żywej przy Politechnice Śląskiej, później przekształcona w funkcjonującą do dziś Pracownię na rzecz Wszystkich Istot. Lata 90. to czas małych, nieformalnych grup, początkowo zorganizowanych wokół protestów. – Jednak od połowy dekady działalność ekologiczna przeniosła się z ulic do urzędów. Działacze ruchu ekologicznego zorientowali się, że wpływając na procesy decyzyjne, można zdziałać więcej, niż protestując – wspomi-

FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

eprasa.pl 3df9b58589

na Konrad Malec, od 30 lat zaangażowany w ochronę przyrody sozolog (specjalista w zakresie naukowych podstaw ochrony środowiska), obecnie uczący młodzież w ramach projektu „Kultura i Natura". W efekcie wejścia działaczy do instytucji państwo zaczęło powierzać część zadań inicjatywom obywatelskim. Stało się tak choćby w przypadku Ogólnopolskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków czy Komitetu Ochrony Orłów.

Zdaniem eksperta różne, pozornie odległe elementy przyrody są nierozerwalnie powiązane. – Nie da się w prosty sposób wyróżnić obszarów kluczowych dla ochrony środowiska naturalnego. Wiatr, który rozwiewa miejskie zanieczyszczenia, sprawia, że wymierają porosty, a drzewa w Białowieży rosną nieproporcjonalnie szybko wzdłuż, a wolniej wszerz. Na podobnej zasadzie dostosowana do potrzeb żeglugi Wisła nie jest w stanie radzić sobie z zanieczyszczeniami, co pokazała awaria oczyszczalni w Warszawie – tłumaczy Konrad Malec.

Podobnie można postrzegać różne rodzaje konfliktów wokół środowiska naturalnego. – Zupełnie inaczej jest odbierana walka przeciwko decyzjom rządu niż przeciwko prywatnej firmie. W Polsce dominuje podejście mało społeczne, a bardziej prywatne. W walkę przeciwko decyzjom instytucji publicznych można zaangażować argumenty odwołujące się do języka praw obywatelskich, praworządności, przestrzegania konstytucyjnego obowiązku państwa, jakim jest ochrona przyrody. Tymczasem walka przeciwko „kapitaliście" traktowana jest często jako lokalny spór bez szerszego znaczenia. Miewa to konkretne skutki – brutalność straży leśnej wobec strony społecznej łatwiej przedstawić jako skandal, takie same działania prywatnej firmy ochroniarskiej mogą już wzbudzić mniejsze zainteresowanie – zwraca uwagę Magdalena Siemaszko, biolożka i etnografka prowadząca badania w Puszczy Białowieskiej.

GLOBALNE OCIEPLENIE, POLSKIE SPRAWY

Magdalena Siemaszko ocenia, że zainteresowanie ochroną przyrody i aktywność ruchów protestu znacznie wzrosły w ostatnich dwóch-trzech latach. Jej badania dotyczą m.in. stosunku społeczności Białowieży i okolic do ekologów. Choć np. Dzikim Karpatom udało się z powodzeniem połączyć interes miejscowych z celami przyjezdnych działaczy, problem konfliktu interesów pozostaje. – Aktywistów czy działających w puszczy badaczy widzi się czasem jako reprezentantów kolonialnych mechanizmów: ludzi z wielkich miast, którzy przyjechali narzucić coś z zewnątrz. Choć dominują wśród nich poglądy lewicowe i są oni ostatnimi, którzy chcieliby prywatyzacji państwowych lasów, paradoksalnie często właśnie tak są postrzegani.

Podobnie bywa odbierane angażowanie się w sprawy polskiej przyrody instytucji międzynarodowych, przede wszystkim unijnych. – Społeczność Białowieży mówi czasem o złej Unii, która „nam" zabrania. Jest to problematyczne, że obywatelskie akcje na rzecz ochrony przyrody znajdują finał w Trybunale Europejskim, chociaż w obecnej sytuacji politycznej czasem to jedyna droga. W społeczności mówi się wtedy: „Chcą nas zamknąć w rezerwacie, bo u siebie, w rozwiniętej części Europy, już dawno nie mają dzikiej przyrody" – komentuje Magdalena Siemaszko. Konrad Malec inaczej kładzie akcenty: – Nie można mówić, że ekolodzy „donoszą" Brukseli na własny kraj, choć to określenie lubiły stosować różne ekipy rządzące. Obrońcy przyrody działają na rzecz własnego kraju nierzadko bardziej niż politycy, którzy przypisują sobie monopol na reprezentowanie polskiego interesu.

Terminem, który stosunkowo niedawno zadomowił się w światowej debacie o kwestiach środowiska naturalnego, jest eksport zanieczyszczeń. Kraje rozwinięte, dawniej uprzemysłowione, a dziś najczęściej stawiające na usługi, konsumują coraz więcej produktów, których wytwarzanie jest szkodliwe dla środowiska. Wielka Brytania, chwalona za uporanie się w ostatnich dekadach ze swoimi zanieczyszczeniami, generuje dziś o ponad 40% mniej dwutlenku węgla niż w roku 1970. Gdy jednak wliczymy import towarów na Wyspy, to według danych Światowej Agencji Efektywności emisja pozostanie bez zmian. Reszta bowiem została „wyeksportowana" do krajów uboższych: Indii, Bangladeszu, Chin czy państw Afryki. Jak szacuje dr Ali Hasanbeigi, w ten sposób „eksportuje się" około jednej czwartej całości światowych zanieczyszczeń dwutlenkiem węgla. Jaką rolę odgrywa tu Polska? – Z jednej strony, jesteśmy ofiarami takiego eksportu z bogatych krajów europejskich, z drugiej zaś, jako kraj globalnie stosunkowo uprzywilejowany, współuczestniczymy w eksporcie do krajów Trzeciego Świata – uważa Konrad Malec.

Światowe zainteresowanie kwestiami ekologicznymi, a także coraz dotkliwiej odczuwane, np. w postaci smogu, zanieczyszczenie środowiska, prowadzi do intensyfikacji wysiłków aktywistów. Obóz dla Puszczy, bo tak nazwali swój ruch działacze broniący drzew przed buldożerami, być może otworzył nową epokę w historii społecznego zaangażowania w działalność proekologiczną. – O jego wadze świadczy nie tylko zawiązanie się podobnych inicjatyw, ale także to, że fraza Obóz dla… stała się wzorem dla kolejnych inicjatyw: Obozu dla Klimatu czy Obozu dla Mierzei Wiślanej – przypomina Magdalena Siemaszko.

Dzikie Karpaty skupiają osoby młodsze i starsze, o poglądach lewicowych i konserwatywnych.

– Nieprawda, że w Polsce ochrona środowiska naturalnego jest na znacznie niższym poziomie niż na Zachodzie. To u nas zachowało się więcej – ocenia Konrad Malec. – Choć parków narodowych mamy powierzchniowo tyle, ile jest w Wielkiej Brytanii, to poziom tamtejszej ochrony przypomina raczej nasze parki krajobrazowe. Niestety, polskie rządy – i dotyczy to właściwie każdej ekipy od czasów AWS – przejęły antyekologiczny język amerykańskich konserwatystów, który ekologię traktuje jako wroga. Gdyby nasi rządzący nauczyli się zachowywać na arenie międzynarodowej nieco sprytniej, można by realizować strategiczne dla kraju inwestycje, promując je zielonym językiem i nie wzbudzając w tej sferze takich kontrowersji w Brukseli.

Antoni Grześczyk

eprasa.pl 3df9b58589

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Czuły zazdrośnik

Jeszcze podczas pracy nad „Księgami Jakubowymi" dopytywała mnie o jaskinie pod Częstochową, w których mogły być pochowane dzieci Franka. Zdawało się: żyje tą powieścią, jest w niej tak głęboko, że nawet kiedy nie pisze, chodzi z wykrywaczem frankianów. Jakubowym rentgenem natychmiast prześwietla każdego napotkanego znajomego, szukając niedostępnych w bibliotekach informacji, które mogłyby się przydać do powieści. Na mnie padło jako grotołaza; powiedziałem o dwóch pieczarach z jurajskich Podlesic, w których widziałem ludzkie kości, nawet nie wiem, czy z tego skorzystała – z najkoszmarniejszym w polskiej historii ministrem kultury łączy mnie fakt, że „Ksiąg…" nie doczytałem, różni to, że jednak się tego wstydzę. (A także to, że spośród pozostałych, doczytanych próz Olgi Tokarczuk wiele bardzo lubię i co najmniej „Biegunów" mam za rzecz wybitną). Pamiętam kolację u wspólnych berlińskich przyjaciół, dłubałem wtedy w „Spiskach" jako stypendysta DAAD (Olga grała tam na wielu bębenkach kilka lat przede mną) i męczyłem się jak sprinter, co to się uparł, że przebiegnie maraton.

Powieść nigdy nie była moim żywiołem, lepiłem swoje książki z krótkich wzlotów formy, opowiadaniom nadawałem wspólnotę miejsca, czasu i bohaterów, a i tak z kilometra było widać, że nazywanie ich powieściami to tylko przynęta dla wydawców fetyszyzujących ten gatunek. Tymczasem Olga zawsze była powieściopisarką z krwi i kości – ma dar snucia długodystansowych (niech będzie, że i czułych) narracji, a także życia twórczością. Piła z nami wino, a może tylko wodę, coś tam podjadała i rozmawiała, ale to była Olga zewnętrzna, fasadowa, a tam w środku cały czas nakręcał się mechanizm opowieści – kiedy powieściopisarz jest-w-pisaniu, pracuje nieustannie, pisze, nawet nie dotykając pióra.

„To pewnie będzie miało z tysiąc stron", powiedziałem półżartem, kiedy usłyszałem, że pracuje nad tą książką już kilka lat, a ona zupełnie serio odparła, że nie wie, czy uda jej się zmieścić. Kiedy ze szczerą troską zapytałem, czy nie czuje zmęczenia, odpowiedziała rozbrajająco: „Ale ja lubię pisać. Poza tym jestem pracowita". A potem dodała, że w ramach odpoczynku… pisze sobie taki niby-kryminał („Prowadź swój pług przez kości umarłych"). Pozostało mi westchnąć z uznaniem; wtedy też ugruntowały się moje przeczucia, że jeśli to się kiedyś skończy Noblem, będzie to nagroda ze wszech miar trafiona, bo choć talentów narracyjnych i językowych w literaturze nie brak, jako i pracusiów grafomanów, to jeśli talent niepospolity frunie w parze z pracowitością, a do tego zdolnością uniwersalizowania ludzkich trosk („pisarz umie nazwać to, co zwykli ludzie potrafią tylko pomyśleć"), mamy literaturę poważnie zagrożoną wszelkimi laurami tego świata.

Pisarz wymyka się życiu, żeby zanurzyć się w tekście; ja mam odwrotnie, zawsze wymykałem się pisaniu pod tysiącem pretekstów, żeby życia używać. Napisałem parę książek, ale nigdy w trakcie pisania nie czułem tej rozkoszy pasjonata, który wie, że tylko w tekście żyje prawdziwie, że co niezapisane, nie jest w pełni przeżyte. Pisałem przez lata dzienniki, żeby dopełnić przeżycia, ale zaniechałem tego, kiedy okazało się, że zamiast pisać, ledwie odnotowuję. Musiałbym zatem żyć dwa razy dłużej, żeby przeżyć swój żywot w pełni; nie udało się, nigdy nie wyzbyłem się dyskomfortu, że podczas gdy piszę, życie mi ucieka.

Pisarz to ten, który ma wieczny wyrzut sumienia, że życie odwraca jego uwagę od twórczości, myśli raczej o tym, ile tekstu stracił, kiedy zamiast pisać, zajmował się czymś pozaliterackim. Fantazmatem autora niepracowitego, by nie rzec leniwego, są jego własne książki, które czekają na niego niczym świeże jaja w kurniku – wysiedziane przez innych. Chodzi o to, żeby samo się pisało, żeby myśl nie musiała pokonywać drogi z mózgu poprzez palce i klawiaturę na ekran komputera – ten dystans musi być zniwelowany. To marzenie o tym, żeby w ogóle nie musieć dotykać klawiszy, być co najwyżej script doctorem własnych opowieści – marzenie o ghost writerach *sensu stricto*, zatem niewidzialnych, a nawet nieistniejących, a jednak piszących za mnie dokładnie to, co pomyślę, ach, nawet lepiej – wyprzedzających moją myśl, wyjmujących mi słowa z ust, podczas gdy ja tylko będę siedział przy laptopie i kiwał głową z uznaniem: tak, tak, dokładnie to chciałem napisać, świetnie wam/mnie idzie. A potem przychodzi czas narcystycznych wzruszeń, kiedy autor pochyla się nad dziełem i nie może uwierzyć, że napisał coś aż tak dobrego. Och, moje teksty są mądrzejsze ode mnie – prawi potem z udawaną skromnością na spotkaniach autorskich.

Olga Tokarczuk ma tę noblowską cechę, że jest tak mądra jak jej książki. I tego jej najbardziej zazdroszczę. Rzecz jasna, z czułością.

Olga Tokarczuk, na ile ją poznałem, ma tę zaiste noblowską cechę, że jest dokładnie tak mądra jak jej książki. I tego jej najbardziej zazdroszczę. Rzecz jasna, z czułością.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3df9b58589

Magdalena Bartczak

Szlakiem wieloryba

Chile jest krajem wielorybów – ponad połowę wielorybiej populacji z całej planety można spotkać właśnie w pobliżu tamtejszego wybrzeża

Mówi się, że na zachodniej stronie wyspy, wśród klifów w okolicy Cucao, pomrukom i szumom oceanu towarzyszą inne dźwięki. Słychać tu podobno szepty i lamenty udręczonych dusz, które wędrują wśród pobliskich plaż, wzgórz i lasów. Swoim płaczem wzywają przewoźnika o imieniu Tempilcahue, który ma je zabrać na drugą stronę wyspy. Gdzieś daleko za horyzont, gdzie mogłyby odzyskać spokój. Powiada się też, że osoby, które tu dotrą i usłyszą te nawoływania, nie powinny zwracać na nie uwagi, a tym bardziej wołać udręczonych po imieniu. Wtedy bowiem też dołączą do uwięzionych dusz z Cucao, czekających na podróż, która przyniesie im wytchnienie.

Dziś w tym samym miejscu, nazwanym Punta Pirulil, znajduje się długie, drewniane molo, zaprojektowane przez Marcelo Orellanę Riverę, artystę znanego z rzeźbienia w różnych rodzajach drewna. Ze względu na swoje malownicze położenie wśród wpadających do oceanu klifów w ostatnich latach Punta Pirulil stało się jedną z największych turystycznych atrakcji Chiloé. W weekendy, szczególnie te słoneczne, kolejki do zdjęcia sięgają kilkuset metrów. (…)

Nie bez powodu te morskie zwierzęta odgrywają ważną rolę w tutejszych sagach. Chile jest krajem wielorybów – ponad połowę wielorybiej populacji z całej planety można spotkać właśnie w pobliżu okolicznego wybrzeża. Szacuje się, że jest to prawie 50 gatunków, m.in. kaszaloty, walenie, płetwale błękitne i humbaki. W tutejszych wodach pływają one mniej więcej od końca listopada do końca maja. Właśnie w tym okresie kierują się z cieplejszych, podzwrotnikowych rejonów w stronę Antarktydy i po drodze szukają pożywienia. Odbywają podróż na tym odcinku o tyle spokojnie, że już od ponad dekady polowanie na wieloryby jest w Chile całkowicie zakazane. Pierwsze zakazy zaczęły się pojawiać w latach 80. XX w., gdy zorientowano się, że wielorybia populacja, którą dotąd można było spotkać u brzegów, znalazła się na granicy wyginięcia. W 2008 r. walenie uznano za tzw. *monumentos naturales*, czyli pomniki przyrody, i oficjalnie zaczęto chronić prawem.

Kto w Chile pragnie ujrzeć wieloryby na żywo, powinien się wybrać na samo południe, w kierunku Antarktydy, wokół której można spotkać m.in. humbaka, walenia południowego i płetwala. Poza nimi – m.in. kilka gatunków fok, orki i delfiny. Nieco wyżej, na zachodnim krańcu kontynentu, rozciąga się Park Narodowy Francisca Coloane, który liczy ponad 670 tys. km kw. i jest pierwszym oraz największym rezerwatem morskim w Chile. Wieloryby uwielbiają pływać wśród tutejszych fiordów, lodowców i dzikich lasów rosnących na pobliskich wyspach poprzecinanych kanałami – ich liczebność na tym obszarze jest więc ogromna.

Jednak najlepszym miejscem na spotkanie z wielorybem u chilijskich wybrzeży i na całej południowej półkuli są okolice Chiloé i wysp Guaitecas – przede wszystkim zatoka Corcovado. Najpopularniejszym gatunkiem pływającym w tutejszych wodach jest płetwal błękitny. Naukowcy szacują, że każdego lata, na początku grudnia, w poszukiwaniu planktonu dociera w te rejony (i spędza w nich średnio trzy miesiące) ponad 700 osobników.

Płetwale błękitne są nie tylko największymi (ważą ponad 130 ton i osiągają niemal 30 m długości), ale też najgłośniejszymi zwierzętami na Ziemi. Wydają dźwięki o natężeniu nawet 190 decybeli – to mniej więcej tyle, co start rakiety kosmicznej i średnio dwa razy więcej niż koncert rockowy. W ten sposób komunikują się z innymi płetwalami na odległość nawet 800 lub 900 km. Ludziom trudno byłoby jednak bez specjalnego

eprasa.pl 3df9b58589

sprzętu usłyszeć te dźwięki, gdyż większość z nich jest zdecydowanie zbyt niska dla naszych uszu.

Regularne badania nad wielorybimi zawołaniami, śpiewami i okrzykami prowadzi Susannah Buchan, brytyjska oceanografka żyjąca od 12 lat w Chile. Spotykam się z nią w Santiago, gdzie mieszka na stałe, choć pracuje w różnych częściach kraju, przede wszystkim właśnie w okolicach Chiloé i na północy regionu Aysén – wśród archipelagu Guaitecas.

– Pierwsze nieśmiałe śpiewy pojawiają się w grudniu i pochodzą od samców, pragną one w ten sposób przyciągnąć samice. Ich symfonia osiąga szczyt w kwietniu, gdy odgłosy są coraz mocniejsze, mieszają się ze sobą i zmieniają morskie głębiny w podwodną filharmonię. To najpotężniejszy i najgłębszy naturalny dźwięk na świecie. Pokonuje olbrzymie odległości, całe setki kilometrów, i ma bardzo różnorodną naturę – może mieć zarówno ostrzejsze impulsy, jak i spokojne, harmonijne fragmenty. Wielu jego najniższych, najbardziej wrażliwych partii człowiek nie jest w stanie w ogóle usłyszeć – opowiada z przejęciem Susannah, która od 2008 r. nagrywa wielorybie odgłosy, korzystając z hydrofonów. Wypływa z kilkoma współpracownikami daleko w morze wyposażona w podwodny mikrofon, zanurza go na głębokość 30 m, a następnie odszyfrowuje uchwycone dźwięki za pomocą specjalnego oprogramowania. W ten sposób mierzy m.in. czas trwania i częstotliwość podwodnych śpiewów, dzięki czemu łatwiej jest śledzić wieloryby i ich dalsze plany. Na podstawie zarejestrowanych dźwięków można wyznaczyć dokładną trasę ich migracji, przebieg okresu godowego czy miejsca, w których się żywią.

Gdy Buchan opowiada o swojej pracy, po wyrazie jej twarzy widać, jak bardzo kocha to, czym się zajmuje. Jej badania były fundamentem doktoratu, który obroniła parę lat temu na Uniwersytecie Concepción, gdzie jest obecnie autorką i kierowniczką jednego z projektów w programie COPAS Sur-Austral – centrum badawczego poświęconego oceanografii chilijskiej Patagonii. Susannah prowadzi ponadto badania w Coquimbo, jest gościnną badaczką w Woods Hole Oceanographic Institution w Massachusetts i współpracuje z WWF Chile, Centrum Płetwala Błękitnego (Centro Ballena Azul) oraz One World Wildlife i Whale and Dolphin Conservation w Wielkiej Brytanii. Na pokładzie spędza średnio trzy, cztery miesiące w roku, od grudnia do kwietnia. Przyznaje, że właśnie na morzu czuje się najlepiej – jego nieograniczona przestrzeń daje jej poczucie bezpieczeństwa i dobrą energię.

– Skąd wzięły się w moim życiu wieloryby? Już jako mała dziewczynka marzyłam, żeby się nimi zajmować. Swój plan zaczęłam realizować w 2007 r., gdy jako świeżo upieczona absolwentka oceanografii w Szkocji dotarłam do Chile, nie umiejąc powiedzieć nawet słowa po hiszpańsku. Przyjechałam na zaproszenie znajomego oceanografa, Maximiliana Bella, jednego z założycieli Centrum Płetwala Błękitnego, gdzie kilkanaście lat temu odkryto, że liczni przedstawiciele tego gatunku każdego lata regularnie zjawiają się w okolicy zatoki Corcovado, aby pożywić się krylem. Zanim przyjechałam do Chile, moje wyobrażenie o tym kraju było dosyć typowe, nie wiedziałam o nim zbyt wiele. Byłam przekonana, że na miejscu znajdę tropikalne plaże, biały piasek, palmy, dużo słońca. A dotarłam na południe. Gdzie jest trochę inaczej, niż było w moich wyobrażeniach, delikatnie mówiąc – śmieje się Susannah. – Tutejsze krajobrazy wydały mi się za to bardzo swojskie. Zimna woda, fiordy, gęste lasy, wioski rybackie. I wieloryby, dużo wielorybów. Byłam więc przeszczęśliwa, zakochałam się w tej okolicy od pierwszego wejrzenia. Pierwszym miejscem, do którego dotarłam na południu, była Melinka nad zatoką Corcovado. Mała miejscowość, a zarazem największe miasteczko na wyspach Guaitecas. To były jeszcze czasy, w których na wyspach nie było internetu, sygnał komórkowy nie docierał, a dostęp do elektryczności był ograniczony do kilku godzin dziennie. Doskonale za to było słychać las, morze i wszystko, co w nim zżyło. Już wtedy wiedzieliśmy, że płetwale błękitne mają swoje regionalne dialekty. Jest ich prawdopodobnie dziewięć na całym świecie, każdy z nich odpowiada różnym miejscom, szlakom i kierunkom migracji tych zwierząt. Moją głowę zaczęło jednak zaprzątać pytanie: czy te płetwale błękitne, które każdego lata, co roku, przypływają do zatoki Corcovado, też mają osobny dialekt? Czy po prostu docierają tu po drodze w swojej podróży na Antarktydę? Postanowiłam to sprawdzić sama i zaczęłam wsłuchiwać się w ich śpiewy. Przez kilka pierwszych miesięcy pracy wypływałam w morze właściwie codziennie, na dziewięć, dziesięć godzin. Ale te pierwsze próby kończyły się fiaskiem, bo okazało się, że narzędzia, których używałam, nie były odpowiednie. Przez kilka miesięcy, mimo wielu godzin spędzonych na wodzie, nie udało mi się nagrać prawie żadnych dźwięków. Udało mi się za to zobaczyć płetwala błękitnego z bliska i to było niesamowite przeżycie. Nieoczekiwanie i jakby znikąd, na środku morza pojawił się jego tył i wielki, ciemny ogon, który podniósł się do góry, na kilkanaście metrów powyżej tafli wody. Nagle, w ciągu krótkiej chwili, poczułam się mała, nic nieznacząca. Przyznaję, że lubię te momenty, w których czujesz, że jesteś niewielką kropką na tym ogromnym oceanie, wśród tych gigantycznych zwierząt, i że twoje problemy w skali całego świata nie są tak naprawdę ważne. Wieloryby wciąż mi o tym przypominają. Poza tym, że piękne i olbrzymie, są też bardzo inteligentne i uczuciowe. Mają swoją mądrość, kulturę, różne zwyczaje. Ich śpiewy są najlepszym tego dowodem – opowiada Susannah.

Płetwale błękitne mają regionalne dialekty. Jest ich prawdopodobnie dziewięć, każdy odpowiada różnym miejscom, szlakom i kierunkom migracji tych zwierząt.

I kontynuuje historię. Historię o tym, jak jednak postanowiła się nie poddać. Niezrażona niepowodzeniami, kolejnego lata znów wróciła nad zatokę Corcovado.

– Tym razem, dzięki dofinansowaniu jednej z brytyjskich fundacji, udało mi się wrócić ze znacznie lepszym, nowocześniejszym sprzętem. W Melince poznałam Daniela Caniul-

FOT. BEWPHOTO

eprasa.pl 3df9b58589

lana, kapitana łodzi, znającego świetnie zatokę i okoliczne wody, z którym pływam regularnie do dziś. Pamiętam, że to była połowa lutego, pracowałam tam już od prawie dwóch miesięcy i traciłam powoli nadzieję, że uda mi się zdobyć jakiś materiał. Ale wraz z Danielem trafiliśmy na ślad płetwala, który płynął od strony wysp na pełny ocean. I zaczęliśmy go śledzić. Warunki były doskonałe – słonecznie, wiatr niezbyt silny, tafla wody gładka i spokojna. Płetwal w pewnym momencie się zatrzymał na dłużej, a ja zanurzyłam hydrofon, nacisnęłam „nagrywaj" i materiał zaczął się rejestrować na moim notebooku. Słyszałam dźwięki dochodzące spod wody, serce miałam ściśnięte, ale nie miałam pojęcia, czy to, co nagrywam, było rzeczywiście jego śpiewem. Zwierzę oddalało się i powracało, a ja popłakałam się ze szczęścia. Potem, gdy wróciliśmy na ląd, zaczęliśmy przesłuchiwać nagrania. I słuchaliśmy ich całą noc. Do dziś nie udało mi się zdobyć lepszych materiałów. Prawdziwe szczęście początkującego – wspomina ze śmiechem i mocno już chilijskim akcentem Brytyjka.

Ten sukces sprawił, że postanowiła kontynuować badania. I przeprowadziła się na dobre do Chile. Przez kolejnych dziesięć lat każdego lata powracała nad zatokę Corcovado i nie przestawała nagrywać. Na podstawie setek podwodnych zapisów odkryła, że śpiew płetwali błękitnych docierających do tutejszych wybrzeży jest zupełnie inny niż śpiewy innych populacji tego gatunku na świecie. Uznała, że śpiewają one w osobnym, chilijskim dialekcie, który rządzi się swoimi prawami i ma właściwą specyfikę. Brzmi ostrzej, ma wyższe tony i bardziej różnorodne dźwięki w zakresie jednej melodii. Odkrycie Buchan otworzyło nowy rozdział w badaniach oceanograficznych i zasadach ochrony tego podgatunku, jakim okazał się *Balaenoptera musculus chilensis*, czyli chilijski płetwal błękitny, genetycznie różny od innych płetwali.

Susannah od 2012 r. ma zainstalowane na stałe hydrofony w różnych obszarach zatoki Corcovado oraz południowego Pacyfiku na wysokości archipelagu Guaitecas. Regularnie co sześć miesięcy je zbiera, wyciąga karty pamięci i skrupulatnie analizuje zapisane dane na komputerze. W zeszłym roku podobne hydrofony zainstalowała na północy. A dokładniej w okolicach wyspy Chañaral (w regionie Atakama) oraz archipelagu Juan Fernández. Wszystko po to, by sprawdzić, czy płetwale śpiewające w swoim wyjątkowym dialekcie na południu, na północy komunikują się ze sobą podobnie, czy może zupełnie inaczej.

– Moje największe zawodowe marzenie? Chciałabym móc posłuchać wielorybów pływających wzdłuż całego kraju. Móc zainstalować hydrofony na całej długości chilijskiego wybrzeża. Wierzę, że to też kiedyś mi się uda.

Fragment książki Magdaleny Bartczak *Chile południowe. Tysiąc niespokojnych wysp*, Muza SA, Warszawa 2019

eprasa.pl 3df9b58589

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Telefony, telefony!

W poniedziałek E. spojrzała w lustro i stwierdziła, że jej twarz jest niesymetryczna. Zadzwoniła do mnie już o godz. 9.00 i streściła swoje refleksje. Rozmawiałyśmy pół godziny. Wiadomo, że nie chodziło o brak symetrii w jej twarzy, tylko o, powiedzmy, chłopaka, o, powiedzmy, pieniądze, o jakiś grant, którego nie dostała. Umówiłyśmy się na jakiś inny dzień. Ona wyjeżdżała do Białegostoku, ja musiałam coś napisać. Zrobiłam sobie drugą kawę. Odpaliłam laptopa. Telefon zaświecił. Dzwonił L., że „ten kutas" K. jest człowiekiem złym i zawistnym. Tu L. objaśnił mi ze szczegółami perfidię kolegi, jego podłość. Opisał (bardzo plastycznie) dwie sytuacje, które ujawniały ciemne machloje K., jego brak skrupułów i w ogóle bycie „prawdziwą kurwą".

Wierzyłam L., bo znałam go 20 lat, był lojalnym, oddanym przyjacielem, tzw. dobrym człowiekiem, uznałam więc *a priori,* że jego gorycz jest uzasadniona. Potępiłam więc K., ponarzekaliśmy na świat, rozłączyłam się i siadłam do pisania. M. zadzwoniła z przymierzalni, ale głos miała taki, jakby oblała kolokwium z łaciny – była zbolała, prawdziwie przygnębiona. Nominowali ją do ważnej nagrody literackiej we Francji, wybierała się na galę. M. nie jest osobą majętną, ale w końcu ile razy nominują człowieka do nagrody literackiej? Postanowiła zadać szyku i wywalić szmalec na coś więcej niż zwyczajową czarną spódnicę o kroju jakimś tam, kolistym czy kulistym, czy może na kole. Cały listopad wybierała kolczyki, dwukrotnie zapchała mi skrzynkę mejlową dziesiątkami zdjęć swoich uszu, kolczyków w uszach, kolczyków bez uszu, kolczyków na cudzych uszach itd. Teraz sprawa była poważniejsza, wybór sukienki okazał się ponad jej siły. Im więcej wiedzy zdobywała na temat materiałów, krojów, trendów, projektantów, tym trudniejsze stawało się zadanie. Dzwoniła z przymierzalni, bo przysłała mi sześć zdjęć w sześciu różnych kreacjach. Obejrzałam je dokładnie, naradziłyśmy się, rozłączyłam się.

Wróciłam do pisania. „Hej, dzwonię, bo jadę autem i, szczerze mówiąc, okropnie się nudzę" – znajomy fotograf stał w korku przy bramce na autostradzie. Dochodziło południe i zrozumiałam, że jeśli nie wyłączę telefonu, nic z tego nie będzie. Wieczorem położę się zmęczona, bez grama tekstu, z wyrzutami sumienia. Niezadowolona. Ale wyłączyć nie mogłam, czekałam na informację związaną z przesyłką, czekałam na telefon od dziecka, czekałam na telefon od matki. „Halooo? O, sorry, ja pierdolę, Aga? Ale jaja, chciałem zadzwonić do Majki, ale w sumie dobrze się składa, co tam słychać?". Wyłączę – zagroziłam nie wiadomo komu. Wyłączę ten pieprzony telefon! Miałam poczucie, że się mszczę, że daję popalić jakimś fikcyjnym postaciom, które próbują mi przeszkodzić.

W końcu rzeczywiście wyłączyłam smartfona, szybka definitywnie pociemniała i natychmiast miałam poczucie, że zrobiło się cicho jak w grobie. Rzuciłam go na łóżko jak jakiś demoniczny totem i siadłam do komputera. Niestety, nadal myślałam o telefonie. Zerkałam na łóżko i myślałam o nim brzydko: ha, ha, różni ludzie dzwonią tu teraz, żeby mi przeszkodzić. Ale nie zniszczą mi dnia, nie. W wyobraźni widziałam wyświetlające się konkretne nazwiska, esemesy, wiadomości odebrane i nieodebrane, mejle. Zmarszczyłam brwi, siedziałam naburmuszona i patrzyłam w monitor, a białe pole rosło i rosło, gasząc wszystko wokół. Żaden tekst nie powstawał. Rzuciłam okiem na telefon i wyniosłam go do drugiego pokoju, nakryłam poduszką i kocem. Wypiłam trzecią kawę i poczułam dziwne kołatanie serca. Otworzyłam okno, próbowałam się uspokoić, znowu siadłam do komputera. Napiłam się wody. Było dziwnie, NIKT nie dzwonił.

Dla uspokojenia wzięłam z półki wiersze Elizabeth Bishop, te o rybach, zatokach. Ona ma taką solidną frazę, jakby opiekuńczą. Czytelnik się czuje objęty przez Bishop. Przeczytałam cały tomik i zrobiło mi się bardzo smutno. Na dobrą sprawę dochodził już wieczór. Niczego nie napisałam, telefon leżał martwiusieńki. Samotna i do niczego – dogorywałam, patrząc w otwarty plik. Cały czas jednak wiedziałam, że czeka mnie pocieszenie, seria drobnych przyjemności, kiedy włączę telefon i zobaczę, kto do mnie dzwonił, kto po prostu nie mógł się obejść beze mnie w ten smutny, zimowy poniedziałek. Zjadłam kanapkę, w radiu dawali jakąś fajną muzyczkę, przeszłam do drugiego pokoju i włączyłam telefon: nic. NIKT nie dzwonił. Zero esemesów, zero mejli, nawet tych reklamowych. Żadnych nieodebranych połączeń. Głucho i nieprzyjemnie. Poczułam się jak Kevin sam w domu. Za karę moi przyjaciele zniknęli. Ostatni raz tak głupio zrobiło mi się kilka lat temu, gdy wyszłam do sklepu w dżinsach i w połowie drogi poczułam, że ciągną się za mną rajstopy, które dzień wcześniej musiałam zdjąć razem ze spodniami.

Odczekałam chwilę. Najpierw zadzwoniłam do E., że moja twarz zupełnie nie przypomina niczego, co może mi się jeszcze podobać. Potem do L., że mam żal do K., że mi obrobił dupę na Fejsie. Potem do M., że namierzyłam wyprzedaż w necie, ale nic nie rozumiem z tych oznaczeń. Czy M. może już to rozpracowała? Czy pomoże mi wybrać coś sensownego w dobrej cenie? Potem do znajomego fotografa, czy czytał już ten artykuł o analnym zwrocie w najnowszej poezji polskiej. Nie? Ha, ha! A potem do wielu innych osób, szczęśliwa, że dzień ma jeszcze do zaoferowania tak wiele.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3df9b58589

Oto cele dyplomacji

Trwa ofensywa polskiej dyplomacji. Nie, nie w sprawie wieloletniego budżetu Unii, na siedem lat, mającego obowiązywać od roku 2021. W tej kwestii (o czym za chwilę) Polska jest w głębokiej defensywie.

Także nie w kwestii Ukrainy. Rozmowy w ramach Formatu Normandzkiego odbywają się bez udziału naszego kraju i z tym wszyscy już dawno się pogodzili.

Ofensywa uderza w inny punkt – oto premier Morawiecki ogłosił, że Polska chce kupić od Austrii teren byłego obozu koncentracyjnego Mauthausen-Gusen. W ocenie naszych władz teren obozu nie jest w należytym stanie, znaczna jego część znajduje się w rękach prywatnych, a dawne budynki SS przekształcono w domy mieszkalne. W obozie tym od początku większość więźniów stanowili Polacy. Było to miejsce zagłady polskiej inteligencji.

Morawiecki więc grzmi: „Nie możemy dopuścić do tego, żeby tereny po dawnych obozach koncentracyjnych i obozach zagłady zamieniały się w miejsca, które służą do innych celów. Jesteśmy zobowiązani pielęgnować pamięć, bo jeżeli pamięć odchodzi, to tak, jakbyśmy zapewnili drugi raz cierpienie tym, którzy przeżyli tu niewyobrażalne piekło".

W tej sprawie ukazał się nawet tweet pana premiera, po angielsku. Ale tak napisany, że wynikało z niego, że Polska domaga się, aby to rząd Austrii ten teren kupił. No, nie wymagajmy od urzędników KPRM zbyt wiele. Bo cóż znaczy nieznajomość języka angielskiego w obliczu tak wielkich zadań stojących przed polskim rządem. I polskimi dyplomatami.

A skoro upamiętnianie Polaków staje się jednym z głównych celów polskiej polityki zagranicznej, to podpowiadamy premierowi jeszcze inne miejsca. Monte Cassino – o tym już pisaliśmy. Wokół cmentarza są prywatne posesje, otoczenie tonie w śmieciach. Cmentarz Orląt we Lwowie – tam wciąż lwy są zasłonięte, sprawa jest niewyjaśniona.

Poza tym nieśmiało przypominamy, że oprócz dawnych obozów i cmentarzy istnieją sprawy doczesne i rząd mógłby nimi się zająć. Choćby czymś tak przemijającym jak budżet Unii na lata 2021-2027.

Wiadomo, nie sposób tu krzyczeć *yes, yes, yes*. W kolejnej perspektywie finansowej Unia planuje przeznaczyć mniej pieniędzy na politykę spójności, nie zamierza też zwiększać sum na wspólną politykę rolną (co na to komisarz Wojciechowski, gdzie jego zapowiedzi?). Przewiduje za to zwiększenie funduszy na działania w ramach *Green Europe* (dziesiątki miliardów euro) i powiązanie wypłat z wynikami corocznego badania „kwestii praworządności". A następczyni Fransa Timmermansa, Czeszka Věra Jourová, która w Komisji Europejskiej zajmuje się kontrolą przestrzegania praworządności, mówi bez ogródek: „Niektóre z niedawnych wiadomości, jakie przyszły z Warszawy i Budapesztu, są dość niepokojące". I dodaje: „Dlatego oczekuję, że usłyszę, w jaki sposób rządy zamierzają wprowadzić w życie orzeczenia Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości, a w przypadku polskiego rządu również orzeczenia ich Sądu Najwyższego".

Przez ostatnie lata PiS mogło lekceważyć unijne apele, bo samo nie było zainteresowane polityką europejską, a pieniądze z Brukseli i tak regularnie do Polski były wysyłane. Teraz jednak to się zmienia. Obok marchewki Bruksela będzie miała kij. I PiS będzie musiało wybrać – albo praworządność i pieniądze Unii, albo cmentarze. A dzień wyboru się zbliża.

Attaché

Fascynujący i śmiertelnie niebezpieczny. Wulkan na Białej Wyspie w Nowej Zelandii był atrakcją turystyczną. W czasie erupcji na wyspie przebywało 47 osób.

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 3df9b58589

Rok Wielkiej Szopy

Edward Mikołajczyk

Nie będzie tym razem szopki noworocznej w telewizji. Marcin Wolski, notoryczny autor tego formatu w ostatnich latach, powiedział, że nie miał pomysłu, a poza tym należy mu się chwila oddechu po tym, co zrobił w ostatniej szopce.

Oświadczenie bodaj najpłodniejszego twórcy w Polsce, na dodatek gejzeru projektów tryskającego całą dobę, na milę pachnie blefem.

Nie może Marcin Wolski nie mieć pomysłu na szopkę w roku tak urodzajnym jak mijający 2019, gęstym od wydarzeń zatartych w odbiorze, kiedy długo trzeba się zastanawiać, czy to już szopka, czy jeszcze rzeczywistość, czy Wolski sprokurował je sam, gromadząc przedmiotową literaturę, czy jego polityczni kumple pomagają mu, jak mogą, żeby ich ulubieniec miał z czego wybierać. Słowem, nie może poeta skarżyć się na brak pomysłu w roku chyba największej szopy w ostatnim 30-leciu.

Owszem, mógłby powiedzieć *pas*, a wtedy zarząd telewizji powinien ogłosić konkurs na scenariusz stosownego widowiska. Jest jeszcze w kraju paru autorów nie tylko młodszych od pana Marcina, ale – zaryzykuję – także zdolniejszych i niesteranych latami służby na dworze. A w ogóle spodziewać by się należało, że publiczny nadawca nie będzie czekać, aż Wolski się zmęczy – że nigdy nie zaprzestanie poszukiwania nowych talentów i udzielania im pomocy w dostępie do anteny. Można bezwstydnie się przechwalać, że się nie czyta Olgi Tokarczuk, ale Ustawę o radiofonii i telewizji trzeba wreszcie przeczytać, droga załogo partyjnego bunkra, zanim was lud z telewizji nie wykurzy. To nie jest przywilej partyjnych pomazańców, czekać z otwartymi ramionami na kogoś, kto przyjdzie z miasta z własnym pomysłem, ale ustawowy obowiązek, żeby być w środowiskach twórczych i wobec nich występować z własnymi pomysłami programu, a przy okazji proponować, organizować i łowić.

Nie może Marcin Wolski nie mieć pomysłu na szopkę, kiedy długo trzeba się zastanawiać, czy to już szopka, czy jeszcze rzeczywistość.

Jak tu uwierzyć Wolskiemu, że chce odsapnąć, skoro już na początku roku wpadł mu w ręce gotowy materiał do postawienia na nogi całej trzódki w szopce. Myślę o konferencji prasowej (?) Episkopatu, kiedy w Polsce zrobiło się gorąco po filmie braci Sekielskich odsłaniającym dramatyczne oblicza pedofilii w Kościele katolickim.

Ta konferencja to, mówiąc telewizyjnym żargonem, gotowiec. Niewiele trzeba się napracować, aby rzecz przysposobić antenowo. Przeciwnie, należałoby raczej bardzo uważać, żeby nie odebrać śmieszności powadze miejsca i zatroskaniu na twarzach *dramatis personae*. Scenografia i kostiumy powinny pozostać bez zmian.

Spróbujmy jeszcze pomóc Wolskiemu, żeby odzyskał wiarę w swoje siły i przedwcześnie nie porzucał szopki. Pozostało kilka dni do namysłu, a ten autor nie takie rzeczy robił na pstryk. Bo może chodzi tylko o pamięć, która go opuściła?!

Warto więc przypomnieć, że w tym roku Polka dostała najważniejszą nagrodę literacką na świecie. To najwyższe wyróżnienie ujawniło żenujący poziom czytelnictwa w ciasnych kręgach rządowych. Minister Dworczyk mówi, że od czterech lat nie czyta niczego poza dokumentami. I odchodzi jakby nigdy nic, chociaż

każdy inteligent oczekiwałby od niego w takim momencie, że zacznie płonąć ze wstydu i zostawi przed kamerą kupkę popiołu. Premier Sasin wyznał, że się przestraszył, kiedy się zorientował, że może istnieć coś tak grubego jak „Księgi Jakubowe". Szopka miała szansę ustalić limit grubości książeczek dla obecnego składu Rady Ministrów.

Kilka tygodni temu premier i jego minister spraw wewnętrznych, stojąc po przeciwnych stronach ekranu telewizora, poinformowali nadzwyczaj zgodnie o największym „sukcesie wykrywczym" Polski w ostatnich latach, a kto wie, czy nie od początku świata. Mianowicie capnęli przemytników kokainy. Towaru było tak dużo, że śmiało można by liczyć na podratowanie zrównoważonego budżetu, który traci równowagę. Może narkotyki nie pasują do szopki?!

Niestety, poza tym wielkim sukcesem wykrywczym dominowały w Polsce w tym roku sukcesy zakrywcze w rodzaju GetBack czy NIK. Nie sądzę, by satyryk był wobec nich bezradny, zwłaszcza wobec wielce inspirującego projektu wybudowania dwóch wysokich wież na warszawskiej Woli przez prezesa z Żoliborza.

Z pewnością było tak, że Wolski poczuł się wypalony, kiedy Kurski po przeczytaniu tegorocznego scenariusza posłał go na drzewo. ■

FOT. MEMY.TV

eprasa.pl 3df9b58589

JOLKA

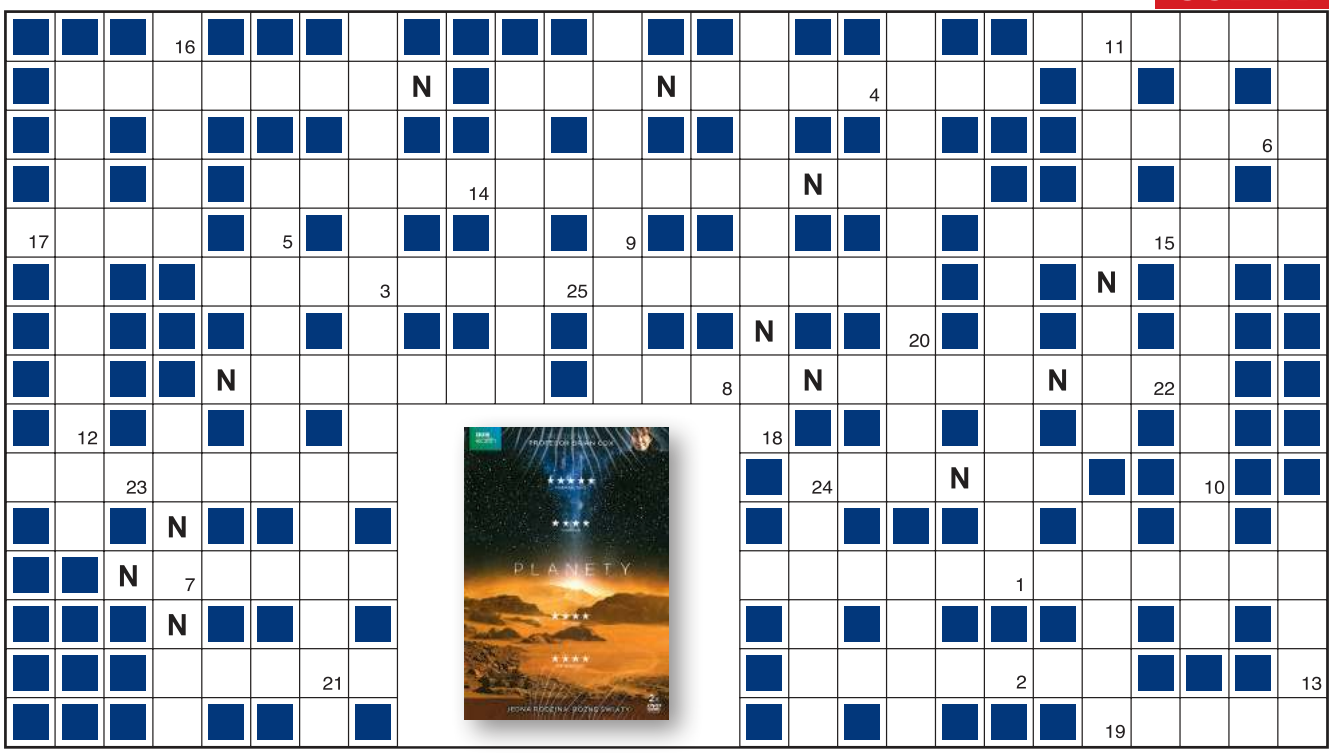

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 25 utworzą końcowe hasło.

- nasz obecny to Inżynierska 3
- niejeden w rubryce obok wstępniaka
- …ukazywania się właśnie obchodzimy
- …dziennikarska – zbiór norm dla tego zawodu
- autorstwa Romana Kurkiewicza lub Tomasza Jastruna
- oby redakcyjne były w jak najlepszej kondycji
- pozyskuje i dobiera zdjęcia do tekstów
- różne ścierają się w dyskusji
- o jej stanie wypowiadają się analitycy i ekonomiści
- co do niej – ściśle, bardzo dokładnie
- marszałek Senatu poprzedniej kadencji
- redakcyjne – ustala zawartość numeru
- miasto Tomasza Borejzy i Leszka Konarskiego, naszych autorów
- prywatna na nocleg dla turysty
- przysyłany przez czytelnika do redakcji
- rozlosowywane wśród nadsyłających hasła jolki
- liczba egzemplarzy jednego wydania PRZEGLĄDU
- propozycja umowy, transakcji
- np. bieżących wydarzeń w artykule
- dział, w którym autorzy przedstawiają poglądy, oceny
- piętrzą się na biurku sekretarza redakcji
- wewnętrzna, zagraniczna lub wydawnicza
- można zamówić pocztową lub elektroniczną
- naczelny to Jerzy Domański
- płacą za możliwość zachwalania swoich produktów na łamach
- wspomnienia i refleksje związane np. z naszym jubileuszem
- oby jak największe wiernych czytelników
- konieczny, gdy przysłany tekst jest za długi
- obywatelskie, masowe lub konsumpcyjne
- rubryka, w której można poczytać o kadrze Brzęczka
- …obietnic składają politycy
- Brzozowa, potem Szara z dawną siedzibą redakcji
- Regina Dachówna, Marek Książek, Wojciech Osiński inni
- przeprowadzane z ludźmi polityki, sztuki, medycyny
- dział z artykułami o sytuacji w Niemczech

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-939”. Do rozlosowania DVD „Planety” ufundowane przez Best Film CO. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 22 grudnia 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-936” z 1 grudnia: *Pośpiech niszczy ludzi.*
Nagrody otrzymują: Stanisław Bajena z Sopotu, Zbigniew M. Trojanek z Szamotuł, Irena Walaszek z Poznania.

eprasa.pl 3df9b58589

SUDOKU

	7			8	4			5
9		4	6			2		7
5				3		6	9	
			2			8		9
		8		4			6	1
4			8		9	5	2	
8					3		7	
			4	9	7			
							1	2

	4				8			2
9		3			6	5	7	
	7							4
3	2		8				1	
	5							
4	9	7		2	5	6		8
		5						7
8	1		7	3			5	
		4		5				

Uzupełnij diagramy, tak aby w każdym rzędzie, w każdej kolumnie i w każdym kwadracie 3 x 3 znalazło się 9 różnych cyfr, od 1 do 9.

Rozwiązanie na s. 64

KRZYŻÓWKA

Poziomo:

4) on wytycza kurs statku
8) prochowiec, jesionka lub kurtka
9) medycyna wieku podeszłego
10) i efekt knowań, i zawikłanie akcji
11) na plecach pierwszaka
12) dobre to ogłada
16) śpiewem zwiastuje wiosnę
19) dźwięk zegara
22) usługi z zakresu konsultingu
23) wynajem statku, samolotu na określony kurs
24) odpada z lnu przy międleniu
25) gra z drewnianymi kulami i młotkami
26) kobieta wróżąca z kart

Pionowo:

1) cecha śmiesznego filmu
2) tkanina drukowana w barwne wzory
3) kres, koniec
4) wywołany film
5) ważny dzień dla solenizanta
6) twórczyni dzieł sztuki
7) wysokie buty wyższego stopniem
13) uznanie czegoś za dobre i zgoda na to
14) państwo z Rejkiawikiem
15) okrągła małżeństwa
17) obramowanie, obwódka
18) jego prezydentem Lenín Moreno
20) gryzoń hodowany dla futra
21) arkusz poprawek w książce

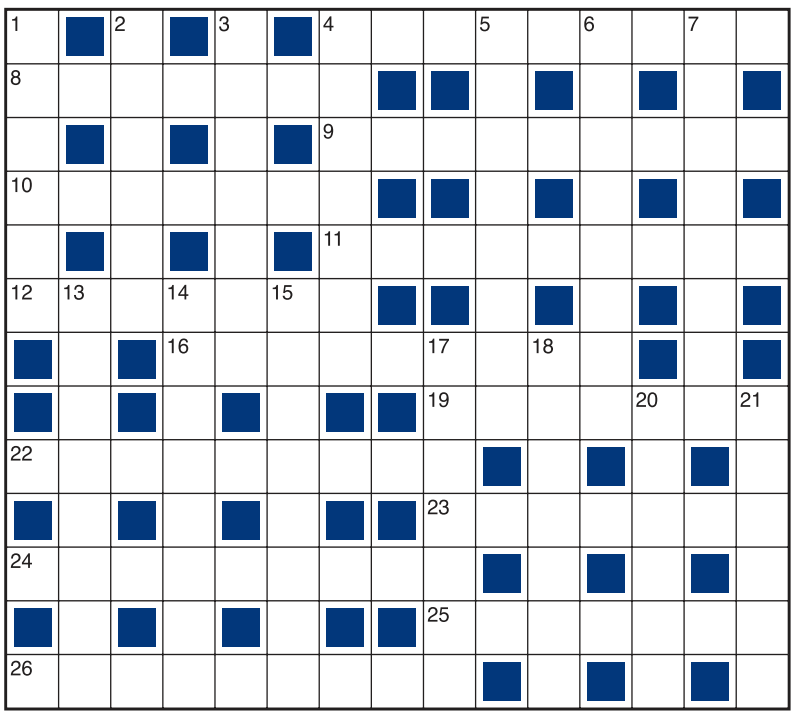

Rozwiązanie na s. 64

eprasa.pl 3df9b58589

Dlaczego rząd PiS jest tak uległy wobec administracji Trumpa

Wynika to z fundowania polityki III RP na trzech fałszywych aksjomatach. Są nimi: liberalizm gospodarczy, atlantyzm i antykomunizm. Wszystkie wspomagają się i uwiarygodniają wzajemnie. Liberalizm gospodarczy ze swoją teorią skapywania dobrobytu i podobnymi andronami uzasadnia politykę wspierania wielkich korporacji (np. amerykańskich). Antykomunizm z kolei umacnia atlantyzm, ponieważ Amerykanie, którzy wspierali obalenie realnego socjalizmu w Polsce, przedstawiają się jako wybawiciele od komunizmu i dobrodzieje, od których dostaliśmy kapitalizm. Z tego niby tytułu mamy mieć wobec nich jakiś dług wdzięczności. Tu wszystko się zazębia. Atlantyzm jest zbyt ważnym elementem kapitalizmu w Polsce, by pozbyć się go bez destabilizacji całej nadbudowy umacniającej obecne stosunki gospodarcze. Antyamerykanizm jest pierwszym krokiem do odrodzenia myśli i ruchu antyimperialistycznego, a konsekwentny antyimperializm musi być antykapitalizmem.

Arek Domeredzki

•

To nie jest uległość. To raczej prowadzenie polityki zagranicznej z pozycji wasalnej. A Trump z tego się cieszy. I trudno mu się dziwić. Polski rząd, chyba jako jedyny, realizuje politykę Trumpa i jeszcze za to płaci na różne sposoby. Od zakupów broni, przez finansowanie baz, aż do pokornego realizowania wszystkich sugestii amerykańskiej pani ambasador. W zamian USA nie potępiają działań polskiego rządu, udzielają audiencji politykom, a czasem nawet chwalą.

Adam Jaśkow

•

Wszystko wynika z rusofobii prezesa PiS. Nienawiści do Putina ma być ostentacyjnie przeciwstawiana przyjaźń do Trumpa. Tylko że nastąpiło niebezpieczne przegięcie, bo Polska jest przez Trumpa instrumentalnie wykorzystywana do osiągania jak największych korzyści przez USA.

Bożena Miernik

Trauma po zamachu na prezydenta

Prawicowa propaganda jest obecnie jeszcze silniejsza niż w początkach II Rzeczypospolitej! Wykracza poza obszar polityczny i atakuje wszystkich inaczej myślących. Kiedy byłem na wczasach za granicą, w lokalnej telewizji mówiono o ataku kiboli i narodowców na marsz równości w stolicy Podlasia. Ależ było mi wstyd, bo goście hotelowi wiedzieli, że jestem Polakiem. Czy niektórzy polscy biskupi nie mają wyrzutów sumienia z powodu tego, co mówią? Słowa niektórych duchownych są ciężkim grzechem wobec bliźnich! Polacy nie znają historii własnego kraju, kupują za to mity o „żołnierzach wyklętych", którzy mają na koncie również zbrodnie dokonane na niewinnych ludziach, w tym na dzieciach.

Damiano Strączyk

eprasa.pl 3df9b58589

PENETRACJE

ZDANIE

PROF. LECH M. NIJAKOWSKI, UNIWERSYTET WARSZAWSKI

Utrzymując obecny model gospodarczy, popełniamy autoludobójstwo. Narastające globalne ocieplenie ostatecznie uderzy bowiem we wszystkich, także w bogaczy ukrytych w luksusowych schronach. Jedną z konsekwencji globalnego ocieplenia może być występowanie ludobójstw klimatycznych. Narastające deficyty wody pitnej, ziemi uprawnej i zwierząt hodowlanych będą prowadziły do głodu, a ten do walki o pozostałą żywność. Nie będzie trzeba tworzyć wizji wspaniałej przyszłości, jak często postępowali ideolodzy ludobójców. Obcy będzie konkurentem do środków zapewniających przeżycie, którego trzeba eksterminować, aby przeżyć. Pomijając przypadki, gdy konkurenci staną się pożywieniem dla zdesperowanych ludzi.

DUŻY FORMAT

PIOTR MONIUSZKO, PRZEWODNICZĄCY WOLNEGO ZWIĄZKU ZAWODOWEGO PRACOWNIKÓW POCZTY POLSKIEJ

Rządzi PiS, więc menedżerami różnych pionów poczty zostają członkowie albo ich znajomi, którzy z pocztą nigdy nie mieli nic wspólnego. Stąd też w placówkach wystawki z książkami patriotycznymi. Taki towar jest brany na zasadach znajomości: mam hurtownię książek patriotycznych i znajomości, to mogę wrzucić na pocztę. No i korzysta jeszcze zaprzyjaźniona z PiS Solidarność. To wszystko: ogrom tej firmy, polityczność, związki rodzinne i towarzyskie i wieczny brak pieniędzy, ma wpływ na mobbing, dyskryminację i nepotyzm. Na poczcie nepotyzm przybiera niespotykane rozmiary.

charaktery magazyn psychologiczny

PROF. STEVEN PINKER, PSYCHOLOG, UNIWERSYTET HARWARDZKI

Tym, co odbiera nadzieję, są wiadomości. Gromadzą one najgorsze rzeczy, jakie wydarzyły się danego dnia na świecie. Ta zniekształcona próbka tego, co się dzieje, z pewnością zniechęca. Tym, co jednak daje mi nadzieję, są dane. Pokazują, że znacznie więcej złych rzeczy się nie wydarza oraz że dobre rzeczy naprawdę się dzieją. Z danych wynika, że żyjemy dłużej, jesteśmy bezpieczniejsi, zdrowsi, szczęśliwsi, bogatsi, bardziej wolni, że życie jest bardziej ekscytujące. Dają nam podstawę do oczekiwania, że może tak być, jeśli będziemy podtrzymywać te siły, które w przeszłości powodowały poprawę.

W pobliżu piramid w Gizie odkryto podczas wykopalisk rzadki posąg króla Ramzesa II.

FOT. EAST NEWS

Aby język giętki…

MAREK BOROWSKI O POLITYCE KADROWEJ PiS

Jeśli PiS przeprowadza zmiany organizacyjne, to chodzi o to, by kogoś usunąć lub zatrudnić i dorwać się do pieniędzy, którymi te jednostki dysponują.

MACIEJ KONIECZNY O TOMASZU LISIE

Jak Lis nas atakuje, to czuję, że coś musieliśmy zrobić dobrze. Czerpiemy z jego wpisów wiele radości.

KATARZYNA SKOWROŃSKA-DOLATA O SIATKÓWCE

Nie chciałabym być trenerem kobiecej drużyny, nigdy. Kobiety też mają ego, niektóre większe niż faceci.

SŁAWOMIR MIZERSKI O BEACIE SZYDŁO

Prowadziła politykę polegającą na spotykaniu się z nie wiadomo kim i nie wiadomo po co, chociaż musiało to być dla niej męczące.

WŁODZIMIERZ LUBAŃSKI O EURO 2020

Nie jesteśmy faworytem grupy, tylko solidnym outsiderem. Hiszpanie i Szwedzi to zespoły bardzo trudne do ograniа.

OTYLIA JĘDRZEJCZAK O PŁACZU

Płaczę tylko na filmach. I to raczej ze śmiechu i ze wzruszenia, a nie ze smutku.

HENRYK MARTENKA O BUDOWANIU NOWYCH ELIT

Na czele z Zenkiem Martyniukiem, którego zaletą jest ludowa popularność. Politycy PiS dobrze wiedzą, że na ich bezrybiu Zenek to halibut.

GABRIELA MUSKAŁA O INTUICJI

To taka głębsza mądrość, której jednak trochę się boimy, bo nie daje nam poczucia bezpieczeństwa, jakie idzie za logiką racjonalnego umysłu.

ANNA MUCHA O SEKSBOMBIE

Autoironia jest moją ulubioną cechą. To czyni mnie najdowcipniejszą seksbombą w polskim kinie.

GRZEGORZ MARKOWSKI O ŻONIE KRYSTYNIE

Była tancerką z dobrego domu, skończyła szkołę baletową, a ja wychowywałem się z bandyterką.

eprasa.pl 3df9b58589

Klakierzy na baterie

Organizatorzy mistrzostw świata w piłce ręcznej kobiet, które w tym roku odbyły się w Japonii, w reakcji na poważne problemy z frekwencją skorzystali z maszyn do klaskania. Zawodniczki nie były jednak zadowolone z maszynowego dopingu, tym bardziej że w pustych halach tworzył on specyficzne echo. „Grałam w różnych miejscach na świecie i wszędzie było ciekawie, ale tu jest smutno i surrealistycznie", skomentowała kapitanka reprezentacji Norwegii Stine Bredal Oftedal. Może słaba to pociecha, ale mogło być gorzej. Japończycy na pewno dysponują także maszynami do gwizdów.

Szefowe lepsze od szefów

Szwedzki związek zawodowy Ledarna, do którego należy prawie 100 tys. kierowników, postanowił raz na zawsze rozstrzygnąć spór, kto jest lepszy na stanowiskach menedżerskich – kobiety czy mężczyźni. Stosowne badania na 5,5 tys. członków i członkiń związku przeprowadził Szwedzki Instytut Badań Społecznych (SOFI). Uczestnikom i uczestniczkom zadano różnorodne pytania dotyczące ich życia zawodowego i charakteru. Na podstawie odpowiedzi badacze orzekli, że to kobiety są lepszymi szefami, co wynika z przeciętnie większych kompetencji z zakresu pracy zespołowej, rozwiązywania konfliktów, komunikacji, motywowania innych oraz rozdzielania zadań. Joakim Pettersson z Ledarny, komentując ustalenia SOFI, podkreślił, że w każdym konkretnym przypadku to umiejętności, a nie płeć, powinny decydować o zatrudnieniu danej osoby. A co miał powiedzieć?

Jabłko za pół miliarda

Specjaliści z Uniwersytetu Stanu Waszyngton po 22 latach badań kosztujących łącznie 500 mln dol. stworzyli… nową odmianę jabłka, Cosmic Crisp. Znawcy chwalą ją za słodki i delikatny smak oraz chrupki miąższ. Ponadto „idealne jabłka" są duże, bardzo okrągłe i bardzo wytrzymałe – mogą być przechowywane w chłodni nawet pół roku. O ich zaletach polscy wielbiciele jabłek przekonają się nieprędko – do wiosny 2027 r. będą uprawiane jedynie w stanie Waszyngton.

I Aladyn nie pomoże

Gmina Dobra w województwie zachodniopomorskim zamontowała 460 solarnych i hybrydowo-solarnych lamp ulicznych. Niestety, zaczynają one gasnąć zaraz po godz. 19. „Klimat mamy taki, a nie inny. Słońca mamy mało, w jesienne dni świeci sporadycznie. Są zamontowane wiatraki, ale wiatrów też nie mamy tak bardzo dużo, żeby te lampy działały", wyjaśniła miejscowa radna Magdalena Zagrodzka. Podobno aby lampa świeciła całą noc, potrzebne są cztery słoneczne dni z rzędu. Czarno to widzimy…

Bez apki ani rusz

Siku to nazwa nowej aplikacji mobilnej, stworzonej specjalnie dla Inuitów (dawniej zwanych Eskimosami) z Kanady. Pomaga ona inuickim myśliwym znajdować bezpieczny, grubszy lód. Siku bazuje na tradycyjnej wiedzy tego północnego ludu, a ponadto na danych satelitarnych i informacjach przesyłanych przez użytkowników. Doświadczenia gromadzone przez tysiące lat przestały bowiem wystarczać do bezpiecznego chodzenia po morskim lodzie, który w związku ze zmianami klimatu zaczął się inaczej zachowywać.

MEMY BEZ ŚCIEMY

Rozwiązanie sudoku i krzyżówki z s. 61

6	7	2	9	8	4	1	3	5
9	3	4	6	5	1	2	8	7
5	8	1	7	3	2	6	9	4
3	1	5	2	7	6	8	4	9
2	9	8	3	4	5	7	6	1
4	6	7	8	1	9	5	2	3
8	5	9	1	2	3	4	7	6
1	2	6	4	9	7	3	5	8
7	4	3	5	6	8	9	1	2

6	4	1	5	7	8	3	9	2
9	8	3	2	4	6	5	7	1
5	7	2	3	1	9	8	6	4
3	2	6	8	9	7	4	1	5
1	5	8	4	6	3	7	2	9
4	9	7	1	2	5	6	3	8
2	3	5	6	8	1	9	4	7
8	1	9	7	3	4	2	5	6
7	6	4	9	5	2	1	8	3

K	■	K	■	S	■	N	A	W	I	G	A	T	O	R
O	K	R	Y	C	I	E	■	■	M	■	R	■	F	■
M	■	E	■	H	■	G	E	R	I	A	T	R	I	A
I	N	T	R	Y	G	A	■	■	E	■	Y	■	C	■
Z	■	O	■	Ł	■	T	O	R	N	I	S	T	E	R
M	A	N	I	E	R	Y	■	■	I	■	T	■	R	■
■	P	■	S	K	O	W	R	O	N	E	K	■	K	■
■	R	■	L	■	C	■	■	T	Y	K	A	N	I	E
D	O	R	A	D	Z	T	W	O	■	W	■	U	■	R
■	B	■	N	■	N	■	■	C	Z	A	R	T	E	R
P	A	Ź	D	Z	I	E	R	Z	■	D	■	R	■	A
■	T	■	I	■	C	■	■	K	R	O	K	I	E	T
K	A	B	A	L	A	R	K	A	■	R	■	A	■	A

eprasa.pl 3df9b58589

Seria zdjęć „No Beauty In Plastic" ma zwrócić uwagę na problem odpadów z tworzyw sztucznych.

Legenda wiecznie żywa

11 listopada 2020 r., w amerykański Dzień Weterana, odbędzie się premiera filmu wojennego „Finding Jack", z udziałem Jamesa Deana. Co prawda, nie żyje on od 1955 r., ale w dzisiejszych czasach przestało to być problemem. Producent filmu, firma Magic City Films, uzyskał od rodziny artysty prawa do wykorzystania jego wizerunku, a resztą zajmie się ekipa od komputerowych efektów specjalnych (jedynie głos podłoży inny aktor). Ciekawe, kiedy znajdą się polscy naśladowcy i co wezmą na warsztat.

Dziewictwo z e-sklepu

Indyjska wersja internetowej platformy zakupowej Amazon oferuje za równowartość ok. 200 zł kapsułki do inscenizowania utraty dziewictwa. W związku z dystrybucją produktu korporacja znalazła się w ogniu krytyki. Zarzuca się jej, że pośrednio wspiera uprzedmiotowiający kobiety kult dziewictwa.

FOT. A-MEM (3), DANIEL PETRYCZKIEWICZ/EAST NEWS

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 3df9b58589

Relikwie, 2019

Matka, 2012

Agata Kus
Horror Picture Show

Galeria Bunkier Sztuki
Kraków, pl. Szczepański 3A
do 19 stycznia

Tytuł ekspozycji nawiązuje do „The Rocky Horror Picture Show", amerykańskiego musicalu z 1975 r. W ten sposób artystka sugeruje, że mamy do czynienia z pracami, które mogą budzić sprzeczne emocje – niepokój, ale także rozbawienie. To pierwsza tak duża wystawa obrazów i obiektów ceramicznych Agaty Kus. Bunkier Sztuki prezentuje ponad 100 prac z lat 2009-2019; kilkanaście powstało specjalnie na tę okazję. Ekspresyjne malarstwo młodej artystki ma charakter kolażowy – w ramach jednej kompozycji zestawia ona różne, dobierane intuicyjnie kadry. Powstaje z tego złożona i nieoczywista opowieść.

Tainted Love, 2013

Położna, 2018

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3df9b58589

ŚWIĘTA TO CZAS
UDAWANIA
Podaruj dzieciom pierwsze, prawdziwe święta.
SOS WIOSKI DZIECIĘCE
www.dziecisos.org
Przekaż darowiznę. Nasz numer konta:
07 1240 6247 1111 0000 4975 0683
Patron medialny:
Jedynka
POLSKIE RADIO

eprasa.pl

Książki PRZEGLĄDU!

CZTERY TOMY „Historii bez IPN”

„Bury”, „Łupaszka”, „Huzar” i inni – siali strach i śmierć na Podlasiu. Dziś są na sztandarach prawicowych nacjonalistów.

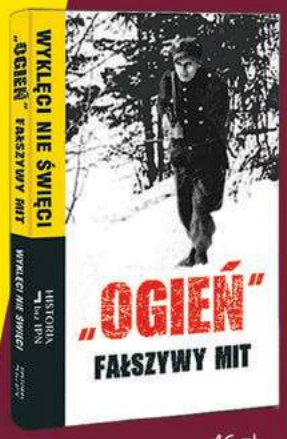

46 zł

43 zł

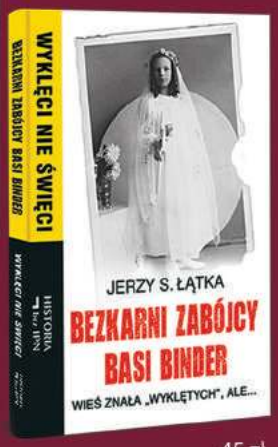

45 zł

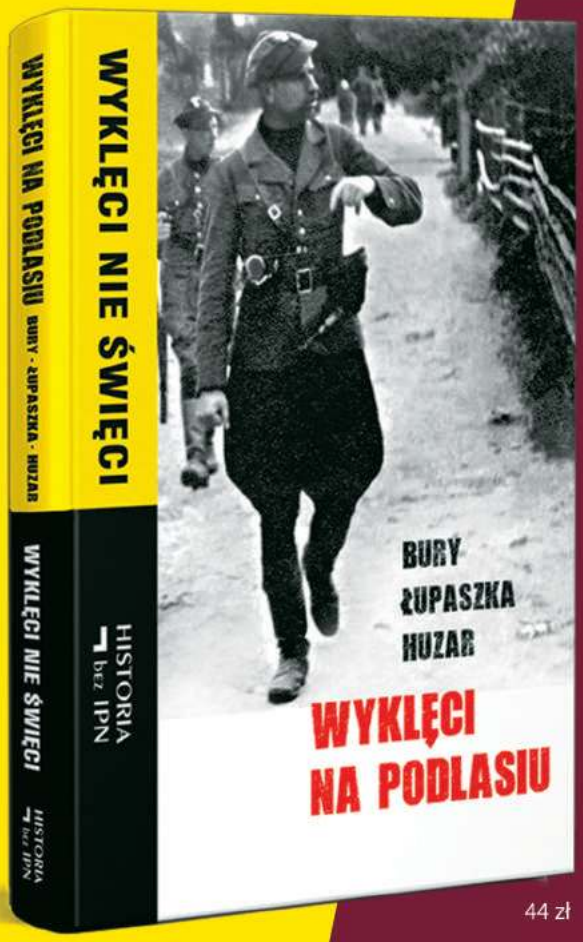

44 zł

Dramatyczny obraz wydarzeń, o których chcą zapomnieć piewcy „żołnierzy wyklętych”.

Prawda o tych, którzy zamordowali i ograbili tysiące niewinnych cywilów.

Książka też w formie E-BOOKA. Tylko 19,90 zł, nie przegap okazji!

4 KSIĄŻKI W PAKIECIE TANIEJ – 150 zł

Wpłat prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. Książkę można też zamówić na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl. W cenę książki wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl 3df9b58589